

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 5/488**

**1988**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. JASTRZĘBOWSKI : **KAMIEŃ NA KAMIENIU**

P. ZNAWCA : **DIAGNOZY I PROGNOZY**

L. UNGER : **NIEKTÓRE RZEKI PŁYNĄ W GÓRĘ**

R. KOSTRZEWA : **WYWIAD Z RICHARDEM PIPESEM**

## SPIS RZECZY

Jerzy Jastrzębowski:	<i>Kamień na kamieniu</i> .....	3
Tymoteusz Klemski:	<i>Zdaniem laika</i> .....	13
<b>WIERSZE</b>		
Adam Bąkowski:	<i>Potęga złego smaku</i> .....	21
Krzysztof Gruszczyński:	<i>Kiedys jeszcze</i> .....	22
Mirostaw Sychalski:	** .....	23
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
P. Znowca:	<i>Diagnozy i prognozy</i> .....	24
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli. — Niektóre rze- ki płyną w górę</i> .....	32
<b>WYWIADY „KULTURY”</b>		
Robert Kostrzewa:	<i>Między polityką powstrzymywania a détente. — Rozmowa z Ryszardem Pipesem</i> .....	44
—	<i>Opozycja na Węgrzech. — Rozmowa z Gaborem Demszky'm</i> .....	54
<b>SPRAWY I TROSKI</b>		
Wacław A. Zbyszewski:	<i>Radio i radioci</i> .....	59
<b>K R A J</b>		
Grzegorz Nawrocki:	<i>Wodowanie stoczni</i> .....	69
<b>SĄSIEDZI</b>		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	87
Józef Darski:	<i>Kronika ukraińska</i> .....	94
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	99
<b>WOLNA TRYBUNA</b>		
Krzysztof Wolicki:	<i>W zatrzaśniętej pułapce (c.d.)</i> .....	103
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
Renata Gorczyńska:	<i>Kota Jeleńskiego portret z pamięci. — Rozmowa z Mary McCarthy</i> ....	117
Tomasz Łomża:	<i>Bez też i bez złudzeń</i> .....	127
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Leningradzki „Czarnobyl kulturalny”</i>	132
<b>CI, CO ODESZLI</b>		
Anna Frajllich:	<i>Roman Karst (1911-1988)</i> .....	133
Józef Łobodowski:	<i>Ułtas Samczuk i Jurij Ławrynenko</i> ..	135
<b>KSIĄŻKI</b>		
Leszek Szaruga:	<i>Pokolenie 68</i> .....	138
Antoni Pospieszalski:	<i>Obecność religii</i> .....	143
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> ....	150
—	<i>Wydarzenia miesiąca i kroniki: austriac- ka i kanadyjska</i> .....	152
A. J. Chilecki, H. Kuczyńska, Z. S. Siemaszko:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	157

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj • Mai 1988

INSTYTUT  LITERACKI



## WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Adolf Balewicz, Rexdale, ON (Kanada) — dla uczczenia pamięci Przyjaciela, Michała Krzywoszańskiego, żołnierza 4-go P. panc. 2-go Korpusu, zmarłego w Montrealu — \$ c. 100,00	F. 450,00
F.H. (USA), po raz 21-y — \$ 3,00	F. 16,80
Kamila i Jan Halpernowie, Kolonia (RFN) — dla uczczenia pamięci Przyjaciela, Stefana Strelcyña, w siódmą rocznicę Jego śmierci	F. 338,40
H.K.W., San Francisco, CA (USA) — serdeczne podziękowanie Janowi Nowakowi za „Wojnę w eterze” — \$ 15,00	F. 84,00
Janina Kościółkowska, Laloubère (Francja) — zamiast kwiatów na grób śp. Konstantego A. Jeleńskiego, w pierwszą rocznicę Jego śmierci	F. 100,00
Maria i Eugeniusz Łazowscy, Chicago, IL (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Zygmunta Kossakowskiego, artysty i patrioty, zmarłego 27 lutego 1988 roku w Chicago — \$ 30,00	F. 168,00
M.Z.H., Bruksela, po raz 4-ty	F. 100,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 28-my — \$ 100,00	F. 560,00
Zamiast kwiatów na grób śp. generała Władysława Wieniawy-Długoszowskiego — z należną Mu pamięcią i szacunkiem — H.K.W., San Francisco, CA (USA) — \$ 35,00	F. 196,00



Wieloletnia czytelniczka i przyjaciółka *Kultury*, Irena Zadarnowska, zmarła w Zurychu 5 marca 1986 roku, zapisała w testamencie — w połowie na rzecz uwieczonych członków „Solidarności” i więźniów politycznych w Polsce, jak również dla ich rodzin, a w połowie na Fundusz *Kultury* — sumę Frs. 47.351,45

Powyższą sumę przekazała nam wykonawczynie testamentu Ireny Zadarnowskiej, p. Silvia Plüss-Pozzi.

F.194.150,35



Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Koło nr 13, Winnipeg, MB (Kanada) przesyła (nadesłał skarbnik W. Jakiela):

- na pomoc rodzinom uwieczonych przeciwników komunizmu w Polsce — \$ c. 300,00
- na Fundusz *Kultury* — \$ c. 100

F.1.340,00

F. 440,00

DZIĘKUJEMY!

## WPLĄTY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Kazimierz Malewski, Brooklyn, NY (USA) — na walkę z komunizmem w Kraju — \$ 75,00	F. 420,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Trangsund (Szwecja) — z podziękowaniem dla Przyjaciół za przysłane gratulacje — Krs 100,00	F. 95,00
Hanna Swiderska, Londyn — na prasę niezależną — £ 51,98	F. 546,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159)

## Kamień na kamieniu

### SAMOKRYTYKA BYŁEGO EKSTREMISTY

Wiosna roku 1982 była czasem przemyśleń. W marcu i kwietniu owego roku doszło do pamiętnej dyskusji na łamach prasy podziemnej. W jednym z marcowych numerów *Tygodnika Mazowsze* zapoczątkował ją zdesperowany głos Jacka Kuronia, który z obozu dla internowanych wzywał związkowców do użycia ostatecznych argumentów wobec władzy, nie reagującej na apele do zdrowego rozsądku. Odpowiedzieli mu kolejno: Zbigniew Bujak, Wiktor Kulerski, Zbigniew Romaszewski, Jerzy Jastrzębowski. Bujak rzucił pomysł zdecentralizowanego oporu na poziomie osiedli mieszkaniowych i parafii (*Tygodnik Mazowsze* nr 8), Kulerski proponował „podziemne społeczeństwo” (*idem*), Romaszewski podawał swą własną, celną diagnozę sytuacji (nr specjalny *KOS-a*, 5. IV. 1982), zaś Jastrzębowski w kolejnym *KOS-ie* przedstawił scenariusz wydarzeń, który — w opinii autora — miałby wymusić na władzy nawiązanie owocnego dialogu z opozycją. Większość nakładu majowego numeru *KOS-a* z tekstem ostatniego z piątki autorów wpadła w ręce Służby Bezpieczeństwa.

Ponieważ tekst ów w warstwie merytorycznej pozostał aktualny, a ponadto jest ilustracją chciejstwa politycznego, właściwego dużej części opozycji w Polsce, warto go we fragmencie przypomnieć. Niech będzie przestrogą dla młodszego pokolenia opozycji, jak ze sprawdzonych faktów i logicznych przesłanek można wyciągać przedczesne wnioski.



## „GŁOS W DYSKUSJI”

(Po wstępie, w którym autor krytycznie ustosunkowuje się do wezwania Jacka Kuronia, aby stworzyć ruch oporu „zdolny do zlikwidowania okupacji”, oraz po dwu punktach poświęconych polemice z innymi uczestnikami dyskusji, czytamy):

„3. W wyniku wielopokoleniowych uwarunkowań historycznych, a zwłaszcza w wyniku cyklicznych kryzysów w historii PRL, antysowietyzm i antykomunizm stały się nieomal drugą religią narodową ogromnych rzesz Polaków. 13 grudnia 1981 utrwalił resentymenty obecne w świadomości ogromnej części młodzieży i klasy robotniczej. Przestrzegałbym przed rozpalaniem, a nawet eksploatowaniem, zrozumiałych skądinąd nastrojów dla celów taktycznych. Nic łatwiejszego na krótką metę. Fanatyzm jest jednak złym doradcą. Pamiętajmy, że prędzej czy później — nie nam, to naszym następcom — przyjdzie się do rozmów z ludźmi, których dzisiaj dezawuuujemy. A to, że oni robią to samo w stosunku do nas? Nie szkodzi, uczmy się na błędach przeciwników (...). Zdaję sobie sprawę z niepopularności mojej tezy, ale jestem przekonany, że warunki nas zmuszą, a zdrowy rozsądek skłoni do udzielenia faktycznej pomocy ludziom z aparatu władzy, którzy nas nienawidzą i których ich własna nienawiść zawiadła w obecną pułapkę. O tej pułapce za chwilę.

4. Proces demokratyzacji, tak raptownie i tragicznie zatrzymany 13 grudnia, zostanie ponownie wymuszony przez warunki ekonomiczne, o których mówi się dużo lecz zwykle powierzchownie, operując pojęciami nędza — bunt — wyzwolenie. Do nędzy dojdzie niewątpliwie, ale zanim dojdzie do wyzwolenia, bunt może być krwawo i po wielokroć stłumiony. Nie przez rozlaną krew chcemy odrodzić niezależny związek.

Natomiast mało mówi się o uwarunkowaniach zewnętrznych, które niemal samoistnie mogą wymusić liberalizację polityki wewnętrznej na obecnej lub, co prawdopodobniejsze, na następnej ekipie władców PRL. (...)

Na przełomie lat 1980/1981 zespół ekonomistów pod kierunkiem prof. Z. Sadowskiego opracował prognozę sytuacji płatniczej Polski do roku 1990. Pracę wykonano w kontekście przechwałek jednego z ówczesnych mężów stanu, iż 'krwią płuć będziemy, a długi spłacimy'. Otóż nic z tego, stwierdziła trójka ekonomistów: już w 1981 roku zabraknie nam wpływów z eksportu dolarowego na spłatę odsetek i rat kapitałowych. Będziemy musieli prosić Zachód o przełożenie terminów spłat. I tak też się stało. Prognoza, *nota bene*, sporządzona w okresie, gdy polska gospodarka była w stanie ostrego kryzysu, nie zaś total-

nej katastrofy, w którą wpędził ją ostatecznie stan wojenny, przewidywała trafnie, że rząd polski będzie prosił o czteroletnią prolongatę spłat. Następnie zaś dała wgląd w rozwój wydarzeń w wyniku takiej prolongaty. Otóż, gdy w 1980 roku poziom wpływów z eksportu niezbędny do obsługi długu w walutach wymiernalnych wynosił 80 % całości (podręczniki ekonomii podają 20-25 % jako próg bezpieczeństwa), w 1981 roku przekroczył 100 %, zmuszając rząd do wystąpienia o moratorium, w 1982 roku — w wyniku spodziewanej zgody Zachodu na prolongatę — spaść miał do zaledwie kilkunastu procent, aby w kolejnych latach wzrastać powoli aż do 1986 roku, gdy ponownie ma wystąpić skokowy wzrost do 100 %. Do roku 1990 wzrost stopy obsługi długu we wpływach twarodewizowych z eksportu ma dojść do absurdałnego poziomu 200 %. Innymi słowy, w 1990 roku na każdy dolar zarobiony w eksporcie będziemy musieli oddać wierzycielom dwa dolary z tytułu spłaty długów. A skąd brać na import zaopatrzeniowy? To jest właśnie klasyczna pułapka zadłużenia na skalę, której nie przewidziały podręczniki ekonomii. Poza tym autorzy nie mogli uwzględnić wprowadzenia stanu wojennego oraz restrykcji finansowo-handlowych ze strony Zachodu, które zarysowany w prognozie obraz zaczerniają jeszcze głębszym pesymizmem.

Otóż jest moją tezą, że nie ma takiej siły fizycznej ani potęgi gospodarczej między Łabą i Władystokiem, która mogłaby odwrócić od Polski widmo całkowitej niewypłacalności, jeśli nie zechcą pomóc z jednej strony wierzyciele, a z drugiej strony my sami — społeczeństwo suwerenne we własnej ojczyźnie. Nie pomoże ekipie Jaruzelskiego gorączkowe włączanie się w nurt integracyjny RWPG, żadna minireforma będąca zaprzeczeniem samej nazwy, żadna połowiczna konwersja gospodarki, nie pomogą największe nawet wyrzeczenia społeczeństwa polskiego. Prawdopodobnie jedynym ratunkiem może być całkowite przedstawienie przemysłu zbrojeniowego i ciężkiego na tory cywilno-eksportowe i dojście do porozumienia zarówno z wierzycielami jak i z własnym społeczeństwem. W przeciwnym przypadku rząd PRL już niedługo stanie się (oficjalnie bądź *de facto*) bankrutem. To spowoduje niesamowite konsekwencje dla całego bloku, praktycznie odcinając go od gospodarki światowej i powodując szybkie i groźne, zwłaszcza z punktu widzenia ZSSR, poszerzanie się luki technologicznej wobec Zachodu.

Jest to, przypuszczam, perspektywa nie do przyjęcia również dla następców Breżniewa na Kremlu. Będą oni chyba skłonni przystać na jakiś *modus vivendi* między niepopularną władzą i nieposłusznym społeczeństwem w Polsce. Od nas wszystkich, od naszej konsekwencji i zdecydowania, a jednocześnie rozważli w działaniu, zależeć będzie to, jakiego rodzaju *modus vivendi* zdo-



łamy sobie wypracować. Masowy lecz całkowicie pokojowy, pozabawiony akcentów terrorystycznych, ruch oporu społecznego przeciw niesprawiedliwości stanu wojennego jest potężnym argumentem siły w naszym sporze z władzą. Prędzej czy później, przy akompaniamencie zjadliwej propagandy mającej na celu obniżenie pozycji przetargowej naszej strony, dojdzie, bo w obliczu katastrofy dojść musi, do prób porozumienia. (...)

Warszawa, 13 kwietnia 1982 r.

Jerzy Jastrzębowski  
członek KK NSZZ „Solidarność”

### KAMIEŃ NA KAMIENIU

Dokładnie w rok po napisaniu powyższych słów autor brał udział w pierwszej próbie porozumienia zorganizowanej przez władze. Przyjaźnie nastawieni urzędnicy państwowi w kompleksie budynków rządowych w Warszawie przy ul. Rakowieckiej 37 kolejno próbowali nawiązać dialog na interesujące ich tematy. Po szeregu nieudanych prób dialog powiódł się na poziomie filozofii władzy w Polsce. Oto zanotowany wówczas na gorąco fragment:

AUTOR: — Przecież trzeba będzie w końcu zasiąść do rozmów. Tak nie można długo rządzić.

URZĘDNIK: — Można, można...

AUTOR: — Przecież sam pan twierdził, że potrzebny nie tylko kij, ale i marchewka.

URZĘDNIK: — Ale jak marchewki nie ma, to trzeba samym kijem.

AUTOR: — Jak długo?

URZĘDNIK: — A choćby i dwadzieścia lat! Dopóki marchewka nie odrośnie. Zresztą kamień na kamieniu z tego kraju nie zostanie, zanim wy dorwiecie się do władzy!

Cierpliwe i pryncypialne prezentowanie przez władze powyższego punktu widzenia przyniosło pożądane skutki. Pisząc w półtora roku później artykuł dla *Los Angeles Times*, (13 grudnia 1984) autor zrewidował swe poprzednie nieprzejednane stanowisko, wynikające ze ślepej wiary w siłę determinizmu ekonomicznego i logiki politycznej: „Błędne jest oczekiwanie, iż Jaruzelski pójdzie na ustępstwa polityczne w zamian za zniesienie amerykańskich sankcji, nałożonych na Polskę po zamachu stanu z grudnia 1981 roku. Jego rząd nie ma swobody manewru. Jaruzelski zdaje sobie sprawę z tego, iż liberalizacja polityczna w obecnej chwili niechybnie spowodowałaby efekt domina. Jego

rząd zostałby zmieciony ze sceny politycznej, chyba że zdecydowałby się na ponowne wprowadzenie stanu wojennego. Tak więc walczy on dosłownie o życie, utrzymując w rękach władzę bez względu na koszty polityczne i społeczne”.

Jednak do całościowego objęcia sytuacji niewprawnym rozumem potrzebny był potężniejszy impuls. Stał się nim list otwarty doc. dra Jerzego Holzera do Wojciecha Jaruzelskiego i do Lecha Wałęsy. Sygnalizując w nim niebezpieczeństwa, przywołujące na pamięć los Polski z końca XVIII wieku, historyk pisał: „... Mimo wysiłków władzom nie udało się od czasu wprowadzenia stanu wojennego uzyskać aktywnego poparcia ze strony większości społeczeństwa. (...) Nadeszła pora, aby podjąć ostatnią próbę, by przedstawiciele tych, którzy mają władzę i tych, którzy dla kilku lub kilkunastu milionów Polaków symbolizują troskę o interesy ludzi pracy spotkali się bez warunków wstępnych ale z dobrą wolą (...)”.

Na list adresowany do generała odpisał propagandysta rządowy, wykiwając Holzera i jego obawy o przyszłość Polski. Oto niektóre argumenty strony rządowej: „... odbudowuje się międzynarodowa pozycja Polski. (...) Utrzymujemy i poprawiamy pozycje eksportowe, co poprawi kondycję Polski jako dłużnika”. A poza tym: „Czy nie dostrzega pan, panie docencie, zbyt dużej nierównowagi stron w tym domniemanym dialogu? I czy nie sądzi pan, że jednak najpierw druga strona (...) powinna uznać realia, zrezygnować z totalnej negacji, zająć konstruktywne stanowisko, zaakceptować to, co słuszne i oczywiste...?”.

Błyskawica rozdarła mrok ignorancji. Przecież od przeszło sześciu lat władze PRL tłumaczyły cierpliwie i pryncypialnie, dlaczego nie mogło i nie może dojść do dialogu i porozumienia z opozycją w Polsce. Jest wszak niezbitym faktem, iż nikt spośród ekstremy „Solidarności” — od Lecha Wałęsy po członków Komisji Krajowej, RKW i czołowych doradców — nikt spośród nich nie dokonał samokrytyki politycznej i nie zrewidował błędnych poglądów. Tym samym, słusznie stwierdzają władze, ludzie ci sami postawili się poza nawiasem porozumienia na warunkach określonych przez Biuro Polityczne oraz rząd PRL.

Autorzy wszelkich propozycji dialogu z pozycji równości i braku warunków wstępnych to naiwni ekstremiści, próbujący podważyć dziejową misję polskiej nomenklatury. Są wśród nich prawdziwi fanatycy, jak np. Ryszard Bender, Stanisław Stomma, Edmund Osmańczyk i Władysław Siła-Nowicki. Wszyscy głośno mówią o potrzebie porozumienia, utrudniając pracę władzy, mierzliwie odbudowującej międzynarodową pozycję Polski i poprawiającej kondycję ojczyzny. Czas więc, aby uznać realia i zająć konstruktywne stanowisko. Czas, aby głośno powiedzieć, że nie może być jeszcze mowy o zalegalizowaniu pluralizmu, o usta-



nowieniu dialogu z władzą. Na taki dialog jest obecnie za wcześnie.

Na przeszkodzie temu stoi bowiem odkryte już dawno, lecz dopiero obecnie sformułowane

### PIERWSZE PRAWO REALNEGO SOCJALIZMU

„W warunkach realnego socjalizmu przodujący oddział klasy robotniczej (nomenklatura/nowa klasa/warstwa trójpanów) podejmuje koniunkturalne próby porozumienia z organizmem społecznym, na którym pasożytuje, jedynie w okolicznościach zagrażających jego nieskrępowanej kontroli nad tym organizmem”.

Reżimy autokratyczne i totalitarne liberalizują się w następstwie poniesionych klęsk. Koronnym przykładem jest carat po 1904/1905 roku. Później, w miarę odpływu nastrojów rewolucyjnych, starają się odzyskać stracony teren. Władza w Polsce już się zliberalizowała (wsadza tylko na 48 godzin!) natomiast nie może się zdemokratyzować, godząc się z politycznym pluralizmem, jak tego żąda opozycja, ponieważ klęska poniesiona przez naród w wymiarze cywilizacyjnym w przewrotny sposób odcisnęła się na statusie władzy. Władza, odniósłszy zwycięstwo siłą, nie ma środków na odbudowę swego stanu posiadania sprzed 1980 roku. Nie ma i nie będzie miała.

Toteż prawidłowe są reakcje władzy, zakazującej działalności Towarzystwu Przyjaciół Miasta Milanówka pod Warszawą (wśród ojców duchowych Towarzystwa był ekstremista Zbigniew Bujak) oraz pałującej — dokładnie jak 20 lat temu — studentów warszawskich, krakowskich i sopockich. Władza musi tak postępować, bo nie ma alternatywy, nawet pomarańczowej. Dawno skończyła się marchewka. Nowa nie wyrośnie do końca stulecia. Władza słusznie czuje się zagrożona przez ekstremistów wymachujących ofertami porozumienia. Ludzie zajęci walką o życie polityczne nie mogą poważnie traktować propozycji dialogu ze strony ekstremy: a to od Wałęsy, a to od Osmańczyka, a to znów od Holzera. Wiadomo zainteresowanym, że zreformować tego ustroju się nie da. Wielu próbowało. Więc mówi się dialog, a w domyśle — zmiana ustroju. Mówi się porozumienie, a w domyśle upadek nomenklatury. Rządzący nie są naiwni. Pierwsze przykazanie bolszewików w 1917 roku brzmiało: „Władzy danej nie odmawia się, posiadanej — nie oddaje się”. (Igor Newerly).

Nadejdzie kiedyś dobry czas dla dialogu. Przewiduje taki obrót wydarzeń

### DRUGIE PRAWO REALNEGO SOCJALIZMU

„W warunkach realnego socjalizmu autentyczne próby nawią-

zania kontaktu i porozumienia z organizmem-żywcielem podejmowane są przez warstwę pasożytniczą dopiero wówczas, gdy działalność życiowa organizmu-żywciciela spada poniżej minimum fizjologicznego zapewniającego przeżycie organizmu wraz z narosłą pasożytniczą”.

To znaczy wówczas, gdy na dialog w potocznym rozumieniu tego terminu jest za późno.

Przeprowadzanie odległych analogii historycznych jest zajęciem ryzykownym. Zwłaszcza analogia między szlachtą i nomenklaturą byłaby historycznym nonsensem. Natomiast nie sposób wykluczyć istnienia analogii w pewnym determinizmie procesów historycznych. Na przykład, z perspektywy stuleci widać jasno nieodwracalność procesu historycznego w roli, jaką odegrała — od pewnego momentu musiała odegrać! — skądinąd znakomita polska szlachta w dziejach Polski w XVII/XVIII wieku. Dosadnie na ten m.in. temat pisze Maciej Kozłowski w swej najnowszej książce, poświęconej konfliktowi polsko-ukraińskiemu (Między Sanem a Zbruczem, cyt. z maszynopisu): „Dzieje Kozaczyzny i stosunków Siczy Zaporoskiej z Rzeczpospolitą to niebywały wręcz rejestr aktów politycznej ślepoty, posuniętej do narodowej zbrodni stanowego egoizmu, czy równie zbrodniczej ignorancji polskich czynników politycznych. Także wówczas, pod koniec wieku XVI i w pierwszej połowie wieku XVII, jak i w dwieście lat później, niemało było głosów trzeźwo widzących zagrożenia i domagających się zgodnego z polską racją stanu rozwiązania nabrzmiewającego problemu. Jednak głosy te (...) zagłuszyła pewna siebie polityczna głupota”.

Otóż nie można wykluczyć, iż po wiekach podobną rolę ma do spełnienia — i musi ją spełnić do końca — warstwa panująca w PRL. W obliczu krachu ideologii, wobec upadku gospodarczego i kryzysu społeczno-politycznego, nomenklatura ma prawdopodobnie do spełnienia ostatnią konkretną misję dziejową: ma doprowadzić naród do poziomu preindustrialnego, po to aby społeczeństwo odrodziło się w nowych formach, które dzisiaj są nie do przewidzenia.

Wydaje się, że jesteśmy świadkami takiego historycznego procesu. Działalność życiowa polskiego organizmu społecznego oscyluje w pobliżu minimum i wykazuje tendencję spadkową. Dotyczy to nie tylko spraw bytowych.

Komicznie brzmią słowa rządowego propagandysty o odbudowywaniu przez władze międzynarodowej pozycji Polski. Komicznie tego stwierdzenia rysuje się wyraźnie z perspektywy Waszyngtonu. Komicznie brzmią słowa o „utrzymywaniu i poprawianiu pozycji eksportowych”. Istotnie eksportuje się wszystko, co zachodni importer zechce od nas jeszcze kupić. Przede wszyst-



kim eksportuje się dochód narodowy, sprzedając towary poniżej kosztów własnych. Na północno-amerykańskim rynku importowanych towarów konsumpcyjnych (od samochodów i komputerów, po przetwory owocowe i sztruksy) ustaliła się hierarchia krajów eksporterów: 1. kraje bardzo bogate, sprzedające znakomite lecz drogie towary (m.in. Japonia, Szwajcaria, Szwecja i większość krajów EWG); 2. kraje już dziś lub dopiero jutro bogate, sprzedające znakomite towary po umiarkowanych cenach (m.in. Hong Kong, Taiwan, Singapur, Korea Południowa); 3. kraje ubogie lub opóźnione w rozwoju, sprzedające towary średniej jakości po niskich cenach (m.in. Meksyk, Egipt, Makao, Czechosłowacja i Węgry); 4. kraje nędzarskie, wyprzedające towary poniżej cen rynkowych (m.in. Bangladesz, Burma, Polska i Rumunia). George Shopflin, specjalista od zagadnień wschodnioeuropejskich w londyńskiej School of Economics, pisze, że Rumunia ery Ceausescu jest klasycznym przykładem rozwoju wstecz; Polskę klasyfikuje za Rumunią w tej konkurencji.

W przypadku Polski nie widać przesłanek na rychłe odwrócenie procesu degradacji gospodarczej i cywilizacyjnej. Z raportu opracowanego ostatnio przez ekspertów amerykańskich wynika, że miarodajne czynniki USA liczą się z możliwością katastrofy ekologicznej w Polsce jeszcze przed końcem stulecia. W ciągu 12 lat dzielących nas od tej daty — o ile nie nastąpi radykalny zwrot w sytuacji — mają wystąpić na ok. 1/3 powierzchni Polski zaturcia i choroby na skalę społeczną, powodujące zwiększoną umieralność wśród zagrożonych grup społeczeństwa. Spowodować to może bezprecedensowe parcie na emigrację, w pierwszej kolejności do USA i Kanady. Taki obrót spraw byłby dosłownym spełnieniem warunku do rozpoczęcia dialogu, jak go formułuje Drugie Prawo Realnego Socjalizmu. Prognozy uczonych ekspertów, oparte na ekstrapolacji bieżących tendencji, często zawodzą. Warto jednak pamiętać, że prognoza katastrofy dla Polski już istnieje. Sporządzono ją na wszelki przypadek.

### NIE KWITOWAĆ

Są w łonie PRL-owskiej warstwy panującej wpływowo koła, które biorą pod uwagę możliwość ponownego przyspieszenia historycznego w momencie, gdy ilość objawów degradacji cywilizacyjnej przejdzie w jakość polityczną. Ci ludzie czynią przygotowania, aby w odpowiednim momencie spaść na cztery łapy. Nie każdy ma ochotę na emeryturę w Moskwie w towarzystwie Nadżibullaha.

Poletkiem doświadczalnym tej grupy jest tygodnik *Polityka*. To znakomicie redagowane pismo w ciągu ubiegłego roku do-

konało cudów socjalistycznej ekwilibrystyki: pisało o zasługach Dmowskiego, basowało Piłsudskiemu, potem Rozwadowskiemu, biadało nad Marcem 1968 i opisywało zacołanie Polski pod każdym względem. W „marcowym” numerze doszło do rzeczy niesłychanej. Oto wypomniano samemu Generałowi, iż złote szlify ministra obrony narodowej dostał w następstwie „wydarzeń marcowych”, podczas gdy M. F. Rakowski był i pozostał czysty jak łąka. Wreszcie niemal bez przerwy pisze *Polityka* o polskim Kościele i o katolicyzmie. W tym ostatnim nurcie prym wiedzie kauczukowy felietonista z ostatniej strony pisma. Połowę wierszówki wyrabia on utyskiwaniem na totalizm i nietolerancję polskich katolików, których on — niewierzący — czuje się ofiarą. On i współbrzmiające z nim głosy nie mogą mianowicie dostać się na katolickie łamy. Felietonista proponuje dialog.

Jedna jaskółka wiosny nie czyni. Jedna jaskółka świadczy jednak o tym, iż do wiosny już bliżej niż dalej. Jaskółka przypomina również, kto i z kim mianowicie miałyby przyszyły dialog prowadzić.

Zbyt niewiele spośród ekstremistów opozycji zdaje sobie sprawę ze skutków, jakie dla autorytetu „Solidarności” w społeczeństwie mogłoby mieć ukazanie się jej przedstawicieli w roli rozmówców władzy, która wprowadziła stan wojenny, a w marcu 1982 roku podała usta Breżniewowi na lotnisku moskiewskim. (Wie o tym dobrze Jacek Kuroń, toteż Jacek nie jest ekstremistą). Uścisku rąk takiej władzy mógłby — w opinii społecznej — nie wytrzymać ani Wałęsa, ani Stomma. Dlatego bardziej realistyczne podejście do sprawy dialogu mają, każdy na swój sposób, Kornel Morawiecki i Stefan Kisielewski, anizeli ekstrema dobijająca się o porozumienie. Dwaj panowie K. mają zdolność odróżniania cierpliwości od marnowania czasu.

Kornel Morawiecki realista? Odpowiedzmy pytaniem: kto był realistą w lipcu 1917 roku — wąsaty brygadier maszerujący do więzienia, czy ze szczerych patriotów złożona Rada Konsultacyjna (wówczas nazywano ją Regencyjną), zanosząca petycje do władz?

Trudno to sobie dzisiaj wyobrazić. W pewnym momencie władza w Polsce będzie leżeć na ulicy. Trzeba przygotować szeroką gamę orientacji politycznych dla większości społeczeństwa, aby móc władzę z dobrym skutkiem podnieść.

Zdarzyć się to może w trakcie kolejnej zimy. Ponownie pękać będą węzły ciepłownicze, do kipiącej wody wpadnie nie tylko grupka dzieci z przedszkola, ale również parę SKOT-ów z milicją, w końcu ogrzewanie przestanie działać (Adaś Michnik mówi, że *pieriestrojkę* wymusiły kaloryfery w ZSSR, oświadcza-  
jąc, że dadzą się rozstrzelać, ale grzać nie będą), do domów za-



mieszkańców również przez rodziny milicyjne przestanie dochodzić woda i elektryczność, pęknięta szyny obecnie spawane z segmentów (szyny dobrej jakości sprzedano za granicę), wreszcie Polska zawiesi wykonywanie serwitutów zbrojeniowych dla Paktu. Wówczas nastąpi pokojowa interwencja Moskwy i Kreml zażąda podjęcia rozmów. Nie, nie z Wałęsą. Dogodniejsza okaże się pradawna polska instytucja Interrexa. Po raz pierwszy będą to rozmowy na serio.

Na taki moment musimy być przygotowani. My wszyscy, nie zaś tylko my z „Solidarności”. I dlatego, Kochany Adasiu, sens ma nie tylko to, co piszesz Ty i co robi KKW lub WiP, lecz również to, co robią Romaszewscy ze swą wielopostaciową działką, Paszyński, Dzielski i Syryjczyk ze swymi towarzystwami, Marcin Przybyłowicz z Otrężeńwieniem Narodowym, Waldemar Fydrych z Alternatywą Pomarańczową, Marcin Król (tak, tak) z *Res Publiką*, Leszek Moczulski z fantomem KPN-u, nawet Jan Józef Lipski ze swymi marzeniami o PPS-ie. Nas musi być wielu i, broń Boże, pod jednym ideologicznym sztandarem!

Trudno oczekiwać, aby towarzystwa przemysłowo-gospodarcze obaliły nomenklaturę. Trudno spodziewać się, aby wielu ludzi stawiło się pod sztandar PPS-u. Jednak stawka jest tak ogromna, iż właśnie taki pluralizm należy popierać, wystrzegając się paratotalistycznego dążenia do rządu dusz i serc przez jedną organizację, jeden ruch. Stawką jest, mówiąc brutalnie, zapobieżenie ostygnięciu martwiejącego organizmu w ciągu lat dzielących nas od chwili, gdy odpadnie narośl pasożytnicza.

Prognozy mają to do siebie, że przeważnie nie spełniają się. Sprawy mogą potoczyć się jeszcze inaczej. Nie bawmy się dłużej w futurologię. Pozostając na gruncie sprawdzalnych faktów, katastrofa cywilizacyjna Polski jest niewątpliwa i żadne prognozy tego faktu nie zmieniają. Nadzieje na wczesne nawiązanie dialogu z tą władzą są szkodliwą iluzją. Raczej uderzmy się w piersi, wyznajmy grzech ekstremizmu i naiwności politycznej. Ten grzech widać jasno w tekście cytowanym na wstępie. W odniesieniu do władzy komunistycznej nie obowiązuje logika przyczynowo-skutkowa, w tym ustroju liczy się dzierżenie władzy, do dialogu dojdzie, gdy władza będzie podcięta. Wyrzeknijmy się więc mrzonek i róbmy swoje, pomni rady udzielonej w podobnych okolicznościach lat temu ponad sto dwadzieścia pięć:

„Brac co dają, NIE KWITOWAĆ, żądać więcej!”

Jerzy JASTRZĘBOWSKI

Luty-marzec 1988 r.

## Zdaniem laika

Ponieważ Polska AD 88 wypełniona jest po brzegi ekspertami, roi się od specjalistów i mrowi od teoretyków, postanowiłem stanąć mocno na pozycjach laickich. Oczywiście nie tych kościelnych spod znaku Giertycha juniora, bo mi jeszcze godność własna miła, ale takich ogólnych: nie jestem ekspertem, specjalistą, teoretykiem, nie znam się na polityce, ekonomii i socjologii, a już szczególnie na politologii. Więc jakim prawem (to chór oburzonych rodaków) wypowiadasz się o sprawach zasadniczych? A no tym samym prawem, które pozwala w rzeczonych sprawach zabierać głos owym wyliczonym powyżej jegomościom. Cała bowiem między nimi a mną różnica polega na tym, że oni podają się za ekspertów i rzeczoznawców, a ja się nie podaję. Dość inwokacji, rzecz bowiem wcale nie do śmiechu.

Przeszła w PRL zima, która miała być ostra, a na dobrą sprawę w ogóle jej nie było i nie wiedzieć, czy to była łaska Boska czy katastrofa, rzecz bowiem zarówno przewidywana jak i nieprzewidziana w ustroju takim jak PRL-owski zawsze katastrofą grozi. Przeszły podwyżki i co? Nic! Ludziska mruczą, pyskują nawet, ale jaruzelska *glasnost'* dopuszcza dziś już nawet pyskowanie, dalszych konsekwencji jednak brak. Mieszkańcy PRL zachomikowali trochę cukru, trochę mąki i makaronu, może w ten sposób zaoszczędzili, a może tylko ożywią domowe hodowle mącznych moli, po PRL-u niesie się pomruk, ale nic się nie dzieje. „Solidarność” nie bardzo wiedziała, co począć z całą tą sprawą, raz jeszcze dała się „zaskoczyć”, a co gorsza — wytrącić sobie z rąk oręż „walki o robotnicze prawa”, oręż ten bowiem przechwytyły nowe tzw. związki zawodowe, tocząc z góry kupiony mecz z władzą. Tu obniżono, tam odwleczono, ale stało się w końcu to, co stać się miało. Najgorszy w tym pozostaje fakt, że ta kolejna rządowa inicjatywa, kolejny etap pauperyzacji spo-



łeczeństwa nie zda się na nic, albo o wiele gorzej, zda się na ostateczne zawalenie waluty, którą — choć niewymienialną — posługiwaliśmy się całymi latami. Pokrętnie wyjaśnienia „specjalistów”, że ów kolejny etap pauperyzacji uzdrowi krajową ekonomię, bo „przybliży ceny do rzeczywistości”, są tak bezzadnie naiwne, że chwilami czuję się jak za dawnych bierutowsko-stalinowskich czasów, kiedy nauczyciele społeczeństwa, pokazując mu na lekcji tablicę, wołali: patrzcie, jaka ona biała!

Tak więc początek roku '88 przyniósł nam zastąpienie drugiego etapu reformy (a kiedy był pierwszy?) kolejnym etapem regresji. Teraz już pojedziemy jak po maśle (oczywiście importowanym, bo PRL już nawet na własne nie stać) w inflację i dalszy ekonomiczny demontaż. Przypominam sobie przestrogi mego starego mentora, który od samego początku PRL pouczał: „Czytaj pilnie gazety, a jak przeczytasz, że wkrótce ruszy masowa produkcja szczotek do zębów, to pędź do najbliższego sklepu i kup sobie szczotkę, bo to znaczy, że ich wkrótce w ogóle nie będzie”. Rada mądra, ale ja gazet od dawna już nie czytam i problem, który staje teraz przede mną (i przed tysiącami czy nawet milionami rodaków) polega nie na tym, co kupić „na zapas”, ale za co kupić to, co przypadkiem jest w sklepie.

Więc co się naprawdę wydarzyło na początku '88 roku? Najgorsze, że właśnie nic, reżim po raz pierwszy na tę skalę podejmując kolejny etap pauperyzacji nie zrobił społeczeństwu niespodzianki, tylko zapowiadał i obiecywał ile wlezie. Nie obudziliśmy się 1 marca z ręką w nocniku, ale o wiele gorzej. Albo może wciąż jeszcze wcale się nie obudziliśmy. Trwa w Polsce wielkie spanie. Przez sen pracujemy, przez sen mruczemy lub pyskujemy, otwieramy oczy na chwilę, gdy chodzi o wykonanie jakiejś skomplikowanej kombinacji, albo kiedy w telewizji pokazują Urbana. Nigdy nie przypuszczałem, że naród nasz nosi w psyche swej tak wiele sado-masochizmu.

Jest chyba jak po powstaniach ubiegłego wieku, kiedy po zrywku opanowywał społeczeństwo długotrwały marazm. Teraz, kiedy społeczeństwo po kilku latach szamotania się usławiło sobie, że jednak przegrało swą walkę i to przegrało szczególnie dotkliwie, bo w starciu z Targowicą własną, a nie z zewnętrznym napastnikiem, wielkie spanie przybrało formę szarej kołataniny, układania sobie żywota w padołku usłanym przez kolejną ekipę. Nie chciałbym być źle zrozumiany: pisząc o niedostatkach PRL-owskiego żywota mam świadomość, że ów żywot został jakoś tam osłodzony: u nas się jednak nie głoduje, w bloku wschodnim nie zajmujemy ostatniego miejsca (Rumunia bije chyba wszystkie rekordy), można pokombinować, coś tam uszczknąć na boku, a w pracy nominalnej nie zanadto się wysilać. Jest marnie, ale

tylko marnie: reżim zadbał, aby nie było całkiem źle, przede wszystkim znakomitym, jak się z perspektywy okazuje, pociąganiem amnestii.

SB stara się nie zanadto niuchać, pewnie ma na tapecie wiele ustaleń i mogłaby wielu ludzi poaresztować, ale tego nie robi, stwarza się wrażenie powszechnej liberalizacji, prasa — obojętne, czy opozycyjna czy prorządowa — pełna jest wypowiedzi, o których przeprowadzeniu przez sitko do niedawna mowy być nie mogło. W ogóle niby-liberalizacja, jaruzelsko-kiszczakowska *glasnost* na pełny regulator. Nie muszę wyjaśniać, dlaczego tak się dzieje, to już wyjaśniane było kilkakrotnie: jeśli ludziom zamiast reformy daje się podwyżki, to trzeba także dodać coś na deser. A najtańszy jest swoisty liberalizm serwowany przez dyktaturę proletariatu.

Ster opozycji przeszedł znów niepodzielnie niemal w ręce intelektualistów. Można by rzec, że to swoista pokuta za wszystko złe, co przez tychże zostało narodowi wyrządzone zwłaszcza w pierwszym bierutowsko-stalinowskim etapie historii PRL. To pewna prawidłowość, którą niedawne manifestacje (rocznicowe marca '88) potwierdzają. Są w tej sytuacji dwa aspekty godne przemyślenia: czy w dzisiejszym PRL-u istnieje jeszcze klasa robotnicza i dlaczego właśnie intelektualści, czy szerzej — inteligencja — są tak bardzo przeciwni reżimowi?

Otóż tzw. klasa robotnicza zapewne istnieje, zwłaszcza jeśli się przyjmie terminologię marksistowską, ale istnieje inaczej niż za dawnych czasów, kiedy stanowiła pewną zamkniętą całość, odgradzoną od innych formacji społecznych i reprezentującą jej część ekonomicznie najsłabszą. W sytuacji obecnej owa „klasa” przestała być wyraźnie wydzieloną formacją społeczną: wsiąkła w społeczeństwo, które zmieniło podziały, a przede wszystkim uległo pewnego rodzaju unifikacji. Szczególnie w polskiej sytuacji przemieszczenie robotników z warstwą chłopską doprowadziło do zatarcia granic społecznych; bariery zaś rzeczywiście zostały obalone. Co więcej, robotnicy nie są dziś bynajmniej warstwą upośledzoną ekonomicznie, co polega nie na jakimś szczególnym awansie ludzi pracujących fizycznie w stosunku do ludzi pracujących jak to się mówi, umysłowo, ale na generalnej pauperyzacji, która łaskawiej obeszła się z tymi pierwszymi.

Ponieważ zaś wyrównały się (w dół) standardy życiowe, zanikły także bariery i migracja między warstwami społecznymi jest zjawiskiem codziennym. To, co utrzymuje różnicowanie formacji społecznych, to raczej pewne tradycyjne związki personalne, pewnego rodzaju klanowość, co dotyczy zarówno np. starej inteligencji (uniwersyteckiej czy z wolnych zawodów), jak też inteligencji pochodzenia wiejskiego (można zaobserwować w większych miastach polskich tworzenie się pewnych grup terytorialnych, np.



„chłopów” rzeszowskich, kujawskich czy o jeszcze węższym zasięgu — łomżyńskich, lesznień itp.). Faktycznie zaś sprawą najistotniejszą stało się to, że robotnicy stali się rzeczywiście *middle class*, na niekorzyść zdecydowanej większości inteligencji. Inteligencja w Polsce nigdy nie była ekonomicznie nadmiernie mocna. W ubiegłym wieku rekrutowała się w dużym stopniu ze szlachty wysadzonej z wiejskich sioł, dzisiaj jest warstwą w połowie dziedziczną, a w połowie z awansu, przeważnie spływającą ze wsi do miast.

Z tej warstwy rekrutują się współcześni „możni PRL-owskiego świata” — nomenklatura — ale to przecież tylko drobna część całości, część całkowicie zdecydowana na jakąkolwiek kolaborację i jakikolwiek *establishment*. Cała reszta to w przeważającej mierze gołota, ludzie, którzy z punktu widzenia społecznego etosu „zrobili karierę”, ale naprawdę ich kariera polega tylko na uprzywilejowanej sytuacji w opinii zbiorowej, a nie na wyższym standardzie społecznym. Nauczyciel, pomniejszy urzędnik, przeciętny „pracownik umysłowy” fabryki czy innego państwowego przedsiębiorstwa — to człowiek stojący dziś na drabinie społecznej najniższej, chyba że potrafi dwoić się i troić w zakresie dodatkowych zarobków, że wchodzi „w układy” gwarantujące dodatkowe przychody, że ma możliwość kradzenia lub przyjmowania łapówek. Smutne ale prawdziwe! Dlaczego np. najmierniejsi kandydaci na studia idą na wszelkiego rodzaju uczelnie „pedagogiczne”? Bo być nauczycielem to najniższy szczebel awansu, dający jedynie satysfakcję „bycia inteligentem”.

A jak w tym wszystkim mieszczą się intelektualiści? Dlaczego są głównym zarzewiem wszelkiej opozycji? Oczywiście bierze się to przede wszystkim stąd, że jako wyraziciele najszerzej pojętej inteligencji odczuwają presję dewaloryzacji społecznej. Minęły złote czasy, gdy wszyscy niemal co się opowiedzieli za reżimem, mieli życie usłane różami. Socjalistycznymi wprawdzie, czyli przywiedłymi, ale różami, których kolce były dyskretnie zneutralizowane opakowaniem. I nie jest bez znaczenia fakt, że po tamtych czasach pozostał głęboki niesmak. Cokolwiek by nie mówili dziś (zobacz zbiór wywiadów Trznadla „Hańba domowa”), jakiegokolwiek znajdowałiby uzasadnienia (z tym najgłupszym, które określono minoderyjnie jako „heglowskie ukąszenie”) — pozostaje faktem, że mają coś, co nazwać by można moralnym gniotem. Znaczna część intelektualistów poparła bowiem wówczas, gdy za uczciwość ideową zamykano a nawet likwidowano, ów reżim nasłany z Moskwy. Oczywiście dziś łatwo być opozycjonistą, reżim Jaruzelskiego jest rzec można „anielsko” cierpliwy i niedostatki państwowych apanaży można ostatecznie częściowo pokryć innymi sposobami. Tak więc intelektualiści stoją dziś w zdecydowanej większości po drugiej stronie i to nie-

zależnie od przeszłości. To też rzutuje na opozycję inteligencką, zwłaszcza zaś młodych, którzy jeszcze nie doszli do przekonania, że może w końcu wygodniej nie kontestować, że mała stabilizacja lepsza niż destabilizacja itd.

Niemniej nurt opozycji inteligenckiej też słabnie. Słabnie z przyczyn przede wszystkim materialnych. Fenomen drugiego obiegu, który przez sześć lat imponował intensywnością, obecnie niewątpliwie zaczyna się kurczyć. Jak się zdaje, zmniejszyła się liczba tytułów prasowych, skurczyła sfera ich zasięgu, kwitnie nadal produkcja książkowa, ale i ona zaczyna wykazywać znamiona kryzysu: książki w drugim obiegu kosztują drogo, przeciętnie od 500 do 2.000 i więcej, co zważywszy katastrofalny regres w budżecie rodzinnym przeciętnego Polaka (a zwłaszcza inteligenta, podstawowego odbiorcy) zaczyna być wydatkiem ponad możliwości nabywcy. Przystajemy kupować wydawnictwa i tym samym zaczyna się zrywać także owa więź intelektualnej wspólnoty. Coraz częściej natrafiam na rozmówców, którzy — choć powinni — są poza drugim obiegiem.

Natomiast coraz nagminnie, mimo radykalnego podrożenia, nabywane są gazety reżimowe, co zrozumiałe tak długo, jak długo nabywcy taką gazetę kupują, by mieć bieżącą informację, nowości sportowe, program TV, ale zaczyna zdumiewać, gdy kupują po dwie czy trzy różne gazety, które tylko z tytułu są różne, zawierają bowiem identyczną PAP-owską papkę informacyjną, podaną kiepską żurnalistyką, niewartą (w 9 przypadkach na 10 — licząc optymalnie) lektury. Więc co? Czyżby wobec braku opakowań i papieru higienicznego dla wtórnego użytku kupowano tę prasę? Nie — jest to niestety objaw pewnego przyzwyczajenia, które np. każe znacznej części rodaków zasiadać przed telewizorami, by nabożnie podenerwować się przy konferencjach prasowych rzecznika.

To także jest znamię wielkiego spania. Nie, nie jest wesoło na przedwiośniu '88.

A co na to Kościół? No właśnie. Pozostaje, rzecz by można kaśliwie, w pełnej zgodności z narodem: śpi, tyle że z otwartymi oczami. Jeśli pod koniec lutego w kościołach odczytano komunikat konferencji episkopatu, nawiązujący do najnowszej (ważnej!) encykliki papieskiej i do niedawnych podwyżek, gdzie wyrażone zostały w sposób wyraźny obawy społeczeństwa i określone zadania Kościoła w tej dziedzinie, to tego rodzaju enuncjacja jest czymś nowym w ostatnio prowadzonej działalności pastoralnej, w której wyraźnie wyciszono głosy księży-bojowników. Prymas jak podróżował tak podróżuje, jak udzielał niedoważonych wywiadów, tak udziela, większość biskupów główną energię poświęca budowaniu nowych kościołów, których zaczyna być w Polsce tak wiele, jak w żadnym innym kraju, i tak wielkich jakby w PRL-u



nie było permanentnego kryzysu i nie nędzy może, lecz powszechnej biedy.

Z tej właśnie biedy coraz drastyczniej zaczynają się wyróżniać mlekiem i miodem płynące (ale dla księży wyłącznie) parafie. Słowa papieża, wypowiedziane w tym względzie w czasie mszy w Tarnowie, uleciały z wiatrem niepamięci. Zaczyna się pojawiać szczelina pomiędzy społeczeństwem i duchowieństwem, które raz jeszcze zaczyna zapominać, że dobrobyt Kościoła, fundowany przez nadmierną zapobiegliwość kleru, przynosi w konsekwencji nieobliczalne straty. Ileż razy trzeba powtarzać: Kościół przez swych urzędników (tak, tak — księży!) tak długo funkcjonuje sprawnie i skutecznie, jak długo ci urzędnicy żyją w społeczeństwie, a nie ponad nim. Kościół jest instytucją pastoralną, a nie ekonomiczną. Kościół ma pierwszy i najbardziej podstawowy cel: wsłuchiwać się w życie narodu, któremu ma służyć, a nie — którym ma zarządzać.

Nie chcę dezawuować wielu dziedzin działalności polskiej Eklezji, na głęboki szacunek zasługuje obfita prasa i wiele wydawnictw, które znaczą radykalny skok od przedwojennej parafiańskości podobnych publikacji, na pochwałę zasługuje rozbudowanie nauczania Kościoła poprzez coraz szersze upowszechnienie tygodni kultury chrześcijańskiej i wiele innych jeszcze inicjatyw. Chcę tylko zwrócić uwagę na to, co niepokoi, bowiem nie ma to być artykuł optymistyczny i wywlekam tu świadomie te elementy negatywne, które dostrzegam w zasięgu mego wzroku i słuchu. Co też podkreślam, aby mnie kto nie posądził o mądrzenie się. Piszę po prostu o tym, czego doświadczam żyjąc w PRL-u i mam pełną świadomość tego, że niektóre z mych spostrzeżeń mogą być zdeformowane jednostkowym punktem widzenia.

Wielkie spanie pociąga za sobą pewnego rodzaju sterylność politycznego programowania. Kręgi opozycyjne jakby zatrzymały się i przestały starać o to, by planowanie inicjatyw dostosowywało się do coraz to nowej, coraz to odmiennej sytuacji. Obserwuję się z jednej strony na siłę robiony martyrologizm (w pismach drugiego obiegu relacjonowanie wszelkich, drobnych nawet sankcji, np. kar pieniężnych), z drugiej wytwarzanie „mitów rodzinnych”. W momencie, gdy należałoby ze specjalną uwagą obserwować przeobrażenia dokonujące się w kraju i całym bloku, tworzy się mit „solidarnościowej” bohaterszczyzny, czyli jeszcze jeden mit polski, w którym historyczne *calamitates* usiłuje się przedstawić jako coś, co musiało się zdarzyć, co było zasadne i konieczne. Wojna jaruzelska była szczególnie bolesną, choć niemal bezkrwawą klęską powstania, które nie było zarazem powstaniem. Nowa forma oręza niepodległościowego, jakim miał być masowy ruch oddolny, została pokruszona nie przez obce, ale własne siły

reakcji. I nie ma się czym chwalić, tylko spokojnie, bez mesjanistycznych emocji, rozważyć inną taktykę i inną skuteczność walki o niepodległość i o prawa człowieka.

„Mitami rodzinnymi” określiłbym także odradzanie się dawnych ideologii politycznych sprzed drugiej, a nawet pierwszej wojny, które dobre były w Europie liberalnej i parlamentarnej, ale w komunistycznym świecie wywróconym na opak są anachroniczne. Już nie mówię o chadeckich, endeckich czy socjaldemokratycznych koncepcjach, ale chciałbym zauważyć, że być może najprężniejszy ruch, neokonserwatywny, także grzęźnie w archaizmach pojęciowych. Proszę zauważyć, jak znakomity (choć perfidny) użytek robili komuniści z odpowiednich zabiegów semantycznych: poszczególne słowa zaczynały w ich nowomowie znaczyć coś innego niż znaczyły dotychczas, tworzone z reguły pary przeciwstawnych pojęć na zasadzie białe-czarne. Oto najklasyczniejszy przykład: lewica i prawica; lewica oznacza postęp, prawica reakcyjną wsteczność. W tej sytuacji neokonserwatyzm, tak popularny w państwach demokratycznego zachodu, w słownictwie PRL-owskim nabiera innych znaczeń: staje się synonimem reakcyjności prawicy, oporu wobec postępowych przemian.

Zewsząd rozlegają się głosy ludzi rozsądnych, którzy kwestionują zastarzałe rozróżnienie na prawicę i lewicę, nie funkcjonujące w kręgu socjalizmu sowieckiego. Zwracano już uwagę, że reakcyjność w znaczeniu oporu wobec przemian, niechęć do jakiegokolwiek rewizji zasad i metod, to właśnie cechy sowytyzmu u władzy, przy którym na „lewicy” znaleźli się wszyscy ci, którzy domagają się reform czy wręcz radykalnych zmian w sytuacji totalnego zniewolenia. Sądzę, że neokonserwatyzm polski, jeden z nielicznych twórców politycznych, które nie ograniczają się do odgrzewania ideowych kotletów, niepotrzebnie sam się naraża na inwektywę reakcyjności, gdy w rzeczywistości jest nurtem radykalnym i reformistycznym. Grzechem — w moim przekonaniu — tego kierunku jest zakładana możliwość reformowania ustroju i przeobrażania totalitaryzmu w demokrację. Oczywiście: na tym najbardziej zwariowanym ze światów wszystko jest możliwe, ale ja osobiście mam taki pogląd, że niczego nie da się budować zaczynając od dachu. Demokratycznego i konserwatywnego komunizmu też.

Należę do ostatnich, którzy by mieli wygłaszać pochwałę komunistycznej nowomowy. Niemniej doceniam jej pragmatyczną skuteczność. Strzeżmy się słów, które można przeciwko nam obrócić. Strzeżmy się pojęć w zakresie polityczno-ideowym niedookreślonych. Anglosasi mówią: *a penny for your thought*. Mówmy: cent za słowo. Lub: pokaż mi słowo, a powiem ci kim jesteś.

Teraz można by rozpocząć cały odrębny blok rozmyślań nad tym, czy możliwe jest wygodne urządzenie się w sowytyzmie?



Ale wymagałoby to zbyt wielu słów nie wartych centa. Odpowiedź brzmi: co prawda w komunizmie typu sowieckiego można się stosunkowo dość dobrze urządzić, ale będzie to zawsze indywidualne, jednostkowe urządzenie, niestabilne i najczęściej okupione drogo. Urządzenia się zbiorowego, a więc narodowego, jakoś trudno sobie wyobrazić i to nie tyle dlatego, że sowietyzm „jest zły”, ale dlatego, że jest nieudacznym, to znaczy nie gwarantującym „każdemu według jego potrzeb”. Pomijam już zagadnienie, co to są potrzeby i wedle jakiej skali je mierzyć, co nigdy do głowy nie przyszło teoretykom marksizmu.

Można natomiast w obrębie komunizmu sowieckiego usiłować budować fundamenty tego, co chcielibyśmy kiedyś dojrzeć — jako zjawisko postępowe, choć wcale nie lewicowe — na miejscu ruin nieudaczonej ideologii. Tylko, na miłość Boską, nie zaczytajmy od krokwi czy dachówek!

Tymoteusz KLEMPSKI

Marzec '88

## LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii  
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ● Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

**T A Z A B LTD.**

**Tazab House, 273 Old Brompton Road,  
London SW5 9JB, England.**

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

**Madame C. Piquard-Zabłocki,  
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.**

Tel.: 42 85 79 45.

## Wiersze

Adam BAKOWSKI

### POTĘGA ZŁEGO SMAKU

*Tak nie grzeszyliśmy dobrym smakiem  
tak grzeszyliśmy w inny sposób  
opatuleni tkuszcem wiary  
pospinani ścięgniemi strachu*

*Dziś wiemy już co dobry smak  
niesmak w nas budzi na przykład wszelka pornografia  
jesteśmy inni*

*Gdy się dobrze zastanowić  
to potęga złego smaku jest większa  
jego wyznawcy  
o jakże często nieświadomi  
są liczniejsi  
taki widocznie jest porządek rzeczy  
muszą być ofiary*

*Reszta jest naszym zakłopotanym milczeniem dzisiaj  
naszą wieżą z kości słoniowej  
nie burzcie jej  
bardzo jej potrzebujemy  
nie możemy mówić o tym czego nie rozumiemy  
a zresztą słowa słowa  
nie wszystko można oddać w słowach  
człowiek tak często wymyka się sam sobie*

*Byliśmy jesteśmy  
zwykłymi ludźmi*



może niejednokrotnie poronionymi bohaterami  
przyszliśmy na ten podły świat  
dziesięć lat za wcześniej

Piękne były brzydkie dziewczyny o czerwonych rękach  
(czerwonych przecież nie od krwi)  
i pryszczaci chłopcy  
(czy są w ogóle inni chłopcy w tym wieku?)  
może nie ciałem piękni ale duchem  
co rozświetlał ich od wewnątrz  
(nie mylić z wewnętrzną emigracją ducha)  
nie byli winni  
oszukano ich  
nie zaniechano nauki o pięknie  
ale rozumiano je inaczej

Urzekający jest strach  
jak kiedy babcia opowiadała  
o wilkołakach i bazyliškach  
niby bezpiecznie ciepło ale przecież

Nie byliśmy piękno- ni lekkoduchami  
tak zapewne jesteśmy mendami które urodziły się  
dziesięć lat za wcześniej  
w pewnym momencie straciliśmy głowę  
bezcenny kapitel ciała

Adam BAKOWSKI

Krzysztof GRUSZCZYŃSKI

### KIEDYŚ JESZCZE

Kiedyś jeszcze załśni tęczą  
nasze oko  
Pojedziemy kiedyś jeszcze  
ale dokąd?

Kiedyś jeszcze się przejdziemy  
tamtą drogą  
Odwiedzimy kiedyś jeszcze  
ale kogo?

Kiedyś jeszcze tam zajrzymy  
po kryjomu  
Opowiemy kiedyś jeszcze  
ale komu?

Kiedyś jeszcze powrócimy  
stamtąd z płaczem  
Żal odżyje kiedyś jeszcze  
ale za czym?

Krzysztof GRUSZCZYŃSKI

Mirosław SPYCHALSKI

\*\*

Moje palce wędrują. Skóra odnajduje kształty:  
szorstkość miasta, ostrze noża, ciepło ciała,  
porażający chłód granitu. Moje palce błądzą  
na granicy światła. Przykładam je do oczu.  
Moje palce szukają. Widzę Paryż — kawiarenki  
i bulwary, Sekwanę leniwą jak Odra. Wszystkie rzeki  
płyną przez palce do oczu i jak iskra zrozumienia  
giną w ciemnym dniu. Wszystkie rzeki, wszystkie rzeki  
tak leniwe i jednakowe — Odra jest Sekwaną a ja  
biegnę w szarym konfetti tynku i szukam Paryża,  
którego nigdy nie widziałem. Nie widziałem też Boga,  
Joanny d'Arc, Józefa Stalina, Adolfa Hitlera.  
Nie widziałem świętych, nie widziałem zbrodniarzy.  
Wszyscy biegniemy. Czasem rosną nam skrzydła —  
wtedy nas zapisują, chociaż nie widzieliśmy  
ani zbrodniarzy, ani świętych. Nie widzieliśmy  
nic, nic, nic.

Mirosław SPYCHALSKI



## Archiwum polityczne

### Diagnozy i prognozy

Diagnozy i prognozy są nam teraz szczególnie potrzebne zarówno w wielkiej, jak i w małej skali. W wielkiej dotyczą obu czerwonych kolosów, sowieckiego i chińskiego, które wstępują na drogę wewnętrznych reform. Są to reformy wymuszone rozpoznaniem, że jeśli nie przewyciężą gospodarczego skostnienia, to przegrają cywilizacyjny wyścig z Zachodem. Jednocześnie o takie diagnozy i prognozy jest szczególnie trudno, ponieważ dotyczą one procesów bez precedensu w historii komunizmu.

Zestawianie i porównywanie reform chińskich z sowieckimi wydaje się szczególnie ważne i pouczające. Jednak w literaturze przedmiotu — krajowej czy emigracyjnej — nie napotkałem na próby takich zestawień.

1. Reformy chińskie idą wyraźnie dalej niż sowieckie. W Chinach już dziesięć lat temu rozwiązano kołchozy i rozdano ziemię rolnikom na własność. Powstały „eksperymentalne terytoria gospodarcze”, z wyraźnym przechyłem ku ekonomice rynkowej. Miejsca pracy nie są już dożywotnio gwarantowane, jak w „klasycznym modelu” tego ustroju. Zdestabilizowaniu uległy nadto zarówno bezpłatna opieka lekarska jak i subwencjonowanie podstawowych środków żywności. Obecnie Chiny likwidują jedno z najważniejszych tabu komunistycznej mentalności w zakresie własnościowym. Obcy — kapitaliści — mogą *nabywać* ziemię (nieruchomości, grunty) — a nie tylko je *wynajmować* na określony czas, jak dotąd.

W wymienionych sektorach Sowiety tak głębokich przemian nie dokonały i nic nie wskazuje na to, by miały podobne zamiary. Sowiety zdają się postępować inaczej, chciałoby się rzec „prawie odwrotnie” niż Państwo Środka. W Chinach nie mówi

się tyle o demokratyzacji, nie nawołuje do „jawności” kulturalno-informacyjnej, a poza tym jeśli się cokolwiek tam obwieszcza, nie zdobywa takiego światowego rozgłosu, jak *pieriestrojka*, *głasność*, *demokratyzacja* i szereg zapowiadanych przez gorbaczowców zmian prawa stanowionego, łącznie z coraz bardziej radykalizującą się rewizją sowieckiej historii.

Natomiast rzeczywiste reformy gospodarczo-polityczne są w ZSSR względnie skromne.

Można by więc powiedzieć: w Chinach mniej się mówi, a więcej robi, w Sowietach więcej się mówi, dyskutuje, a mniej się robi.

Zachodzą jednak i podobieństwa, zwłaszcza w dziedzinie zarazem wywołanej reformizmem i niepożądaną: po powstaniu w Tybecie, które Chińczycy zdławili zbrojnie, nastąpił pogrom Ormian przez muzułmanów w Azerbejdżanie. Zarówno Chiny jak Sowiety musiały użyć siły; ponadto w informacji i propagandzie wycofały się z *nowych* na *stare* ideologiczne pozycje.

Sowiety stały się dla obserwatorów zachodnich bardziej przejrzyste od Chin, gdzie i fundamenty kulturowe i bariery językowe i różnorodność narodowościowa stanowią dla patrzących z zewnątrz *przesłony*, zaciemniające obraz. Z takim zastrzeżeniem można przecież dostrzec w Sowietach znaną prawidłowość odwrótu do tradycyjnych totalitarnych metod w obliczu niespodziewanych wydarzeń. Zarówno *wybuch czarnobylski* jak *pogrom ormiański* wywołały dosyć podobne reakcje moskiewskiego centrum: fazę przemilczania — fazę bagatelizowania — fazę „uspokajająco” kontrolowanej informacji — fazę stawiania diagnozy, która rychło przeszła w ostatnią fazę — „ideologicznie jedynie słusznego rozpoznania”, co się tu czy tam stało.

Różnice w obu przypadkach wynikły stąd, że śmierć radioaktywna policji podporządkować się nie chce, natomiast ludzie ustępują przed przemocą. Czarnobyl został zatem ufryzowany na wypadek fatalny, zawiniony przez złych pracowników, bohaterko pokonany przez dzielnych fachowców, a na koniec przecież opisany jako „tragedia optymistyczna”, bo stało się nieszczęście, lecz nie powstrzyma ono dalszych postępów w rozbudowie atomowej energetyki. Masowy pogrom Ormian został „pomniejszony” w oficjalnie podanej liczbie ofiar, gwałtów, rabunków itp., a winę rozłożono „neoklasycznie”: częściowo winni są zli miejscowi rządcy, częściowo „nacionaliści” i „ekstremiści” z ukrytym ostrzem antysocjalistycznym, częściowo wreszcie — i nieodwołnie — CIA, czyli „ośrodki zagranicznej dywersji”.

Na koniec zaś trzynastą republik, reprezentowanych w Radzie Narodowości (kupa starawych, egzotycznych przebierańców z „fartuszkami” orderowych blach na piersi) uchwaliło, że żądania



Ormian należy odrzucić, więc że *status quo* ma pozostać nienaruszony. Nawiasem mówiąc, już przedtem właściwie to samo zostało powiedziane w jednym z komunikatów TASS-a, z naiwnie szczerym dodatkiem, „co by było, gdyby wszędzie przyszło dawać zgodę na żądania lokalnych społeczności — zmiany granic terytorialnych” (między republikami związkowymi względnie autonomicznymi obwodami).

Zaiste: „co by było”!, gdyby władze centralne dały się powodować postulatami oddolnymi...

Gdyby CIA potrafiła setną część tego, co jej przypisują czerwoni, byłaby godna pochwał, na jakie niezbyt zasługuje. Ale to uwaga poboczna.

Jak już o tym w *Kulturze* pisałem, wszelkie pofolgowania, o znamionach coraz dalej postępującej odwilży, prędeż dają efekty niepożądane i niespodziewane, niż pożądane i oczekiwane.

Zachodni eksperci twierdzą, że rok 1987 dał w całym wschodnim bloku spadek produkcji. „Stare” nie jest już pewne swego, a „nowe” jeszcze nie działa, i nie wiadomo, czy i jak poskutkują w Sowietach reformy.

Natomiast w życiu publicznym, w kulturze zmiany są ogromne.

Nazwałem reakcję na konflikt azerbejdżańsko-ormiański „neoklasyczną”, bo w klasycznym ujęciu albo by go w ogóle „nie było” (tj. zostałyby przemilczane i zdławione wojskowo i politycznie), albo okazałyby się wyłącznym dziełem sabotażu i dywersji zewnętrznej. Już samo przyznanie przez *Prawdę*, że w pogromie uczestniczyły „elementy kryminalne” byłoby w „klasycznym” stalinizmie niemożliwe, ponieważ „nowy człowiek sowiecki” nie mógł się „skryminalizować”.

Zestawienie reakcji władz na tak odmienne zjawiska — porządku fizycznego (eksplozja reaktora) — i porządku społecznego — pogrom, zbrodnie, rabunki w masowej skali — wydaje się płodne poznawczo i przez to godne dalszej uwagi ze względu na przyszłość: ponieważ niespodzianek, także *groźnych*, można się spodziewać.

Pisałem już w *Kulturze* o zjawiskach społecznych, przypominających redukcję ciśnienia gazu sprężonego w zbiorniku. Model należy rozumieć w sposób następujący. Pozornie nieistniejąca dąta, jakby martwa, świadomość zbiorowa — warunek powstania opinii publicznej, zjawia się w pewnym momencie „redukcji ciśnienia policyjnego” bynajmniej nie w tej „ucywiliżowanej”, „oswojonej” i skulturalizowanej postaci, jaką znamy z państw demokratycznych. Nie: na skutek zmniejszonego ciśnienia odruchy mas pojawiają się *nagle*, żywiołowo, masowo, zrazu bezkształtnie, chociaż *nie muszą* koniecznie przybierać formy morderczej: tak właśnie *nagle* i *żywiołowo*, ale — pod wpływem tradycji chrześcijańskich — powstała w Sierpniu „Solidarność”.

Jakieś WZORCE muszą być: kiedy żadnych nie ma, ulice wypełnia groźny motłoch.

Totalitaryzm potrafi też stworzyć sztuczną pogromową spon-taniczność: taką była w Niemczech hitlerowskich *Kristallnacht*. Ale na dalsze pogłębianie analizy w zakresie psychosocjologii mas nie mogę sobie tu pozwolić.

2. Bezprecedensową jest sytuacja panująca w Polsce. Także, choć nie tylko, dlatego, że jej, o dziwo i o ile mi wiadomo, żaden socjolog porządnie nie rozpatrzył. Mianowicie ustrój, który 40 lat temu bał się jednego słowa — PRAWDY — i cały był monolitem zakłamania, nauczył się współżyć z prawdą i — co jawniej ukazuje jego ponure mistrzostwo — nauczył się wykonywać prawdę dla szerzenia kłamstwa!

W skrócie doszło do tej metamorfozy przez powstanie i zdławienie „Solidarności”. Podczas jej legalnego trwania władza kontratakowała naród propagandowymi kłamstwami (po pierwsze, że naród kocha czerwonego, natomiast patronująca związkowi zawodowemu „ekstrema” z doradcami łaknie konfrontacji, i to siłowej, prze do wojny domowej itp. Po wtóre, aby tezę tę skutecznie lansować, straszono partyjnych rzekomymi „listami proskrypcyjnymi” przygotowanymi jakoby przez „Solidarność” celem wymordowania wrogów, ponadto zaszyły znane prowokacje — bydgoska z pobiciem i śląska z użyciem gazowych trutek — było takich więcej).

Dobry socjologiczny i faktograficzny opis działań władzy, która chciała społeczeństwu dążącemu do pokojowego porozumienia nałożyć maskę rzekomej antyustrojowej i antypaństwowej wojowniczości, daje „Kadencja” J. J. Szczepańskiego na przykładzie rozbijania Związku Literatów przez oczernianie jego intencji, przez fałszowanie dokumentów (rzekomy list prezesa Związku do H. Jabłońskiego) itp.

Kiedy generał przydusił naród pierzyną prawie że bezkrwawego stanu wojennego, kłamstwo rozlało się szeroko. Przypomnijmy sobie rzecz ponuro zabawną: rzuciwszy nieco żywności do pustych sklepów, władza jęła z radosnym triumfalizmem głośić w gazetach, że „już zaczęła się poprawa”.

Jednak tego rodzaju kretyństwa nie mogły wystarczyć. Ponieważ czysto mechaniczny nawrót do stalinizmu w środkach przekazu był tak samo niemożliwy, jak nawrót do „propagandy sukcesu”, skompromitowanej za Gierka, należało wymyślić coś nowego. Do WRON-y dołączył więc PRON, potem SRAK-a, i to potemkinowskie budownictwo rozszerzało się, rząd rozmawiał z samym sobą w rozmaitych pseudospołecznych i niby-oddolnych wcieleniach, robił fikcyjną reformę, a upadek gospodarki, ruina ekologiczna, wzrost długów, zapaść zdrowotna narodu i dalsze



konsekwencje jaruzelskiego zwycięstwa trwały — aż całkiem niespodziewanie przyszło im wkroczyć w erę *pieriestrojki!*

Przyznać wypada, że najlepsi propagandyści rządowi — jest ich niewiele, ale wszyscy są godnymi następcami Goebbelsa — wywiązali się z nowego zadania nieźle. Robienie ludziom wody w mózgu uległo niejako informacyjnemu uprzemysłowieniu.

Ponieważ prawda jest na ogół jedna, a kłamstw może być ilość niezliczona, trudno sprowadzić to „nowe” — jako *współżycie prawdy z kłamstwem*, jako *używanie prawdy*, raczej *półprawdy na rzecz kłamstwa* — do jakiejś *jedynej* formuły.

Powstał wszakże, można to tak nazwać, sfałszowany pluralizm poglądów. Można np. żądać urynkowania gospodarki i można się temu sprzeciwiać, podając różne argumenty za i przeciw w druku.

Można głosić, że się będzie wypełniało „białe plamy” historii polsko-sowieckiej i na pytanie zagranicznego dziennikarza, czy będzie tam coś i o Katyniu, odpowiedzieć, jak minister Orzechowski: „Będzie na pewno, ale ponadto jest wiele pozytywów w tej naszej i radzieckiej historii, pięknych kart dotąd przemilczanych”. Proszę!

Można pisać (*Życie Literackie*), że rozwiązanie Związku Literatów było błędem politycznym i można się temu energicznie przeciwstawiać. Można sugerować, że rząd chciałby ożywić PEN-Club polski, ale członkowie zarządu są takimi zajadłymi wrogami polskiej suwerenności państwowej — jej oszczercami (min. Krawczuk) — że z takimi nie można prowadzić żadnych negocjacji.

Można pisać o naszej nędzy, o zatruciu środowiska, wody, powietrza, o tym, że mamy najwyższy w Europie odsetek dzieci upośledzonych już przy narodzinach skutkiem owych zatruc.

Można pisać o strasznym stanie szpitalnictwa.

Można odtwarzać instytucjonalnie myśl radykalnie-narodową (Giertych). Natomiast *nie* można odtworzyć PPS. *Nie* można dać paszportów przywództwu NSZZ „Solidarność”, zaproszonemu przez kongres australijskich związków.

Ideologiczna fasada uległa strzaskaniu. Panuje z pozoru mętny chaos. Andrzej Wasilewski, sługa sług moskiewskich, pisze w sowieckim miesięczniku o Polakach i o Polsce. Ze wstydem wyznaje, jak wyglądają ludzie z emigracji solidarnościowej na targach książki we Frankfurcie nad Menem: poobwieszani „amuletami” przebierańcy, żebrzący o forszę, o *publicity*, stają się tam jednym pośmiewiskiem. Poza tym Wasilewski wyjaśnia, że Polacy są poniekąd wariatami: z niepojętych, irracjonalnych pobudek, oczekując jakichś nadziemskich cudów, układają na ulicach jakieś figury z kwiatów, palą przy nich świeczki nie wiedzieć komu, na co, po co. Od Wschodu szło do Polski (już od Piastów) samo dobro, a zło od Zachodu, wyjawia ten uczony fałszerz historii, nie używający przy tych wywodach ani słowa z gwary partyj-

no-policyjnej. Wychodzi mniej więcej na to, że nie nazwana wprost „Solidarność” była bękartem polskiego irracjonalizmu i baroku.

Żelazne reguły propagandy ideologicznej zastępuje często baltowa frywolność takiego Passenta, który zwiększa zamęt w głowach, zwracając się felietonem z *Polityki* do tych „panów towarzyszy”, często profesorów (jak W. Nawrocki, onże Łukasz Budny, onże w trójcy nieświętej Paweł Krzyżan, bo musi się troić dla poszerzenia frontów łgarstwa), którzy gorliwie rozwiązywali Związek Literatów.

A już w zakresie publicystyki ekonomicznej powstała taka puszca poglądów, że diabeł się nie wyzna, kto głosi to, czemu sam wiarę daje, a kto uprawia dywersję. Na przykład Z. Szeliga w prasie i w radio ogłasza własny projekt ustawy, otwierającej wrota prywatnej inicjatywy od Tat do Bałtyku i nic, wolno mu. To, że z tej ustawy poza papierem nic nie wyniknie, jest osobną kwestią.

3. Tak więc, podczas kiedy oba czerwone olbrzymy próbują z autentycznym trudem urodzić coś na kształt reform, mających usprawnić gospodarke, u nas odbywa się niejako szopka w szopce. *Wielką szopkę*, pod patronatem J. Goebbelsa, który — przypomnam — w *Das Reich* pisał wstępniaki metodą „jak zrobić kłamstwo z niespodzianej prawdy?”, *odgrywa strona rządowa*. (Na przykład diabeł nie może się wyznać w tym, jak, po co oraz w którym właściwie wymiarze i kierunku, fałszowane było zeszłoroczne „referendum”, dotyczące II etapu reformy: było fałszowane, ale nie tak prosto, jak stalinowskie wybory, w których zawsze 99,9 % ludu murem stawało za czerwonym).

A szopkę w szopce urządzają np. studenci, bawiący się w „Pomarańczową Alternatywę”. Początek tej akcji ośmieszenia władzy dała chyba krakowska Piwnica, w której ustawę o wprowadzeniu stanu wojennego *chóralnie odśpiewano* z rytmicznym podkreśleniem doraźnie grożących za wszystko, srogich kar.

Niestety: zjawisk tak ogromnej skali i zakresu nie da się nawet wymienić, a nie to, żeby zanalizować w jednym niedużym artykule.

Należałoby się takich analiz spodziewać, a nawet żądać od socjologów, jako czynności z zakresu służby społeczeństwu. Lecz jedna z najinteligentniejszych postaci naszej socjologii, p. Jadwiga Staniszkis, zajmuje się całkiem innym problemami — niestety, z nienajlepszym wynikiem. Mam na myśli zapowiadane przez nią dzieło pt. „Ontologia socjalizmu”, na razie w maszynopisie, którego nie znam. Już sam tytuł nie jest terminologicznie szczęśliwy, „ontologia” bowiem, poza filozofią, nijak się ma do totalitaryzmu, ale mniejsza o to.



Naprawdę nie chciałbym p. Staniszkis sprawiać przykrości krytyką jej pracy, ogłoszonej dotąd w trzech fragmentach w dwu numerach *Kontaktu* (lipiec-sierpień i wrzesień 1987) oraz w 48 numerze *Aneksu*. Jednak błędy diagnoz i prognoz wypadają prostować tym bardziej, im są grubsze.

W wymienionych fragmentach zajmuje się p. Staniszkis gospodarczo-politycznym uzależnieniem państw Europy wschodniej od Sowietów. Kreśląc obraz tego rosnącego uzależnienia, napisała Autorka (str. 25 *Kontaktu*, numer wrześniowy): „Tak więc w Rumunii było stosunkowo łatwo przejść do fazy uniezależnienia się od ZSSR przez autarkizację gospodarki po likwidacji wspólnych przedsiębiorstw w 1954 roku”. A nieco niżej, również wytłuszczonym drukiem: „Rumuni zareagowali centralizacją i polityzacją gospodarki, blokując metodami politycznymi próby integracji gospodarczej i uzależniania”. I na dole te same strony: „Lidia Ceausescu uzyskała przy tym szerokie społeczne poparcie ze względu na niedawny szok interwencji w Czechosłowacji w 1968 roku”.

Takie rzeczy można było pisać, powiedzmy, w 1969 roku, i może też wtedy je p. Staniszkis napisała. Jednakże, jeśli nawet oddawała do druku w *Kontakcie* tekst zimą 1986, już wówczas okropny krach rumuńskiej autarkii był powszechnie widoczny, już wtedy było wiadomo, że Rumuni znajdują się w sytuacji *jeszcze gorszej niż Polacy* i że Ceausescu cieszy się powszechną *nienawiścią* w domu, a jego mniejszość węgierska ucieka do sąsiednich Węgier tak masowo, iż rząd węgierski wydzielił specjalne fundusze dla utrzymania, utworzenia stanowisk pracy, mieszkań itp. uciekinierom.

Ażeby nie uchybić dobremu obyczajom krytyki, podkreślę, że Autorka nie napisała nigdzie *expressis verbis*, iż uniezależnienie się Rumunii od ZSSR było czymś dla Rumunów „dobrym”. (Nie napisała jednak również, jaki obrót przybrała owa niezależność). Nie wiadomo właściwie, dlaczego należałoby dążyć śladem Rumunów do autarkii, do uniezależnienia się od ZSSR, jeżeli skutki okazują się aż tak opłakane, jak właśnie w rumuńskim przypadku.

Bynajmniej nie głoszę chwały uzależnień ani ich nie myślę zalecać, ograniczam się jedynie do sprostowania. Przeciwnieństwo (implikowane w tekście p. Staniszkis) pomiędzy *złym losem* satelitów, dających się uzależnić od ZSSR i *lepszym losem* tych, co się uzależnić *nie* dają, takie przeciwnieństwo *nie istnieje*, ponieważ jest fatalnie i pod uzależnieniem i bez uzależnienia. To z kolei nasuwa myśl, że system jest niedobry we *wszystkich* wariantach i modyfikacjach, łącznie z (na pewno) niezależną od ZSSR Jugosławią.

Tyle co do diagnozy. Prognozę natomiast przynosi fragment książki p. Staniszkis, umieszczony w 48 *Aneksie*.

Pisze tam Autorka, na str. 15: „Pokażę dalej, iż głębsze uzależnienie Europy wschodniej, rozwiązanie tą drogą przez ZSSR pewnych własnych dylematów gospodarczych oraz problem efektywnej kontroli w tym regionie jest warunkiem przetrwania ekipy Gorbaczowa”.

Prognoza ta na pewno nie odpowiada prawdzie. Oczywiście Moskwie zawsze zależało na uzależnieniu od siebie satelitów. Gorbaczow byłby szalony, gdyby jako przywódca imperialnego bloku życzył sobie pełnej suwerenności państw Europy wschodniej. To nie wymaga dyskusji. Natomiast problemem NACZELNYM dla Politbiura (każdego, nie akurat tylko gorbaczowskiego) stają się państwa Europy wschodniej wtedy, gdy zaczynają rwać więzy, łączące je z Sowietami. To jest dla imperium niebezpieczne. Dlatego doszło do interwencji w NRD w roku 1953, na Węgrzech w roku 1956 i w Czechosłowacji w 1968, aczkolwiek osobowy skład Politbiura był w każdym z tych wypadków INNY! Dziwaczne zaiste niezrozumienie stanu rzeczy.

„Przetrwanie ekipy Gorbaczowa” wcale nie jest pojęciem nadrzędnym, chcę powiedzieć, zwierzchnim, w hierarchii politycznej najwyższym, jeżeli chcemy rozważać przyszłość Sowietów.

Zwierzchni jest termin *skutecznej przemiany*, która pozwoli na:

- uzyskanie dopływu technicznych innowacji z Zachodu wraz z kredytami;
- wewnętrzne reorganizacje, umożliwiające wchłonięcie i wdrożenie tych innowacji;
- takie przekształcenie OBRAZU Sowietów w światowej opinii, by antytotalitarne (może „tylko” autorytarne), pokojowe, dobrodusze oblicze imperium zdobyło powszechną wiarygodność.

Takie uwierzytelnienie naglej, niespodziewanej „dobroci” umożliwi dzięki wymienionej trójcy nową, poleninowską *periedyszkę*, która zaowocuje tak, że klękajcie, narody! Od wyjawnienia, czy klękać poczną z radosnego podziwu czy ze strachu, niniejszym się powstrzymuję.

Natomiast, powtarzam, uzależnienie Europy wschodniej od ZSSR jest ważne, choć drugorzędne, a drugorzędne jako NIE decydujące o „przetrwaniu ekipy Gorbaczowa” jest dlatego, ponieważ — tu zacytuję „klasyka Gomułkę” — „i Salomon z pustego nie naleje”.

Nowych technologii nie uzyska ZSSR od państw Europy wschodniej tak samo, jak nie znajdzie w nich wzorców (*paterns* — ulubione słowo p. Staniszkis, jedno z setek obcych wyrażań, dziwiących się sobie w jej tekstach) menadżerskich, organizacyjnych, socjalno-bytowych, oświatowych, ani takich, które to służą



„socjalistycznej demokracji”. Rzecz w tym, że przydawka „socjalistyczna” ma w każdym normalnym tekście bloku sowieckiego logiczną wartość negacji: „socjalistyczna wolność” *nie jest wolnością po prostu*, tj. wolnością rzetelną.

Jest rzeczą godną zastanowienia adaptacyjna elastyczność tego totalitaryzmu, który od kłamstwa z wyłączoną prawdą umiał przejść do kłamstwa współlistniejącego z prawdą i do prawdy, służącej okłamywaniu i tumanianiu społeczeństwa — jak w PRL. To jest zagadnienie godne najęźszych głów socjologii.

P. ZNAWCA

Marzec 1988

## Widziane z Brukseli

### NIEKTÓRE RZEKI PŁYNĄ W GÓRĘ

„Rzeki popłyną w górę, zanim my się spotkamy przy jednym stole”. Tomas Borge, autor tej przepięknej metafory, nie jest poetą, a jest ministrem spraw wewnętrznych Nikaragui, co nie jest zajęciem skłaniającym do romantycznych uniesień. Toteż nie *rendez-vous galant* na tropikalnej plaży w blasku księżycy miał Borge na myśli. Przenośnia o rzekach płynących w górę wyrażała jego zdanie na temat możliwości spotkania i bezpośrednich rokowań między władzami Nikaragui, tzw. sandynistami (od nazwiska historycznego przywódcy ludowego, którego obecna dyktatura Nikaragui po prostu sobie przywłaszczyła), a ruchem oporu, polityczną opozycją i wojskową partyzantką, zwanymi nieładnie, choć prosto, „kontrasami”.

Ale rzeki popłynęły w górę. Sandyniści i kontrasi spotkali się przy jednym stole. Sztwywny, jak inny znany nam generał (ale bez czarnych okularów), Humberto Ortega, minister wojny Nikaragui na czele sporej delegacji rządu z Managui (w tym zastępcy Borge, szefa miejscowej bezpieki, gen. Cerna o imieniu, naturalnie... Lenin), spotkał się z delegacją kontrasów, kierowaną przez szefa dyrektoriatu opozycji Adolfo Calero (który pierwszy raz od siedmiu lat oficjalnie stanął na ojczystej ziemi), w towarzystwie czterech *comandantes* partyzantki.

Rzeki płynęły w górę 48 godzin. Obie delegacje negocjowały w baraku celników w wiosce Sapoa, na granicy Nikaragui i Costa-

Riki. Całość zakończyła się wesołym oberkiem w wykonaniu Ortegi i Calero, którzy odśpiewali razem, choć oddzielnie, hymn Nikaragui, oraz podpisaniem dokumentu, który zapowiedział na później bardzo wiele rzeczy, a na od razu proklamował od 1 kwietnia 60-dniowe zawieszenie broni. Nad bezpieczeństwem obu wysokich stron czuwała policja Costa-Riki, dokument parafowany został przez p. Joao Baena Soares, sekretarza generalnego Organizacji Państw Amerykańskich (OEA), a pobłogosławiony przez kardynała-arcybiskupa Managui, mgr. Obando y Bravo, który odegrał zasadniczą rolę jako pośrednik, doradca i mąż zaufania i udowodnił, że opatrność może mieć wpływ na historię, pod warunkiem naturalnie, że jej drogi zostaną przedtem dokładnie zbadane i że zajmie ona bardzo wyraźne, nie neutralne stanowisko wobec losu powierzonych jej owieczek.

Chwila była historyczna. 23 marca 1988, po siedmiu latach wojny, 50.000 zabitych (na 3 miliony mieszkańców) i ruinie gospodarki, ogień w Nikaragui ustał. Zamilkły kałasznikowy i stingerzy, przestali ginąć ludzie. Ale tylko chwila była historyczna. Na Historię, przez duże H, trzeba jeszcze poczekać. Pozostały do załatwienia „drobiazgi”: prawdziwa amnestia, zniesienie obowiązku służby wojskowej, demokratyzacja systemu, a przede wszystkim zapewnienie wolności prasy, przegrupowanie kontrastów na specjalnie przewidzianych terenach, koniec wojskowej pomocy amerykańskiej i sowieckiej, transfer pomocy humanitarnej dla kontrasów za pośrednictwem wyłącznie organizacji neutralnych, przeniesienie partyzantów do cywila i włączenie ich do normalnej opozycji politycznej.

Choć ma powstać, przy pomocy kardynała, specjalna komisja nadzorcza, niewiele osób ma zaufanie do sandynistów, wnuków Lenina i dzieci Fidela. Na dokumencie z Sapoa powinien widnieć napis „ostrożnie, szkło”, tak delikatna jest sytuacja, tak niewielkie szanse sukcesu. Sceptycy, znawcy historii współczesnej, wskazują, że u końca tej drogi tylko sandyniści będą dysponować zorganizowaną siłą wojskową, ale w amerykańskich kołach tzw. liberalnych radości nie było końca. Wayne Smith, były ambasador USA w Ameryce Łacińskiej, ostry krytyk polityki Reagana, uznał, że „można było to samo osiągnąć bez niepotrzebnego przelewu krwi”, a Jim Wright, demokratyczny *speaker* Izby Reprezentantów, ogłosił, że to już „koniec tunelu”.

Tylko Biały Dom nic ważnego nie powiedział. Był wyraźnie zaskoczony. Waszyngton nie chciał uwierzyć, że rzeki mogą płynąć w górę. Dziwne zaskoczenie. Przecież, po stosunkach z ZSSR i rozbrojeniu, Nikaragua stanowiła najważniejsze zmartwienie Reagana. Jego ambicją było zasklepienie tej „krwawiącej rany”, likwidacja tej — według Reagana — wypadowej bazy komunistycznej na przedmieściu USA, przed upływem jego drugiego



mandatu. Widać już jednak, że Reagan pozostawi Nikaragwę w spadku swemu następcy. Podobnie jak pozostawi inny problem, nad którym się następny prezydent USA powinien poważnie zastanowić, ten mianowicie, że Biały Dom był zaskoczony, ale Czerwony Dom, to znaczy Kreml, nie był wcale.

### *Breżniew się w grobie przewraca*

Kreml już dawno dał do zrozumienia Danielowi Ortega, że jego polityka przestała, chwilowo — aż do odwołania — odpowiadać linii dyplomacji ZSSR. Z początkiem roku 1987 Nikaragua, generalny bankrut już wtedy, znalazła się w sytuacji energetycznej absolutnie beznadziejnej. Mimo, że Ortedze groził zażądać, Moskwa odmówiła pomocy i poradziła, żeby zapukał w inne drzwi. Ortega zrozumiał aluzje, Moskwa podrzuciła 100.000 ton ropy, wraz z sygnałem, że tu, także aż do odwołania, należy popierać plan Ariasa, za który prezydent Costa-Riki dostał, prawdopodobnie przedwcześnie, nagrodę pokojową Nobla. Moskwa, jak wiadomo, Nobla nie przecenia, plan Ariasa poparła, albowiem odpowiada jej interesom na „obecnym etapie”. Ortega nie miał wyboru: jemu też plan Ariasa musiał się spodobać. I tak doszło do 3-dniowej ewakuacji celników i odśpiewania hymnu we wiosce Sapoa.

Nie wszędzie trzeba było sięgać aż do tak drastycznych środków. Doszło np. do dyskretnych kontaktów między ZSSR a Afryką południową w sprawie Namibii. Mówi się o „rozwiązaniu afgańskim” w odniesieniu do Angoli, tak aby 30.000 Kubańczyków mogło wrócić do domu, a Angola uzyskała statut kraju niezaangażowanego. Niektórzy dają słowo honoru, że Sowietci namawiają nawet do spokoju Afrykański Kongres Narodowy, ANC, tzn. bojowe, pozostające pod częściowym wpływem komunistów, skrzydło czarnego ruchu przeciw *apartheid*'owi. Moskwa namawia i — jak wynika z nawiązania rozmów z Somalią — przekonała Addis-Abebę do otwarcia w „rogu” Afryki, zwłaszcza po ostatnich walkach w Erytrei, gdzie wojska Mengistu tracą tyłu ludzi, ilu ginie w cywilu z głodu. Gorbaczow był niedawno w Jugosławii. Mniejsza o folklor i odwiedziny katedry w Dubrowniku. Ważne, że, ku zdumieniu Jugosłowian, ZSSR nie tylko po raz pierwszy zgodził się, ale sam zaproponował, umieszczenie w dokumencie końcowym paragrafu o poważnej roli państw niezaangażowanych w polityce międzynarodowej.

Co się dzieje? Tak dokładnie to jeszcze nie wiadomo. Na razie jedyną pewną rzeczą jest to, że Breżniew się w grobie przewraca. Cierpi cała jego szkoła dyplomatyczna: Moskwa jest w fazie zmiany strategii stosowanej przez 15 lat przez Breżniewa.

Choć, oczywiście, nie wiadomo czy to już przełom czy jeszcze manewr (moje zdanie jest znane), na pewno warto się temu zjawisku przyjrzeć z bliska.

Szkoła Breżniewa nie była zbyt subtelną, ale wydawała się skuteczną. Polegała na równoczesnym prowadzeniu i polityki odprężenia i polityki ekspansji na dwóch nie nachodzących na siebie niezależnych płaszczyznach. Niby proste, ale skomplikowane i, jak się okaże, kosztowne.

Zgodnie z tą szkołą, sfera *détente* dotyczyła w zasadzie Stanów Zjednoczonych i Europy zachodniej. Taki układ zakładał szacunek Zachodu dla *status quo* w Europie, nienaruszalność granic państwańskich, wyrzeczenie się siły w celu modyfikacji tego stanu rzeczy, no i, naturalnie, jak najdalej posuniętą współpracę gospodarczą, a zwłaszcza technologiczną. Wszystko to zgodnie z definicją współistnienia jako pokojowej formy walki klas w sferze międzynarodowej, tak aby odpowiadała ona interesom ZSSR i służyła poprawie pozycji Sowietów we współzawodnictwie Wschód-Zachód.

Sferą ekspansji był natomiast Trzeci Świat. Celem było stworzenie sieci państw-klientów, związanych i zależnych od ZSSR, nastrojonych antyzachodnio, a przede wszystkim antyamerykańsko. Taka strefa, idąca przez wszystkie kontynenty, miała umocnić strategiczną pozycję Sowietów, ugruntować globalną obecność potęgi sowieckiej, no i głosić chwałę, prężność i atrakcyjność idei i modelu socjalistycznego.

I tak się świat toczył właściwie aż do Afganistanu. Zachód nie sprzeciwiał się tej szkole Breżniewa: był w Helsinkach, podpisał SALT II, co uwiecznił gorący pocałunek Breżniew-Carter w Wiedniu. Za spokój i *prosperity* zachodniej Europy płaciła Europa wschodnia, no i reszta świata, a zwłaszcza ten trzeci. W 1979 roku europejskie granice sowieckiego imperium były już tylko przyzagrodowym płotem, no powiedzmy, murkiem. Jała wydawała się podwórkiem. Sierp i młot wylądowały daleko: w Etiopii, Angoli, Mozambiku, południowym Jemenie... No i otworzył się Afganistan. Sowieckie Migi znalazły się o 30 minut lotu od Zatoki Perskiej. Nad imperium sowieckim słońce już nie zachodziło.

Ale mit prysnął. Tutaj także rzeka zaczęła płynąć w górę. Gorbaczow zbadał „bilans otwarcia” i stwierdził, że imperium jest za drogie, że stosunek kosztów do dochodów czyli wyników, jest dla Moskwy deficytowy. Liczby, które stanowią — naturalnie — ścisłą tajemnicę państwową w ZSSR, ale są skrupulatnie kalkulowane przez tzw. wyspecjalizowane agencje zachodnie, są nieubłagane: imperium kosztuje rocznie między 37 a 40 miliardów dolarów. Według Rand Corporation z Los Angeles, w latach 1980-1983 subwencje dla Europy wschodniej, a także dla Kuby,



Wietnamu, Etiopii, Nikaragui, Angoli, Jemenu południowego itd. pożerały 5,5 % produktu narodowego ZSSR. To kolosalny wpływ krwi w biednym kraju, który w tym czasie notował tylko 2 % stopy wzrostu, a, według niektórych fachowców, nawet zero procent.

Okazało się, że to co za Breżniewa stanowiło zdobycz rewolucji, za Gorbaczowa stało się ciężarem. Na swojej pierwszej odprawie w MSZ nowy minister Szewardnadze oświadczył, że polityka zagraniczna ZSSR nie powinna być zakładnikiem dogmatów ideologicznych, musi być i tańsza i bardziej wydajna, że ruble, a zwłaszcza dolary, zainwestowane w dyplomację, muszą się lepiej amortyzować.

Oczywiście, jak zawsze powtarzam, nie należy mieć złudzeń. Związek Sowiecki jest i — aż do momentu implozji — pozostanie globalnym i planetarnym mocarstwem, nie rezygnuje ze swych interesów i pozycji na świecie w ogóle, a w Trzecim Świecie w szczególności. Ale wszystko wskazuje, że po podliczeniu kosztów i korzyści, Moskwa uznała, że na razie — aż do odwołania — należy wyhamować ekspansję. W polityce, jak wiemy, wszystko jest odwracalne, fachowcy są zdania, że coś właśnie się cofa. Coś takiego, co, przy założeniu kumulacji skutków, może mieć, według tych specjalistów, większy wpływ na ZSSR, niż miało na USA wycofanie się z Wietnamu. To naturalnie przesada i pobożne życzenia, aby tak było, potrzebna jest wolna prasa i wolna opinia publiczna, ale daje to miarę ryzyka i wielkość stawki.

Jakie są powody takiego postępowania Moskwy?

Co wpłynęło na Kreml?

Kilka razy „nie”

Po pierwsze, koszty własne. Są za wysokie, a moment jest delikatny. *Pieriestrojka* stoi w miejscu, sklepy puste, zło się szereży, już krążą dowcipy na temat Gorbaczowa. Sytuacja — jak mawiał pewien pomarcowy docent — jest dobra, ale nie bez nadziejna. ZSSR, który był zawsze nieufny wobec zachodnich kredytodawców, przestrzegał innych, m.in. Gierka, przed zgubnymi skutkami zachodniej mamony, teraz sam pożyczka. U innych. *Wall Street Journal*, który ma dobre źródła w tej dziedzinie, informuje, że Moskwa jest na minusie i pożyczka na Zachodzie ok. 700 milionów dolarów miesięcznie! Jej dług zagraniczny w roku 1986 wyniósł ok. 40 miliardów dolarów, dwa razy więcej niż w 1984. W tym samym czasie wpływy z handlu ropą, której sprzedaż jest głównym źródłem dewiz dla ZSSR, spadły do połowy i wyniosły w 1986 roku tylko 11 miliardów dolarów.

Spójrzmy na wyspę jak ogień gorącą, czyli Kubę. To dobry przykład techniki sowieckiego pomagania. Odbyna się to drogą subwencjonowania handlu zagranicznego, którego, w przypadku Kuby, 80 % przypada na ZSSR. Subwencje polegają na płaceniu drożej za cukier kubański i sprzedawaniu poniżej ceny sowieckiej ropy. Być może, jest to cena rewolucji światowej, ale zanim nadejdzie ogólnoswiatowy raj, to pomoc gospodarcza (bez woj-skowej) dla Kuby kosztuje podatnika sowieckiego ok. 5 miliardów dolarów rocznie. Wietnam jest jeszcze droższy i tak dalej, bez końca. Bez końca? W 1987 roku po raz pierwszy od 30 lat obroty w handlu sowiecko-kubańskim spadły w porównaniu z rokiem poprzednim. I tu więc rzeka zaczyna płynąć coś nie tak.

Nie wiadomo, jak długo będzie tak płynąć, ale wcale nie jest wykluczone, że rodzi się w Moskwie jakiś nowy pragmatyzm. Polegać on może na uznaniu, że w obecnym stanie precyzji i wielkości arsenałów obu super-potęg, współzawodnictwo między obu systemami rozegra się nie na płaszczyźnie wojskowej, a gospodarczej. Otóż, siła rynku kapitalistycznego, zdolność kapitalizmu do samo-naprawy i samo-reformy jest tak wielka, a osiągnięcia gospodarcze socjalizmu tak mizerne, że nikt już nie może mieć wątpliwości, iż ZSSR nie ma niczego ciekawego nikomu na świecie do zaofiarowania.

Koszty breżniewizmu trzeba kalkulować nie tylko w dolarach (w rublach nie warto), ale także w kategoriach politycznych. Są one trudne do obliczenia, ale Gorbaczowowi muszą się wydać ogromne. Z punktu widzenia aktualnych lokatorów Kremla, Breżniew to zwyczajny komunistyczny Pyrrus.

Według niektórych powierzchownych, ale nie pozbawionych racji twierdzeń, polityka Breżniewa, polegająca na wypełnianiu każdej próżni pokolonialnej, pośrednio przez Kubańczyków czy na ekspansji zbrojnej tak jak w Afganistanie, na konstruowaniu politycznego szantażu nuklearnego (SS-20 w Europie i w Azji), doprowadziła do wyboru Reagana, zmusiła USA do gwałtownego dobrożenia, inspirowała narodziny SDI czyli wojny gwiazdowej, zasiała (moim zdaniem — na szczęście) na długo nieufność wobec intencji ZSSR, podważyła na długo (moim zdaniem, znowu, na szczęście) wiarygodność Moskwy jako partnera w rokowaniach rozbrojeniowych z Zachodem, doprowadziła USA do nakładania rozmaitych embargów, do nieco ostrzejszej, choć ciągle mało skutecznej, kontroli masowej kradzieży przez ZSSR nowoczesnej technologii zachodniej. No i, *last but not least*, zmusiła Stany Zjednoczone do zaopatrzenia afgańskich mudżaheddinów w „Stingery”, które uziemiły sowieckie helikoptery i do udzielenia, niewystarczającej, ale zawsze, pomocy nikaraguańskim kontransom, co razem doprowadziło Kreml do rewizji poglądu na tanie nadejście wspianiałego jutra.



Otóż, pobieżny choćby przegląd tej listy „sukcesów”, które ZSSR zawdzięcza Breżniewowi, prowadzi do wniosku, że pozostają one w sprzeczności z celami, jakie figurują na pierwszych miejscach dyplomatycznego programu Gorbaczowa. A przy tym, to nie koniec rachunku. Dyplomatyczna cena ekspansji nie wyczerpuje ujemnego bilansu otwarcia Gorbaczowa.

Tzw. ideologia też wchodzi w rachunek. Model monopartii marksistowsko-leninowskiej okazał się zabójczy dla krajów Trzeciego Świata (dla innych też, ale tego w *Kulturze* nie trzeba udowadniać). Kraje, które zastosowały naukowe metody sowieckiego komunizmu stały się — tak jak Etiopia czy Jemen południowy, Kambodża lub Angola — synonimami nędzy, głodu, wojny, marnotrawstwa, samowoli, władzy feudalnych satrapów i bratobójczych porachunków. Nie jest to wizytówka zachęcająca, zwłaszcza na tle fantastycznego skoku innych krajów tego samego, oficjalnie przynajmniej, Trzeciego Świata, takich jak południowa Korea czy Tajwan. Nikt się też w Moskwie nie zdziwił, i nawet nie przeszkadzał, kiedy niektóre kraje, takie jak Mali, Kongo Brazaville czy Mozambik, które zastosowały marksizm-leninizm u siebie od razu na ludziach, zamiast go najpierw wypróbować na zwierzętach, zaczęły powoli się wycofywać z tego eksperymentu i szukać inspiracji i pomocy w kapitalizmie.

Moskwa patrzy daleko. Ostateczna kompromitacja modelu sowieckiego nie leży naturalnie w jej interesie. Kiedyś przecież, kiedy wróćą dobre czasy, Moskwa wróci do polityki ekspansji i wtedy będzie chciała odzyskać strategiczną obecność w krajach, które dziś straciły wiarę w to, że komunizm rozwiąże wszystkie problemy wynikające z ich niedorozwoju. Stąd też Kreml nie ma nic przeciwko temu, aby kraje, które model sowiecki prawie doszczętnie zniszczył i wykrwawił, szukały obecnie ratunku na Zachodzie.

### Triada Gorbaczowa

To wszystko prawda, przynajmniej dla niektórych, oczywiście od dawna. W Moskwie zrozumienie tej prawdy nosi specjalną nazwę „nowej myśli dyplomatycznej” Gorbaczowa i trzeba było specjalnej odmiany zdrowego rozsądku zwanej „głośnością”, żeby się do niej nareszcie dobić. W skrócie chodzi o uznanie faktu, że zachodzi realna sprzeczność między politycznymi korzyściami zaangażowania sowieckiego w Trzecim Świecie a ceną dotrzymywania wierności ideologicznej fikcji „proletariackiego internacjonalizmu”. Z tej sprzeczności Gorbaczow postanowił się wyplątać, tym bardziej, i tu dochodzimy do sedna rzeczy, że trzecioświatowa pasja odwracała uwagę — i środki — państwa sowieckiego

od celów zasadniczych, priorytetowych na obecnym etapie rozwoju realnego socjalizmu, to znaczy od Zachodu.

Pierwsze trzy lata swego panowania Gorbaczow poświęcił, właściwie wyłącznie, stosunkom ze Stanami Zjednoczonymi. Można mu pogratulować, osiągnął bardzo istotne wyniki. Żaden *genssek* KPZS nie może się czymś takim nawet w przybliżeniu pochwalić. Gorbaczow miał już trzy (a idzie czwarty) szczyty z prezydentem USA. Podpisał pierwszy w historii układ rozbrojeniowy, zakładający nie stabilizację, a zmniejszenie arsenału nuklearnego (chodzi o eurorakiety: Pershingi i SS-20). Osiągnął realne wyniki w zmniejszaniu miejsca i wagi konfliktów regionalnych dla stosunków między super-potęgami, nie poświęcając (w chwili pisania tego artykułu) zbyt wiele z faktycznego stanu posiadania ZSSR ani w Afganistanie, ani w Nikaragui (ktoś w prasie podziemnej w Polsce już pisał w związku z tym o Jałcie azjatyckiej i łaćwińsko-amerykańskiej: zestawienie kuszące, ale nie-trafne).

Można powiedzieć, że niewielkim kosztem udało mu się całkowicie przekształcić charakter stosunków sowiecko-amerykańskich. Pisząc w związku z Afganistanem, pismo codzienne *Le Monde* zauważyło: „Trzy lata temu, w oczach Trzeciego Świata, Ameryki i Europy, Związek Sowiecki był krajem sklerozy intelektualnej, potępianej przez cały świat agresji na Afganistan, represji, napięcia, klęski. Dziś jest to kraj zdolny do przyznania się do dyplomatycznych błędów, do załatwienia, przez ich wycofanie, sprawy eurorakiet, kraj, którego przebudzenie fascynuje świat, radykalnie zmieniło nastawienie opinii publicznej i świata politycznego Ameryki, zaczyna wpływać na sytuację w Europie i przyciągać na nowo uwagę Trzeciego Świata”.

Sam Gorbaczow jest ostrożniejszy. On sobie także, naturalnie, zdaje sprawę z sukcesu w USA, z metamorfozy Reagana, który cały w dreszczach czeka na pogrążenie się w odmetach „imperium zła”, zanim nie osiadzie w swoim kalifornijskim rajku. Ale „nowa myśl” Gorbaczowa sięga dalej. Gorbaczow nie ma pewności, jak będzie się zachowywać następcą Reagana. Wobec tego i na wszelki wypadek, na następne trzy, albo więcej, jak pan Bóg pozwoli, lat, Gorbaczow zajmie się przede wszystkim Europą zachodnią.

To, oczywiście, oddzielny temat, ale musimy dziś choćby narskicować zarys problemu. Uważne studia przedmiotu pozwalają zdefiniować „triadę Gorbaczowa”, czyli trzystopniowy program pokojowego załatwienia Europy.

Na pierwszym stopniu triady, czyli na krótką metę, Gorbaczow się zajmie Republiką Federalną Niemiec. Widmo zjednoczenia nie jest realne, nikt w nie nie wierzy, stąd Gorbaczow, człowiek konkretny, też właściwie o tym nie wspomina. Natomiast



groźba nuklearna i szantaż NRD-owski, to skuteczne elementy łagodnej perswazji wobec RFN. Z jednej strony chodzi o 4.000 rakiet krótkiego zasięgu z głowicami atomowymi, które w razie konfliktu spadłyby wyłącznie na terytorium jednego z państw niemieckich. Nie jest to perspektywa radosna, stąd sowieckie propozycje „trzeciego zera”, to znaczy usunięcia tych rakiet, znajdują coraz wyraźniejsze echo w RFN, zwłaszcza — ale to nie niespodzianka — w partii socjalistycznej. Co oznaczałoby ich usunięcie? Wystarczy zbadać dysproporcje w konwencjonalnych broniach po obu stronach Elby, aby zrozumieć kalkulacje Kremla. Gorbaczow dużo czyta i wie, co napisał niedawno Nixon, zresztą wcale nie myśląc tylko o Niemczech: „Strach przed atomem jest dziś większy od strachu przed komunizmem”. To samo dotyczy strachu przed utrudnieniem kontaktów między Niemcami mieszkającymi w dwóch państwach niemieckich. Wszystko się zgadza, oba strachy ważne i skuteczne. Wyrwanie, a co najmniej osłabienie więzów RFN z zachodnią Europą, to pierwszy punkt europejskiego programu Gorbaczowa.

Drugi etap, na średnią metę, jest bardziej ambitny. Chodzi o osłabienie więzów Europy zachodniej ze Stanami Zjednoczonymi. Według niektórych fachowców, z tego punktu widzenia, likwidacja eurorakiet stanowi poważny sukces Gorbaczowa. Uważają oni, że dopóki Pershing i Cruise znajdowały się w Europie zachodniej i nacelowane były na obiekty w ZSSR, slogan o tym, że sowiecki atak na np. Brukselę byłby równoznaczny z atakiem na Chicago, był wiarygodny o tyle przynajmniej, że riposta wyszłaby z terytorium Europy i że tylko to terytorium byłoby ewentualnie celem kontr-riposty ZSSR. Pogląd natomiast, że, w braku eurorakiet, atak na Brukselę spotka się z ripostą z terytorium amerykańskiego, że, inaczej mówiąc, w odpowiedzi na zniszczenie Brukseli, Biały Dom zaryzykuje zniszczenie Nowego Jorku, jest — według niektórych ekspertów — niebezpieczny i naiwny. Mniejsza o szczegóły, ważne dziś dla nas, że poglądy takie kursują. Są one tym bardziej wiarygodne, że atom można zastąpić tylko bardzo kosztownym uzbrojeniem klasycznym, a nie ma takiego polityka w Europie zachodniej, który odważyłby się dziś zaproponować zwiększenie budżetu wojskowego.

W trzeciej fazie chodzić już będzie o zebranie plonów obu etapów poprzednich. Psychologicznie biorąc, ma tu dojść do całkowitego zatarcia w świadomości zachodnioeuropejskiej resztek, *if any*, poczucia zagrożenia sowieckiego. To, co napisał *Le Monde* o USA, jest jeszcze bardziej widoczne w Europie zachodniej. Inaczej mówiąc, na tym trzecim etapie nie powinno już być nawet mowy o wspólnej obronie czy wspólnej polityce zagranicznej Europy zachodniej. NATO ma się rozwiązać na rzecz perspektywy neutralizacji zachodniej Europy.

### Atlantycki Babel

To wszystko jest czystą spekulacją, naturalnie, nie mam żadnych naukowych podstaw, aby takie scenariusze wypisywać i straszyć czytelników *Kultury*, którzy mają większe i bliższe zmartwienia na głowie. To Twain, zdaje się, powiedział po przeczytaniu własnego nekrologu w gazecie: „Wiadomość o mojej śmierci jest mocno przesadzona”. Podobnie można powiedzieć o nekrologu Europy, chociaż niektórzy chcieli się ze mną założyć, że w ciągu 5 do 10 lat przekonamy się, iż „triada Gorbaczowa” nie jest czystą fantazją.

Nie założyłem się, nie wiem, czy zdążyłbym wypić szampana. Dowiedziałem się natomiast, że bardzo poważni ludzie myślą już o tym, co się będzie i jak działa nie za 5 czy 10 lat, a za lat 20. Brzeziński, Kissinger, Goodpaster i Vessey, tzn. dwaj byli doradcy prezydentów USA, b. dowódca NATO i b. szef połączonych sztabów USA i jeszcze kilkunastu fachowców cywilnych i wojskowych, zebranych w ramach „Komisji Długofalowej Strategii”, opracowało na zlecenie Białego Domu i Pentagonu 70-stronicowy raport na temat „selektywnego odstraszenia” jako postawowej doktryny wojennej najbliższych lat 20. Jest to dokument poważny, bardzo zwarty, ale i bardzo wszechstronny, wart na pewno poważnego i krytycznego przestudiowania, w tym także na łamach *Kultury*. Zanim tak się stanie, raport ten nasunął mi dwie uwagi, związane z dzisiejszym tematem.

Po pierwsze, raport zaczyna się od tabelki statystycznej, odzwierciedlającej stan i dynamikę wzrostu produktu narodowego czterech państw w latach 1950, 1990 i 2010. Wynika z niej, że za 20 lat produkt narodowy USA sięgać będzie 8 trylionów dolarów (dziś 4,5), a produkt narodowy ZSSR w tym samym roku — tylko nieco poniżej 3 trylionów dolarów (dziś — nieco mniej niż 2 tryliony). Ponadto, w roku 2010, nie tylko Japonia prześcignie Związek Sowiecki (to oczywiste), ale także Chiny. Jest to więc perspektywa bardzo pomyślna dla USA, natomiast bardzo niepomyślna dla... Europy zachodniej. EWG mianowicie w ogóle w tej tabelce nie figuruje, choć oczywiście Brzeziński i Kissinger mogli byli dokonać takich samych ekstrapolacji dla Europy, co dla ZSSR czy Chin. Ale tego nie zrobili...

Po drugie wydaje mi się, że wiem, dlaczego tego nie zrobili. Nie mogli się po prostu dogadać z Europejczykami, chociaż, jak wiadomo, obaj ci panowie stanowią dar Europy dla USA. W kilka dni po ukazaniu się raportu o „selektywnym odstraszeniu”, Europa zabrała głos. Trzech bardzo wybitnych politologów, Michael Howard z Anglii, Karl Kaiser z RFN i François de Rose z Francji, wydrukowało to, co oni nazwali „odpowiedzią Europy”



na raport z Waszyngtonu. Na co, z kolei, odpowiedziało czterech spośród autorów raportu, m.in. znowu Kissinger i Brzeziński, który zresztą później jeszcze nieraz — choć już sam — zabierał głos w tej sprawie.

W jakiej sprawie? Nie będę, naturalnie, teraz streszczał ani raportu, ani polemiki, która zresztą na pewno nie jest jeszcze zakończona. Powiem tylko, że chodziło o zasadnicze sprawy strategii i obrony Zachodu, sojuszu Atlantyckiego i zaangażowania się USA w Europie zachodniej i że okazało się, że albo polemici nie znają angielskiego, albo czytali inny raport. Z tej międzykontynentalnej dyskusji wynika bowiem bardzo wyraźnie, że w podstawowych kwestiach naszej przyszłości, wybitni rozmówcy europejscy zrozumieli akurat odwrotność tego, co ich niemniej wybitni amerykańscy koledzy chcieli powiedzieć. W ten sposób jeden z podstawowych celów „nowej myśli” Gorbaczowa został osiągnięty.

Wszystko to nie zapowiada nam w Europie zachodniej bardzo świetlanej przyszłości. Tym bardziej zaniepokoiła mnie najnowsza formuła „nowej myśli” Michaiła Gorbaczowa, który zwrócił się do mnie mówiąc o „Europie, naszym wspólnym domu”. Michaił uważa, że to on wymyślił tę formułę, ale w istocie — choć on może tego nawet nie wie — wymyślili ją już przed nim, w tej samej intencji, niezawodni socjaliści zachodni Niemcy.

Otóż ta perspektywa mnie nie zachwyca. Już kiedyś mieszkałem we wspólnym domu z Gorbaczowem, znam zwyczajnie wschodnioeuropejskiego kwaterunku: w tym naszym wspólnym domu Gorbaczow dostanie pokój od frontu, z widokiem na morze i ogródek, a mnie wtrąca do mansardy, wychodzącej na mur. Nawet dostępu do wspólnej kuchni mi nie zapewnią, co jest niepokojące, choć naturalnie można wątpić, czy w tym naszym wspólnym domu kuchnie będą jeszcze w ogóle potrzebne.



Dobił mnie Mr. Jerry F. Hough, profesor nauk politycznych uniwersytetu Duke w USA, dyrektor Instytutu Handlu, Inwestycji i Łączności Wschód - Zachód i senior fellow Instytutu Brookings w Waszyngtonie. Prawdziwy autorytet, jak widać, drukowany regularnie w wielkiej prasie amerykańskiej, stale występujący w telewizji. Najnowszy (do chwili pisania tych słów) jego artykuł (*Herald Tribune*, za *New York Times*, z 9 kwietnia) podejmuje — to nie przypadek — ten sam właśnie temat Europy, jako wspólnego domu mojego i Gorbaczowa. Naturalnie, profesor Hough widzi tę sprawę nieco inaczej. Zauważa na wstępie, że Gorbaczow wyraża się o Europie „niesłuchanie ciepło”, że wielokrotnie, m.in. w swej książce „Pieriestrojka”, wspomina o „Europie, wspólnym domu”, o Europie, która „od Atlantyku do

Uralu stanowi jedność kulturalno-historyczną, połączoną wspólnym dziedzictwem Odrodzenia, Oświecenia i wielkiej myśli filozoficznej i społecznej XIX i XX wieku”. Hough przytacza i zwraca naszą uwagę na apel Gorbaczowa o położenie „kresu schizmie w Europie”, o „uwolnienie naszego sposobu myślenia o Europie jako o teatrze operacji wojennych” i o likwidację poczucia strachu „choćby wymaganego”.

Dlaczego i po co tak żarliwie poparcie intencji Gorbaczowa? Sprawa jest istotnie ważna. Prof. Hough obawia się mianowicie, że „wielu amerykańskich fachowców odrzuci słowa Gorbaczowa jako propagandę, mającą ukryć jego prawdziwe zamiary złamania Paktu Atlantyckiego i wyeliminowania USA z Europy”. A przecież to nieprawda. „Jest — woła prof. Hough — dokładnie wprost przeciwnie. Słowa Gorbaczowa nie są propagandą, odzwierciedlają historyczny odwrót od wielu aspektów sowieckiej polityki zagranicznej i wewnętrznej. I choć wielu może uważać inaczej, to osłabienie NATO na pewno nie leży w zamiarach Gorbaczowa”. I tak dalej, w tym samym duchu...

Hough jest znanym w USA obrońcą dobrych intencji kolejnych przywódców sowieckich. To on właśnie odkrył i ujawnił w swoim czasie, że Andropow, modernizator KGB, w istocie był „ukrytym liberałem”.

Houghowi jest łatwo mówić. Przecież nawet gdyby Gorbaczowowi udało się przy pomocy tego typu naukowców utworzyć wspólny dom w Europie, to Hough będzie nadal mieszkał w swoim domu, indywidualnym, w Waszyngtonie i będzie mógł nadal pisać artykuły do *New York Times*'a.

Natomiast, jeżeli o mnie chodzi, to ja z rodziną musiałem się już raz wyprowadzić ze wspólnego domu z Gorbaczowem i bardzo bym nie chciał na stare lata przeprowadzać się znowu. Tym bardziej, że, jak wynika z artykułu Hougha, nie bardzo będę miał dokąd.

Leopold UNGER

Pisane 13 kwietnia 1988

P.S. Moje lenistwo zostało ukarane. W poprzednim artykule o Afganistanie zacytowałem słowa Louisa Duprée, ale dodałem, że nie udało mi się dowiedzieć, kto zacz. Prawda jest taka, że ponieważ nazwisko jest francuskie, więc szukałem informacji wyłącznie w encyklopediach europejskich, bez sięgania do źródeł amerykańskich. A tymczasem, jak wynika z listu pani Ludmiły Murawskiej Pèju (jeżeli dobrze odcyfrowałem nazwisko), państwo Duprée (żona Nancy) są etnologami, specjalistami od Afganistanu, pracującymi w USA. Dziękuję za list i informacje. Przyrzekam poprawę.

L. U.



## Wywiady «Kultury»

### Między polityką powstrzymywania a "détente"

ROZMOWA Z RYSZARDEM PIPESEM

*Ryszard Pipes jest profesorem historii Rosji i Związku Sowieckiego w Harvard University oraz jednym z czołowych amerykańskich sowietologów, autorem wielu studiów historycznych, a także prac dotyczących stosunków Wschód-Zachód. W latach 1981-1982 pełnił funkcję doradcy do spraw sowieckich i wschodnioeuropejskich w Radzie Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych przy Białym Domu.*

**ROBERT KOSTRZEWA:** — *Zachodni sowietolodzy, pisząc o stosunkach Wschód-Zachód, cytują czasem Sun Tzu, chińskiego teoretyka sztuki wojennej. Mądrość żyjącego w czwartym wieku przed Chrystusem Sun Tzu doceniają też przywódcy sowieccy, a szczególnie oficerowie wojska i aparatu bezpieczeństwa.*

*Według Sun Tzu fakt, że ktoś zwyciężył sto razy w stu pojedynczych bitwach wcale nie jest dowodem, że posiada jakieś niezwykle zdolności wojskowe. Prawdziwa sztuka prowadzenia wojny polega na wygranej bez walki. Aby cel taki osiągnąć, należy przede wszystkim skupić się na źródłach siły przeciwnika, czyli na jego strategii. Jak maksyma Sun Tzu używana jest w dzisiejszym konflikcie między Zachodem a Sowietami?*

**RICHARD PIPES:** — Jest rzeczą oczywistą, że taka maksyma jest dużo bardziej użyteczna dla systemu niedemokratycznego. Rosja Sowiecka może pozwolić sobie na politykę długofalową głównie dzięki temu, że u władzy w ZSSR pozostaje niezmiennie ta sama partia. Niezależnie od zmieniających się pierwszych sekretarzy partia i jej cele pozostają te same. Czytając raporty

Kominternu sprzed siedemdziesięciu lat można zauważyć, że mówi się tam o takiej samej strategii i taktyce jak dzisiaj. W systemie demokratycznym jest to zupełnie niemożliwe. Co kilka lat zmienia się rząd. Zmienia się też partia u władzy. W związku z tym zarówno w Stanach Zjednoczonych jak i w innych demokratycznych państwach Zachodu nie ma ciągłości w polityce zagranicznej. I dlatego formułowanie długofalowej strategii jest niezwykle trudne, jeśli nie niemożliwe.

**R.K.:** — *Od ponad czterdziestu lat — w zależności od zachowania się Sowietów w danym momencie — politycy amerykańscy miotają się między polityką powstrzymywania Związku Sowieckiego na arenie międzynarodowej a kolejnymi falami détente. Jest to ściśle związane — jak to Pan kiedyś napisał w jednej ze swych książek — z tym, że Amerykanie przekładają (nawiasem mówiąc bardzo wątpliwe) teorie psychologiczne w stylu behawioryzmu Johna B. Watsona na język stosunków między państwami. Amerykanie zdają się wierzyć, że na system sowiecki wpływać można poprzez odpowiednie dawki nagród i kar.*

*Na czym polega błąd takiego założenia? Co należy uczynić, aby zakłócić ów cykl détente - powstrzymywanie - détente i dla czego jak dotąd to się nie udało?*

**R.P.:** — Jest to problem niezwykle trudny. Społeczeństwa demokratyczne uważają, że konflikty między narodami są niepożądaną stratą energii i środków. Najważniejszym celem demokratycznego społeczeństwa jest ciągłe polepszanie warunków życia obywateli. Ponadto demokracje nie potrafią odczytywać rzeczywistych intencji agresywnych państw, takich jak Związek Sowiecki czy hitlerowskie Niemcy. Zachodnim politykom wydaje się, że konflikty między państwami można zawsze załagodzić. Typowym przykładem takiego myślenia była polityka ugłaskiwania Hitlera w latach trzydziestych. Anglikom i Francuzom tak bardzo zależało na utrzymaniu pokoju z Niemcami, że ilekroć Hitler wysuwał kolejne żądania i mówił, że to już ostatni raz, brano to za dobrą monetę. Bardzo podobnie dzieje się w przypadku stosunków ze Związkiem Sowieckim. Gdyby Rosjanie podchodzili do tego racjonalnie, zachowywaliby się zawsze tak, jak Gorbaczow, który ciągle się uśmiecha, ciągle obiecuje, a robi to, co Sowietci zawsze robili. Prędzej czy później Związek Sowiecki posuwa się jednak za daleko: tak jak w latach 70-tych w momencie inwazji Afganistanu. Opinia publiczna na Zachodzie staje się wtedy bardziej czujna i mamy kolejny etap zimnej wojny. Stan taki trwa zwykle kilka lat. Zawsze jednak społeczeństwa zachodnie gotowe są do układania się ze Związkiem Sowieckim. Stało się to jakby immanentną cechą demokracji.



R.K.: — *Jak, Pana zdaniem, powinna wyglądać strategia, która umożliwiłaby rządowi Stanów Zjednoczonych prowadzenie skutecznej polityki zagranicznej? Jakiego rodzaju reformy należałoby w związku z tym przeprowadzić w amerykańskim systemie politycznym?*

R.P.: — Trzeba zacząć od systemu szkolnictwa. Amerykanie jako naród muszą pogłębić swoją wiedzę o innych cywilizacjach czy innych niż ich własna ideologiach. Ich wizja świata stałaby się wtedy znacznie bogatsza. Większość Amerykanów posiada bardzo płytką wiedzę o innych kulturach i stąd fałszywe przekonanie, że wszystkie kultury są do siebie bardzo podobne. Przeciętny Amerykanin zauważa jedynie kulturową różnorodność, nie potrafi natomiast wyodrębnić podstawowych różnic kulturowych. Amerykanie nie doceniają przy tym roli, jaką w życiu społeczeństw odgrywają ideologie. Społeczeństwo amerykańskie jest w dużym stopniu aideologiczne i dlatego Amerykanie nie rozumieją wrogich im systemów wartości. Najważniejszym więc zadaniem jest ciągle pogłębianie wiedzy społeczeństwa demokratycznego o innych systemach społecznych. Aby prowadzić skuteczną politykę zagraniczną w społeczeństwie demokratycznym, nie można uciekać się do jakichś magicznych sztuczek. W demokracjach posunięciu władz ustawodawczych czy wykonawczych są jedynie odzwierciedleniem poziomu wiedzy demokratycznych polityków. Z mojego doświadczenia wynika, że zdecydowana większość amerykańskich posłów i członków rządu nie ma zielonego pojęcia, czym jest komunizm czy też jak działa komunistyczne społeczeństwo. W okresie prezydentury Ronalda Reagana najbardziej zatwardziali zadeklarowani antykomuniści odwiedzali Związek Sowiecki i widząc tam normalnych ludzi, ładne dziewczyny, samochody czy teatry dochodzili do wniosku, że społeczeństwo sowieckie jest takie samo jak ich własne. Przed wyjazdem wydawało im się zapewne, że na każdym rogu ulicy stoi patrol KGB uzbrojony w karabiny maszynowe, sprawując pieczę nad zupełnie zniewolonym społeczeństwem. Oczywiście, że społeczeństwo to jest pod wieloma względami zniewolone, ale przecież nie jest to aż tak widoczne.

Drugi problem to potrzeba stworzenia kadr zajmujących się opracowywaniem polityki wobec świata komunistycznego. Formułowaniu polityki wobec Związku Sowieckiego powinni zajmować się zawodowcy — nie należy zadania tego powierzać amatorom. Do piastowania wysokich funkcji w rządzie zaprasza się przeważnie biznesmenów. Nie jest to najlepsze rozwiązanie. Zadanie to powierzyć trzeba zespołowi specjalistów. Niestety sytuacja przedstawia się dzisiaj zupełnie inaczej. Oczywiście, że zarów-

no w służbach wywiadowych jak i w Departamencie Stanu pracują ludzie, którzy znają język rosyjski a nawet wiedzą coś o Rosji. Decyzje podejmowane są jednak przeważnie przez ludzi, którzy nie mają pojęcia, kim w istocie są Sowietci.

R.K.: — *W związku z tym jakie konkretne zmiany w strukturze władzy wykonawczej należałoby wprowadzić?*

R.P.: — Stosunki Ameryki ze Związkiem Sowieckim i blokiem komunistycznym są, moim zdaniem, na tyle ważne, że należy stworzyć przy Białym Domu stanowisko stałego doradcy prezydenta do spraw sowieckich. Doradca taki spełniałby podobną rolę do tej, jaką odgrywa Przewodniczący Rady Doradców Ekonomicznych. Potrzebna jest również reorganizacja Departamentu Stanu. Asystent Sekretarza Stanu do Spraw Europejskich jest dzisiaj odpowiedzialny jednocześnie za Europę zachodnią, Europę wschodnią i Związek Sowiecki. Przecież to nie ma sensu. Państwa członkowskie NATO i państwa Układu Warszawskiego należą w końcu do dwóch różnych obozów. Obowiązki te należy podzielić, a już z pewnością stworzyć funkcję Asystenta Sekretarza Stanu do Spraw Sowieckich. Pomysły tego typu nie podobają się oczywiście biurokratom w Waszyngtonie. Pracując dla rządu na początku lat 80-tych, przedstawiłem swoje propozycje, ale jak widać bez rezultatu.

R.K.: — *Czy mógłby Pan naszkicować, jak Pana zdaniem, powinna wyglądać wielka strategia Stanów Zjednoczonych w stosunku do Związku Sowieckiego i jego satelitów? Wspomina Pan o niej często w swoich artykułach i książkach, ale nigdy jej Pan do końca nie formułuje.*

R.P.: — Bardzo łatwo jest opracować wielką strategię, której nie można wprowadzić w życie. Wielka strategia musi być realistyczna. Zapytał mnie Pan przed chwilą, czy można prowadzić w systemie demokratycznym konsekwentną, długoterminową politykę wobec Związku Sowieckiego? Moja odpowiedź brzmi: nie. Można natomiast starać się, aby nie popełniać zbyt wielu błędów. Podstawowa sprawa to oczywiście utrzymanie silnej pozycji wojskowej. Z założeniem takim zgadza się zresztą większość Amerykanów.

Mój drugi postulat jest natomiast o wiele bardziej kontrowersyjny. Chodzi mi o wprowadzenie jak najsurowszej kontroli wpływu do Związku Sowieckiego i bloku komunistycznego zachodnich kredytów i zdobyczy technologicznych. Odmawiając kredytów i technologii, zmuszamy niejako Związek Sowiecki do reform wewnętrznych. Sowietci nie mogliby wtedy prowadzić polityki imperialistycznej opartej na monstrualnej maszynie wojskowej.



R.K.: — *Jakie miejsce w amerykańskiej strategii zajmować powinny kraje Europy wschodniej? Na ile są one ważne strategicznie dla Stanów Zjednoczonych?*

R.P.: — Europa wschodnia odgrywa w strategii amerykańskiej rolę drugorzędą. W Waszyngtonie uważa się, że zasadniczym problemem jest Związek Sowiecki. Jeśli nie byłoby Związku Sowieckiego, kraje Europy wschodniej byłyby suwerennymi państwami. Zakłada się, że tak długo jak Związek Sowiecki jest Związkiem Sowieckim, nie ma sensu koncentrować się na Europie wschodniej, która nie jest przecież niezależną politycznie. Obecna polityka wobec Europy wschodniej (z którą się zresztą osobiście zgadzam) nazywana jest polityką „różnicowania”. Polega ona na utrzymywaniu bardziej przyjaznych stosunków (szczególnie w dziedzinie gospodarczej) z tymi państwami Europy wschodniej, które spełniają jeden z dwóch warunków: ich ustroj wewnętrzny jest stosunkowo bardziej liberalny (tak jak na Węgrzech czy też w Polsce w okresie „Solidarności”) lub kraje te prowadzą stosunkowo niezależną od Sowietów politykę zagraniczną (tak jak Rumunia, która ma jednocześnie bardzo nieliberalny ustroj wewnętrzny). Związek Sowiecki jest jednak w strategii amerykańskiej problemem numer jeden.

R.K.: — *Czy nie sądzi Pan, że przyznawanie specjalnych praw szczególnie takiemu państwu jak Rumunia dowodzi, jak nieskuteczna okazuje się polityka różnicowania? Rumunia jest w końcu jednym z najbardziej niewolniczych krajów w Europie wschodniej. Stoi to w oczywistej sprzeczności z pierwszą z zasad polityki różnicowania. W Ameryce faworyzuje się Rumunię w imię rzekomej niezależności od Sowietów w polityce zagranicznej. Czy nie uważa Pan jednak, że w dużej mierze pusta retoryka rumuńskiej niezależności jest dla Stanów Zjednoczonych w sumie bezwartościowa?*

R.P.: — Dwa warunki polityki różnicowania w dużym stopniu nawzajem się wykluczają. Sprowadza się to do tego, że Stany Zjednoczone zainteresowane są zarówno państwami, które prowadzą bardziej liberalną politykę wewnętrzną jak i państwami, które prowadzą stosunkowo niezależną od Sowietów politykę międzynarodową. Rumunia nie jest krajem, który pozyskał sobie specjalne względy tylko dzięki pustej retoryce. Rumunia w kilku wypadkach rzeczywiście sprzeciwiła się Związkowi Sowieckiemu. Po pierwsze Rumuni nie chcą mieć wojsk sowieckich na swoim terytorium. Jest to bardzo istotny problem dla Układu Warszawskiego. Może nie jest to trudność aż tak poważna jak to, że Francuzi zmusili NATO do wycofania się z Francji, ale jednak

jest to dla dowództwa sowieckiego jakiś problem. Rumunia utrzymuje również stosunki z Izraelem, co jest wyłomem w polityce prowadzonej przez inne państwa wschodnioeuropejskie. To także nie jest tylko retoryka. Uważam jednak, że nie ma żadnego powodu, aby nie wywierać na Rumunów dużo większej presji, aby rozluźnili reżim wewnętrzny za cenę przyznawanego im w stosunkach gospodarczych statusu kraju najbardziej uprzywilejowanego. Postulat taki przedstawiłem w czasie swojej kadencji w Białym Domu, ale napotkałem na taką opozycję ze strony Departamentu Stanu i Departamentu Handlu, że propozycję moją natychmiast odrzucono.

R.K.: — *Po śmierci Breżniewa napisał Pan w jednym z artykułów, że aby system sowiecki mógł na dłuższą metę przetrwać, potrzebne są reformy na wielką skalę, które może narzucić tylko człowiek bardzo dużego kalibru, o wiele silniejszy niż ówczesny pierwszy sekretarz Jurij Andropow. Czy sądzi Pan, że Michaił Gorbaczow jest właśnie tym wybawicielem dla systemu sowieckiego?*

R.P.: — Byłem pewien, że w Związku Sowieckim dojdzie do władzy ktoś w typie Gorbaczowa. Ma on z pewnością dużo większy rozmach niż jego poprzednicy. Pozostaje pytanie, czy potrafi umocnić swoją władzę na tyle, aby przeprowadzić reformy, o których mówi. Jest jeszcze za wcześnie, aby to ocenić. Będziemy musieli poczekać jeszcze przynajmniej jakieś dwa lata. Gorbaczow stoi przed trudnym zadaniem i jak dotąd nie wszystkie jego zamierzenia udało mu się wprowadzić w życie. W sumie jest on jednak zjawiskiem pozytywnym.

R.K.: — *Na ile, Pana zdaniem, zmiany wprowadzone jak dotąd przez Gorbaczowa są zmianami rzeczywistymi, a na ile umacniają one istniejący w Sowietach system niewolnictwa?*

R.P.: — Nie zgadzam się z tym, że społeczeństwo sowieckie jest społeczeństwem niewolniczym. Używa Pan bardzo ostrych sformułowań. W Związku Sowieckim jest dziś kilkuset więźniów politycznych. W czasach Stalina były miliony. Dzisiejsze społeczeństwo sowieckie nie jest społeczeństwem niewolniczym: jest to społeczeństwo nie wolne. Sowiety są dziś państwem autorytarnym, w którym totalitaryzm chyli się ku upadkowi. Oczywiście, że Gorbaczow chce reformować Związek Sowiecki po to, aby Rosję wzmocnić, a nie osłabić. Boi się, że jeśli w systemie sowieckim nie zostaną przeprowadzone zasadnicze reformy, to Rosja nie tylko stanie się drugorzędym państwem, ale dojdzie tam do bardzo poważnych wstrząsów wewnętrznych. Dlatego zadaniem Gorbaczowa jest wzmocnienie sowieckiego państwa. Jeśli reformy



te uda się przeprowadzić, społeczeństwo sowieckie będzie dużo silniejsze, ale jednak zupełnie inne niż dzisiaj. Osobiście wolę bardziej liberalny i silny Związek Sowiecki od całkowicie despotycznego i słabego.

R.K.: — *Jakie niebezpieczeństwa dla Zachodu widzi Pan w polityce Gorbaczowa?*

R.P.: — Niebezpieczeństwo polega głównie na tym, że przeprowadzając tanim kosztem bardzo niewiele reform Gorbaczowowi uda się stworzyć na Zachodzie wrażenie, że wszystko się w Związku Sowieckim zmienia. Coraz więcej ludzi na Zachodzie nawołuje na przykład do natychmiastowego zmniejszenia wydatków wojskowych i zaprzestania badań nad nowymi rodzajami broni. Inni — jak Hans-Dietrich Genscher — chcą udzielać Sowietom ogromnych pożyczek. Niebezpieczeństwo polega na tym, że zanim Gorbaczow wprowadzi jakiegokolwiek istotne zmiany, Zachód rzuci mu się na pomoc nie zastanawiając się nawet, jakie będą tego konsekwencje. Potrzeba reform wynika właśnie z katastrofalnej sytuacji, w jakiej znalazł się Związek Sowiecki. Zaspokajanie w tym momencie sowieckich potrzeb sprawi, że reformy wcale nie będą aż tak niezbędne. Jeżeli Zachód w swych pobożnych życzeniach udzieli Sowietom przedwczesnej pomocy, może to tylko powstrzymać proces zmian.

R.K.: — *Jest Pan jednym z nielicznych sowietologów, którzy twierdzą, że jedną z najskuteczniejszych metod nacisku na Związek Sowiecki i jego satelitów są nie tylko sankcje — kiedy zachodzi tego potrzeba — ale w ogóle jak najmniejsza pomoc gospodarcza ze strony Zachodu, która w dużej mierze wykorzystywana jest przez Wschód na użytek wojskowy. Stanowisko takie jest bardzo niepopularne zarówno w zachodnich kręgach handlowych jak i politycznych. W okresach détente wzrost kredytów dla bloku wschodniego jest praktycznie niemożliwy do powstrzymania. Wszyscy już dziś znają słynne powiedzenie Lenina o kapitalistach, którzy zapłacą za powrót, przy pomocy którego zostanie powieszony. Należy przypuszczać, że słyszeli o nim również sami kapitaliści, którzy w ciągu siedemdziesięciu lat istnienia systemu sowieckiego utopili w państwach bloku wschodniego ogromne sumy pieniędzy. A mimo to ciągle przyznaje się nowe kredyty, przekłada płatności starych pożyczek, a w ostatnim czasie przyjmuje kolejne sowieckie państwa satelickie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Dlaczego tak się dzieje?*

R.P.: — Wbrew temu, co twierdzi komunistyczna propaganda — że kapitaliści są głównym powodem napięć między Wschodem i Zachodem — kapitaliści, czyli wielcy zachodni bankierzy i prze-

mysłowcy, są najbardziej żarliwymi rzecznikami *détente* i polityki ustępstw na rzecz Związku Sowieckiego. Dlaczego tak się dzieje? Wytłumaczenie jest bardzo proste. Wynika to mianowicie z czystego egoizmu. Kapitaliści po prostu wierzą, że ze Związkiem Sowieckim można prowadzić bardzo dobre interesy. Długofalowe implikacje polityczne i strategiczne bardzo mało ich obchodzą. Swoją postawę usprawiedliwiają twierdzeniem (jak wynika zresztą z dotychczasowych doświadczeń, jest to założenie fałszywe), że handel dobrze wpływa na bardziej przyjazne i pokojowe stosunki. Jest to bardzo rozpowszechniona racjonalizacja robienia interesów z Sowietami. W rzeczywistości Związek Sowiecki nie jest dla Zachodu poważnym partnerem handlowym. Sowietci ani nie produkują towarów, które mogliby sprzedawać za granicą, ani nie mają pieniędzy, żeby kupować na światowych rynkach. Obroty handlowe między Związkiem Sowieckim a Stanami Zjednoczonymi nie przekraczają na przykład (jeśli pominiemy handel zbożem) kilkuset milionów dolarów rocznie. Ameryka kupuje od Sowietów towary wartości około 150 milionów, a sprzedaje za sumę od 300 do 400 milionów rocznie. Są to obroty tak mikroskopijne, że równają się poziomowi handlu USA z Trynidadem i Tobago — dwiema wysepkami karaibskimi. Handel ze Związkiem Sowieckim na dużą skalę jest możliwy tylko wtedy, kiedy bank eksportowo-importowy udziela Sowietom ogromnych kredytów. Mam jednak nadzieję, że tak się nie stanie. Europa daje Sowietom zaliczki, głównie dlatego, że Europejczycy (a szczególnie Niemcy) uważają to za jakąś mądrość polityczną. Nie można jednak pożyczać pieniędzy w nieskończoność, a jak mówię, Sowietci mają bardzo małe możliwości handlowe. Związek Sowiecki jest głównie eksporterem surowców. Jest w tym sensie państwem Trzeciego Świata, a nie supermocarstwem. Sowietci sprzedają ropę naftową, diamenty, metale szlachetne. Sowiecki eksport wyrobów przemysłowych jest znikomy. Nie zapominajmy też, że ceny surowców na światowych rynkach są bardzo zmienne i że ostatnio utrzymują się na stosunkowo niskim poziomie.

R.K.: — *Jest Pan znanym historykiem Rosji i Związku Sowieckiego, profesorem Harvard University — jednej z najbardziej prestiżowych uczelni na świecie. W dominujących w Ameryce kołach liberalnych jest Pan uważany za myśliciela skrajnie konserwatywnego. Ale mam często wrażenie, że dziennikarze amerykańscy — jedynie dzięki Pana pozycji w świecie akademickim — są niejako zmuszeni, aby również i Pana czasem pytać o zdanie przy okazji niekończących się dyskusji na tematy związane ze stosunkami Wschód - Zachód. Zauważyłem ostatnio, że do udziału w dyskusjach telewizyjnych czy prasowych zapraszany jest Pan coraz rzadziej. Nie zdziwiło mnie to specjalnie, gdyż cały Zachód*



znajduje się obecnie, dzięki zdolnościom Michaiła Gorbaczowa, w fazie — jak to ostatnio określił angielski publicysta Malvin Lasky — nawrotu urodzonej neurozy, objawiającej się okresowym stanem ogłupienia na temat Związku Sowieckiego. Lasky, podobnie zresztą jak Pan w jednej ze swych książek, uważa, że jest to stan wysoce niebezpieczny, lecz przejściowy. Zachód w pewnej chwili przytomnieje — z reguły jednak o wiele za późno, aby zapobiec kolejnej porażce na arenie międzynarodowej.

W zachodniej świadomości zachodzą jednak również procesy trwałe, a kolejne fale utopijnego myślenia o Związku Sowieckim prowadzą do katastrofalnych w skutkach zmian w postrzeganiu świata. Jednym z dowodów tego rodzaju przemiany jest stan zachodniej, a może szczególnie amerykańskiej, sowietologii. Podobnie jak w przypadku studiów o nazizmie i hitlerowskich Niemczech, mamy dziś na Zachodzie do czynienia z rewizjonizmem w studiach sowieckich. Czy mógłby Pan powiedzieć, na czym polega zjawisko rewizjonizmu w sowietologii, a w tym i w Pana dziedzinie, czyli historii?

R.P.: — Polega to przede wszystkim na minimalizowaniu negatywnych aspektów rewolucji rosyjskiej i rządów sowieckich i jednoczesnym podkreśleniu ich stron pozytywnych. Byłem ostatnio na konferencji historyków, zajmujących się czasami Rewolucji Październikowej, z udziałem około 30 specjalistów w tej dziedzinie. Ani jeden z wygłoszonych referatów nie dotyczył mniej chwalebnych kart historii rosyjskiej rewolucji, takich jak obozy koncentracyjne, tajna policja polityczna, powstania chłopskie, głód w 1921 roku czy czerwony terror. Tematy te były po prostu pominięte. Na tej samej zasadzie „rewizjoniści” piszący o rządach stalinowskich pomijają nieprzyjemne strony stalinizmu. Zjawisko to ma miejsce w chwili, kiedy w Związku Sowieckim coraz więcej mówi się o stalinowskich zbrodniach. Zachodni sowietolodzy i historycy natomiast minimalizują morderczy charakter rządów Stalina. Starają się zobaczyć stalinowską kolektywizację czy industrializację, a nawet czystki, w pozytywnym świetle. Jest to zjawisko niezwykle szkoliwe i mam nadzieję, że zachodni sowietolodzy zostaną wkrótce w tyle za historykami sowieckimi.

R.K.: — Jest Pan jednym z intelektualistów amerykańskich, którzy w różnych momentach swej kariery naukowej czy uniwersyteckiej poświęcają się pracy dla rządu USA. Najważniejszym jak dotąd momentem w Pana karierze politycznej było stanowisko doradcy do spraw sowieckich i wschodnioeuropejskich w Państwowej Radzie Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych przy Białym Domu w latach 1981-1982. Podlegały Panu między innymi sprawy polityki USA wobec Polski w najważniejszym bodaj okre-

sie powojennej historii Polaków. Jak Pan ocenia te dwa lata spędzone w administracji Ronalda Reagana i swoją rolę w kształtowaniu amerykańskiej polityki zagranicznej, a w tym posunięć wobec Polski?

R.P.: — Był to okres, kiedy po raz pierwszy i być może jedyny w życiu znajdowałem się w pobliżu centrum władzy. Miałem oczywiście pewnego rodzaju wpływ na linię polityki amerykańskiej, szczególnie w chwili wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Po odejściu Richarda Allena, doradcy prezydenta do spraw międzynarodowych, miałem dostęp do prezydenta. Moja rola była oczywiście podrzędna w porównaniu z tą, jaką odgrywał Sekretarz Stanu czy inni ministrowie. Moje rady miały jednak pewien efekt, jak na przykład w wypadku ogłoszenia sankcji gospodarczych wobec Polski.

R.K.: — Czy sądzi Pan, że zrobiono wszystko co możliwe, aby nie dopuścić do likwidacji „Solidarności” zimą 1981/1982 roku?

R.P.: — Wydaje mi się, że nie. Na pewno niczego nie zmieniłoby dawanie dalszych pożyczek rządowi polskiemu. Byliśmy natomiast w posiadaniu informacji przekazanych nam przez pułkownika Kuklińskiego. Można było zatem uprzedzić i polski rząd Jaruzelskiego i Rosjan, jakie będą konsekwencje wprowadzenia stanu wojennego. Niestety tak się nie stało. Widocznie większość naszych mężów stanu uważała, że jest to mniejsze zło, że wprowadzenie stanu wojennego jest lepsze niż inwazja wojsk sowieckich. Uważali tak na pewno Europejczycy.

R.K.: — Czy zetknął się Pan osobiście z Kuklińskim?

R.P.: — Nie.

R.K.: — Czy nie sądzi Pan, że ujawnienie przez rząd USA informacji dostarczonych przez Kuklińskiego mogłoby być powstrzymane, a przynajmniej bardzo utrudnione, wojskowo-policyjny atak na „Solidarność” 13 grudnia 1981 roku? Waszyngton słynie z tego, że nawet najbardziej poufne informacje przedostają się do środków masowego przekazu. W przypadku Kuklińskiego tak się nie stało.

R.P.: — Informacje Kuklińskiego znało bardzo niewielu ludzi. Wątpię, czy wiedziało o tym więcej niż sześć osób w Waszyngtonie. Jakikolwiek przeciek do prasy nie był w tym wypadku możliwy. Nie sądzę, że była to jakaś konspiracja. Rząd amerykański uważał po prostu, że jedyna alternatywa to sowiecka inwazja — że albo Rosjanie wejdą, albo zostawią to Polakom. Wydaje mi się, że było to słuszne stanowisko. Do dzisiaj nato-



miast nie mogę zrozumieć, dlaczego rewelacje Kuklińskiego nie zostały ogłoszone — szczególnie kiedy z początkiem listopada Kuklińskiego wyciągnięto z Polski i nic mu już nie groziło. Można było wtedy ogłosić, że mamy wiadomości, że niedługo będzie wprowadzony w Polsce stan wojenny. Być może jednak obawiano się, że w takim wypadku Rosjanie sami wkroczą i będzie dużo gorzej.

R.K.: — Czy znał Pan raporty Kuklińskiego?

R.P.: — Pokazywano mi niektóre raporty Kuklińskiego. Słży one bezpośrednio do prezydenta. Pokazywał mi je Richard Allen, który był jeszcze wtedy doradcą Reagana. Nie byłam jednak w stanie w żaden sposób zmienić decyzji w tej sprawie.

R.K.: — Dziękuję Panu bardzo za rozmowę.

Rożmawiał ROBERT KOSTRZEWA

Cambridge, Massachusetts, 24 lutego 1988 roku

## Opozycja na Węgrzech

Na początku lat osiemdziesiątych opozycja węgierska przybrała formy bardziej konkretne: powstały różne ugrupowania oraz czasopisma samizdatowe. Jednym z takich ugrupowań jest Węgierska Opozycja Demokratyczna, organizacja wprawdzie nieoficjalna — tzn. nie uznana przez państwo — ale grupująca ludzi cieszących się uznaniem i autorytetem w kraju i za granicą, jak np. László Rajk (syn skazanego na śmierć w 1949 roku L. Rajka), Miklós Haraszti (socjolog, pisarz, autor tłumaczonej na wiele języków książki „Zapłata od sztuki”), Sándor Csoóri (poeta, pisarz i eseista) oraz György Konrád, pisarz, którego popularność na Zachodzie dorównuje popularności Kundery. Węgierscy opozycjoniści starają się od szeregu lat informować społeczeństwo o problemach, o których oficjalna prasa węgierska milczy. Chodzi tu o problemy typowo węgierskie, jak np. los węgierskich mniejszości narodowych w krajach ościennych, najnowsza historia, np. Węgierski Październik, zwracanie uwagi na ubożenie pewnych grup ludności i organizowanie konkretnej pomocy, informowanie o formach działania Służby Bezpieczeństwa (przedruki tajnych raportów) oraz wydawanie utworów literackich pisarzy węgierskich i obcych, takich, które nie mają szans na ukazanie się oficjalnie ze względu na cenzurę.

Jednocześnie samizdat poświęca uwagę problemom krajów Europy środkowej, w szczególności ruchom i organizacjom opozycyjnym, jak np. Charta 77 i oczywiście polska „Solidarność” Wbrew oficjalnej propagandzie, opozycja węgierska daje świadectwo solidarności z tymi ruchami, świadczą o tym akcje podejmowane w 1981 (por. Kultura nr 11 z 1982 r., „Węgrzy i my”) i reakcje na ogłoszenie stanu wojennego w Polsce. Ta podziemna prasa spełnia w pewnym sensie funkcję sumienia narodu, z jednej strony kształcąc jego świadomość historyczną, zwracając uwagę na chlubne, a przemilczane tradycje pluralizmu politycznego, charakteryzującego życie polityczne Węgier tuż po wojnie (do 1948 roku), z drugiej strony daje wyraz moralnej odpowiedzialności za sprawy krajowe, nie wahając się podejmować problemów tak bolesnych jak znieczulica społeczna, alkoholizm i wysoka liczba samobójstw na Węgrzech.

Samizdat węgierski, prawdopodobnie ze względu na prześladowania, wydaje cały szereg czasopism, działa w pewnym sensie w rozproszeniu. Jednym z najważniejszych pism, ukazujących się w miarę regularnie od 1980 roku jest Kurier. Jego redaktor, Gábor Demszky, jest zarazem redaktorem Niezależnego Wydawnictwa AB, które w latach 1980-1985 wydało trzy pozycje autorów polskich: scenariusz „Człowieka z żelaza”, „Migawki o stanie wojennym” M. Nowakowskiego i „Dziennik węgierski” W. Woroszyńskiego.

Ostatni numer Kuriera z 1987 roku jest w 1/5 poświęcony zagadnieniom polskim (artykuł A. Michnika, dokumenty o „Solidarności”). Z zamieszczonego poniżej wywiadu, którego udzielił Demszky wydawanej w Paryżu węgierskiej Gazecie Literackiej (Irodalmi Ujság) wynika, że Węgrzy chętnie korzystają z doświadczeń polskich.

## ROZMOWA Z GABOREM DEMSZKY'M

PYTANIE: — Pomimo iż od dawna istnieje kontakt między Gazetą Literacką (Irodalmi Ujság) i Kurierem (Hirmondó), przedrukowaliśmy wzajemnie różne artykuły, to jednak do tej pory nie spotkał się osobiście. O ile mi wiadomo, w latach ubiegłych nie otrzymałeś paszportu, a teraz nagle siedzimy przy jednym stole. Czy coś się zmieniło, czy władze stały się bardziej liberalne?

GABOR DEMSZKY: — Jest to mój pierwszy wyjazd za granicę od chwili, gdy zacząłem się zajmować wydawaniem samizdatowych książek i czasopism. Paszport odebrano mi w 1981 roku, po tym, jak spędziłem miesiąc w Polsce, w najpiękniejszym okresie „Solidarności” i w ramach organizacji „Funduszu Pomocy dla Biednych” (po węgiersku Szeta) wygłosiłem sprawozdanie o swoich doświadczeniach. Tego lata zwolniono mnie też z posady i rozpoczął się dla mnie nowy okres...



Jeśli chodzi o paszporty, to należy zaznaczyć, że właśnie teraz wprowadzone w życie nowe ustawy w dalszym ciągu zawierają klauzule, uniemożliwiające wydanie paszportów. Na przykład w dalszym ciągu można odmówić wydania paszportu „w interesie bezpieczeństwa kraju” i nie ma powodów przypuszczać, że władze nie wykorzystają takiego argumentu. W ostatnich latach odmówiono wydania paszportu w 4.000-5.000 przypadków, ta liczba może się w przyszłości zmniejszyć.

P.: — *Ale wróćmy do początków twojej kariery samizdatowej. Od czego zacząłeś, czym zajmowałeś się uprzednio?*

G.D.: — Między 1977 i 1981 byłem współpracownikiem pisma *Jasność* (*Világosság*). Tam się trochę nauczyłem, jak się robi czasopismo i na czym polega praca redakcyjna. W międzyczasie studiowałem socjologię (jestem z wykształcenia prawnikiem), zajmowałem się badaniami dotyczącymi ędzy społecznej i polityki socjalnej. Niestety, położono temu kres przy pomocy tzw. czarnej listy i zakazu zatrudnienia. Po 1981 nie udało mi się dostać żadnych zleceń z instytutów naukowych.

P.: — *Dlaczego zająłeś się właśnie wydawaniem książek? O ile mi wiadomo, do 1981 roku nie było na Węgrzech żadnych drukowanych, ukazujących się w dużych nakładach wydawnictw samizdatowych.*

G.D.: — To prawda, ale od dawna istniała literatura przepisywana ręcznie. Ponadto wiersze György'a Petri, powieść György'a Konráda „Wspólnik przestępstwa” można było czytać w formie drukowanej, jeśli się miało szczęście te pozycje zdobyć. Dodajmy do tego jeszcze studia György'a Bence i Jánoša Kis, jak również prace socjologów zgrupowanych wokół Ivána Szelényi i Istvána Kemény'a. Słowem bogata literatura czekała na wydanie i na wydawców.

Pomimo wszystko uważam, że bez wypadków polskich nie powstałby samizdat węgierski. Nie tylko powstanie i zarejestrowanie niezależnych związków zawodowych „Solidarność” było ogromną zachętą do rozpoczęcia podobnej pracy u nas. Polacy wymyślili i wypróbowali techniczną stronę przedsięwzięcia, jak również rozprowadzanie wydawnictw samizdatowych. Słowem, stosowane w szerokich kręgach w kraju rozwiązania techniczne pochodzą z Polski.

P.: — *Na czym polega zadanie wydawnictwa samizdatowego? Według jakich kryteriów decyduje ono o tym, co wydaje i w jaki sposób organizuje się całą działalność?*

G.D.: — Tak bardzo ogólnie nie da się tego ująć, wolałbym bardziej konkretnie opowiedzieć o celach, jakie mi przyświecają i o sposobach, jakimi staram się te cele zrealizować.

Uważam, że pierwszeństwo mają prace pisarzy żyjących w kraju i staram się, aby wartościowe prace nigdy zbyt długo nie

leżały w szufladzie. Dochodzi jednak do tak absurdalnych sytuacji, że dzięki wydawnictwom zachodnim publiczność żyjąca na Zachodzie łatwiej i wcześniej może się z tymi pracami zapoznać, niż publiczność w kraju. Uważam za sprawę ważną, aby te prace zdobyły przysługujące im miejsce w literaturze węgierskiej. Mam na myśli przede wszystkim György'a Petri, Istvána Eörsi, György'a Konráda i György'a Dalos.

Jednocześnie uważam za sprawę bardzo ważną zbliżenie i lepsze wzajemne zrozumienie narodów żyjących w podobnych warunkach w Europie wschodniej. Dlatego wydałem jedną powieść Vaclava Havla, trzy powieści Milana Kundery, prace Adama Michnika i dokumenty „Solidarności”.

P.: — *W jaki sposób powstaje z rękopisu książka?*

G.D.: — Trzeba się zapoznać z podstawami sztuki drukarskiej, opanować i polubić najprostsze techniki drukarskie. Bez nich nie ma samizdatu. Podczas gdy najnowocześniejsze systemy wydawnicze opierają się na najnowszych zdobyczkach elektrotechniki, podstawowa technika samizdatowa pochodzi raczej z epoki kamienia łupanego. Każdy jest w stanie przyswoić sobie te sposoby drukowania i są one ponadto tanie. Samizdat ma zapewnioną podstawę bytu, gdy wielu ludzi nauczy się posługiwać „ramką” i sitem i gdy w każdej chwili można do tej techniki powrócić. Od czasu do czasu stosujemy też techniki bardziej nowoczesne i jest publiczną tajemnicą, że tzw. „drugi sektor gospodarczy” nam pomaga. Nasi przyjaciele, którzy żyją na Zachodzie, mogą dla nas wiele zrobić przez dostarczenie odpowiednich maszyn i innych środków.

P.: — *Tak o tym mówisz, jak gdyby ta praca przebiegała zupełnie swobodnie, bez szykan ze strony władz. Do nas natomiast dochodzą złe wieści o szykanach, rewizjach i karach pieniężnych.*

G.D.: — Tak, wiem, że to tak wygląda. To my przesyłamy te złe wieści. Dotyczą one częściowo gwałcenia praw człowieka w kraju, częściowo naszych własnych bolączek. Postaram się jednak przedstawić sprawę z drugiej strony. Druga strona medalu to to, że wydawanie książek dla wymagającej publiczności, otwarta dyskusja i wysłuchiwanie uwag dotyczących następnych wydań przynosi wiele satysfakcji. Entuzjastyczna i wdzięczna, pomagająca w rozprzestrzenianiu i drukowaniu publiczność jest ważnym zapleczem. Przyjemnie jest pracować w atmosferze wolności, bez cenzury i bez szefów. Wolność ta ma jednak swoją cenę. Są nią w systemach dyktatorskich szykany, rewizje lub dużo poważniejsze prześladowania. Na Węgrzech za tego rodzaju działalność nie zamyka się nikogo do więzienia, tym niemniej wszelkie inne sposoby na nas wypróbowano. Nikt spośród tych, którzy podpisują swoje prace nie ma w kraju posady ani pracy nie dostanie. György Krassó był przez rok pod nadzorem policyjnym za wywiad opublikowany w drugim numerze *Kuriera* z



1984 roku. Mnie samego we wrześniu 1983 roku uderzył pałką milicjant na ulicy, kiedy protestowałem przeciwko przeczytaniu adresowanego do mnie listu, następnie, pod zarzutem użycia przemocy wobec funkcjonariusza na służbie, skazano mnie na 6 miesięcy więzienia z trzyletnim zawieszeniem. (Gwoli prawdzie muszę dodać, że od tej pory spotyka mnie dużo mniej szukan).

Rocznie władze przeprowadzają 10-15 rewizji „prasowych”. To jest też sposób kary. Dokonujący rewizji zabierają nie tylko wydawnictwa samizdatowe, ale także maszyny do pisania, książki, rękopisy i korespondencję. W ciągu ostatnich dwóch lat ofiarami takich rewizji byli przede wszystkim: Jenő Nagy, György Gadó (redaktorzy *Demokraty*) oraz József Talat, Mikolta Bognár i Gyula Bartók (współpracownicy *Między stronami świata*). László Rusai, często publikujący na łamach *Stron świata*, jest obecnie poddany przymusowej kuracji, bez najmniejszych podstaw prawnych. Rusai'emu może już tylko pomóc międzynarodowa akcja solidarnościowa: jest ofiarą badań psychiatrycznych na wzór sowiecki.

P.: — Jakiej pomocy może udzielić tym ludziom emigracja zachodnia?

G.D.: — Bardzo różnej. Na przykład Organizacja Praw Człowieka może publikować oświadczenia, wysyłać listy otwarte do odpowiednich władz węgierskich. Stan umysłowy Rusai'ego powinien być zbadany przez niezależnego, w miarę możliwości nie krajowego psychiatrę, który powinien się wypowiedzieć o dotychczasowym leczeniu. Wiedźcie o tym, że członkowie opozycji w sposób zdecydowany bronią praw człowieka, prowadzą politykę w duchu umów helsińskich i liczą na takie poparcie.

P.: — O ile wiem, wydajesz też czasopismo. Czy wszystko to robisz sam?

G.D.: — To byłoby niemożliwe. *Kurier* i wydawnictwo książkowe opiera się na tych samych, stałych współpracownikach. Mamy współpracowników, którzy dostarczają nam materiały, ale nie podpisują ich prawdziwymi nazwiskami. Materiały dotyczące Czechosłowacji i Polski są nam dostarczane przez Gyulę Dénesa<sup>1</sup> i Miklósa Gála<sup>1</sup>. Spośród stałych współpracowników chciałbym wymienić Miklósa Gáspára Tamása, Pála Szalai'ego i Károly'a Kiszely'a (od 1987 roku żyje na Zachodzie) oraz Gyulę Kibicza<sup>1</sup>. Przez rok redagowaliśmy czasopismo we trójkę, z György'em Gadó i Andrássem Nagy. Troski redakcyjne i wydawnicze, jak również kolportaż materiałów dzieli ze mną Róza Hodosán.

(Z węgierskiego tłumaczyła J.D.J.)

1. Pseudonimy.

## Sprawy i troski

### Radio i radioci

W *Kulturze* nr 9/71 z września 1953 roku zamieściliśmy artykuł Wacława Alfreda Zbyszewskiego pt. „Radio i radioci”, podpisany pseudonimem „Józef Pretwic”. Użycie pseudonimu było o tyle zrozumiałe, że artykuł bardzo krytykował audycje polskie w radiostacjach zachodnich, z którymi W. Zbyszewski współpracował, i słusznie mógł się spodziewać, że zostanie przyjęty bardzo negatywnie przez kierowników tych audycji.

Artykuł przedrukujemy gdyż zawiera krytyki, uwagi i rady — które niestety dalej są aktualne. **REDAKCJA.**

Jak każdy wynalazek, radio jest przeceniane. Stało się ono jednym z głównych instrumentów i kolubryn „zimnej wojny”, dwustronnie. Zachód, a zwłaszcza Amerykanie, mnożą potężne stacje nadawcze, które poprzez eter mają nieść zagiew wolności a może buntu za żelazną zasłonę. Komuniści mimo woli przyznają skuteczność tej nowej broni, mnożąc stacje zagłuszające. Od Bałtyku do Dunaju jest ich podobno dwieście. Wyścig zbrojeń odbywa się i w tej dziedzinie. Może jakiś technik mógłby zdać sprawę z tej technicznej rywalizacji. Propaganda radiowa Zachodu ma w każdym razie ściśle techniczne, gospodarcze sukcesy na swym koncie, których efekt w sensie osłabienia potencjału wojennego świata zakurzynowego jest nie do pogardzenia. Ilość kilowatów dostarczanych na alimentowanie stacji zagłuszających jest bardzo okazała, idzie w miliony. Gdyby propagandy radiowej Zachodu nie było, kilowaty te pracowałyby na przemysł zbrojeniowy, puszczalyby w ruch obrabiarki fabrykujące gąsienice dla czołgów, zapalniki dla bomb. Sztaby Zachodu doskonale o tym wiedzą, sztaby bolszewickie z rozpaczą o tym pamiętają. Propaganda radiowa karmi zimną wojnę, opóźnia wojnę *tout court*. Stąd będzie zapewne rosnąć nie słabnąć. Ponadto spełnia ważną rolę socjalną w społeczeństwie XX wieku: zatrudnia, a



więc utrzymuje inteligencję, a zwłaszcza ćwierć-inteligencję, tę najbardziej zbyteczną, ale najbardziej żarłoczną, agresywną a więc politycznie wpływową klasę społeczną naszego stulecia. Rozrost propagandy radiowej to kłapa spokoju socjalnego. Skuteczna. Ćwierć-inteligent zatrudniony na poczcie — to malkontent jeżeli nie komunista, to *fellow-traveller*, ewentualnie radykalny faszysta. Tenże ćwierć-inteligent jako radiota jest *bien pensant*: nawet Syngman Rhee będzie mu się wydawał ostoją ładu na świecie, prorokiem lepszego jutra.

Rozwój wojny radiowej ma specjalne znaczenie dla inteligencji polskiej. Jest to jakby namiastka złotego wieku Strattonu. U Seydy, u Strońskiego prawie cała inteligencja polska w Anglii znalazła skromne lecz godziwe zabezpieczenie bytu. Rzecz ciekawa: czterdziestofuntowe zapomogi dla bezrobotnych połączone z pracą zleconą czy koślawym biurkiem w przepętnionych klitkach londyńskich ministerstw R.P. wyprodukowały stopy makulatury, ani jednego dzieła o wartości literackiej. Groszowe honoraria *Wiadomości* czy *Kultury* uskrzydliły Łobodowskiego czy Balińskiego, Hostowca czy Straszewicza, Józefa Mackiewicza czy Józefa Wittlina. Zasiłki Strattonu czy biur prasowych wojskowych umożliwiły tylko bumlerkę ekipy prasowych hochsztaplerów, operujących mitem „wielkich stosunków” oraz apatyczną wegetację pisarzy, zdegradowanych do roli wyrobników stukających kopytami przed szefuniem, rozdającym „zamówienia narodowe”.

Urzędnikieria jest dla rasowych pisarzy zawsze katastrofą. Pisarz z prawdziwego zdarzenia może mieć tylko jedną posiadłość: synekurę. Dlatego to dawne służby zagraniczne były przytułkiem dla ludzi pióra. Stendhal jest klasycznym przykładem: można sobie wystawić jak ten jego konsulacik w Civitavecchia wyglądał w oczach inspektorów placówek. W naszym, znacznie bardziej biurokratycznym, MSZ-cie Lechoń i Baliński już się dusili. Cóż dopiero w rozgłośniach radiowych, gdzie trzeba odwalać kawałki, pisać nie dla sumienia, nie dla wprawy, nie dla sztuki, nie dla ozdoby piękna formy, a pod gust na wpół piśmiennego, przeważnie nieokrzesanego szefa. Stałe posady radiowe dla talentów tej miary co Łobodowski czy Tadeusz Nowakowski są „paleniem mahoni w piecu” (wyrażenie Becka). Najlepszym wyjściem jest rozwiązanie Strzetelskiego, bodaj jedyne go kierownika radiostacji, który jest jednocześnie miłośnikiem kultury: wydebienie u chlebobawców zasiłków dla koryfeuszów czy nestorów polskiej poezji czy prozy. Od biedy, pogadanki dostarczane z zewnątrz przez najwybitniejszych literatów przy zupełnej swobodzie wyboru formy i treści powinny im dostarczyć wystarczających i regularnych źródeł zarobku zostawiając maksimum czasu dla pracy i twórczości niezawodowej. Ściąganie natomiast ludzi z prawdzi-

wym talentem do kieratu radiowego, do młócenia słomy propagandowej, do tej atmosfery ogłupiającej i jałowej — jest zbrodnią wobec szczątków literatury polskiej na uchodźstwie. Ale jak wytłumaczyć niegramotnym hebesom, których ignorancję przewyższa tylko ich zarozumiałość, że przebywanie w ich towarzystwie i wysłuchiwanie ich „instrukcji” skazuje każdego literata, każdego pisarza, każdego choćby trochę wykształconego i ocytanego człowieka na stopień wszelkiej wrażliwości umysłowej.

Wiek obecny przecenia znaczenie propagandy a więc i znaczenie radia. Iluzją jest w szczególności by radiem można było okowy totalistycznego komunizmu rozsądzić czy choćby nadwreżyc. Nie ma żadnych wskazówek, by wojenna propaganda BBC skróciła wojnę z Hitlerem choćby o tydzień. Wysiłki radiowe Goebbelsa i jego bez mała genialnego Joyce'a (Lorda How-How) na postawę Anglików (choć Joyce'a słuchano i nawet cieszył się on swego rodzaju popularnością w Anglii — dlatego właśnie go powieszono po wojnie) były w efekcie dokładnie równe zeru. Wątpię bardzo, by Malenkow czy nawet Bierut poważnie się przejmowali audycjami radiostacji zachodnich, podobnież Laniel nie kłopotuje się ani chwili tym co nadaje po francusku Moskwa czy Warszawa. Tyrania, która dławi i dusi życie ludów od Łaby po Ocean Spokojny nie rozpadnie się na skutek lepszych czy gorszych programów z Monachium czy Londynu ale tylko na skutek przegranej wojny albo wojny domowej w Rosji samej. Wysiłki radiotów muszą pozostać pracą syzyfową. Tym niemniej audycje radiowe dla krajów za żelazną zasłoną spełniają dużą rolę. Narodom podbitym powinny dostarczać informacji, rozrywki i jakiejś ostoji kulturalnej — poza strawą polityczno-propagandową. Audycje zachodnie żyją, prosperują i rozwijają się w wyniku monopolu radiowego i prasowego komunistów za żelazną kurtyną. Nikt we Francji nie słucha francuskich audycji „Głosu Ameryki” czy BBC i nie ma oczywiście ani jednego Anglika, który by słuchał Warszawy czy Ankary po angielsku. Ale reżimowe radio jest tak beznadziejnie nudne, zakłamanie i rosyjskie z ducha, że siłą rzeczy powstaje *vacuum*: a *vacuum* to musi być czymś zapełnione. Nadmiar propagandy, nadmiar fałszu, nadmiar „linii” i sztrychulca w Warszawie otwiera automatycznie drzwi i okna na oścież audycjom zagranicznym. Bolszewicy wydają miliony na zagłuszanie. Niech Warszawa przestanie nadawać program sowiecki a zagłuszanie okaże się niepotrzebne. Tylko nieliczni będą kręcić wówczas gałkami w poszukiwaniu wiadomości po polsku po całej dziełce, po całym globie. Program warszawski jest tak nudny i tak beznadziejny, że za-



pewne nawet córka Bieruta czy Cyrankiewicza woli nastawić aparat na Paryż czy Madryt.

Na całym świecie ludzie szukają w radio trzech rzeczy przede wszystkim: *news*ów, audycji kulturalno-naukowych i muzyki. W epoce gorączkowej, pełnej niespodzianek, o równowadze chwilowej, ludzie chcą ciągle najświeższych wiadomości. Obawy czy nadzieje, nerwy czy niepokój jednakowo skłaniają miliony istot do wysłuchiwanie biuletynów radiowych prawie o każdej porze dnia i nocy. Słuchanie *news*ów stało się dla wielu nałogiem. W Anglii BBC obliczyło, że jego audycji o 9-tej wieczorem Home Service — słucha około 80 % posiadaczy radioaparatów. O ileż ten głód wiadomości musi być silniejszy za żelazną kurtyną, gdzie informacje zastępują plotki, słuchy, gdzie ludzie mają uczucie, że żyją w wielkim więzieniu, odcięci od świata, gdzie prasy nie ma, gdzie życia publicznego i parlamentarnego nie ma, gdzie normalny człowiek tylko w swoim radioodbiorniku upatruje łącznik ze światem, zwiastuna przyszłości.

Warunki zakurtyne sprawiają, że radiosłuchacz pragnie obok informacji częstych, dokładnych, wyczerpujących, pewnych, uzyskać również i dalszy program z zagranicy. Pragnie on rozrywki — bo humor komunistyczny go nuży i drażni. Pragnie on dostać pożywkę kulturalną, bo porcja kultury serwowana przez reżim pachnie czy śmierdzi moskiewskim dziegiem. Chce on łączności z ruchem umysłowym Zachodu, chce czystej, pięknej, nieskażonej reżimowym żargonem polszczyzny. Chce wreszcie, na koniec — kontrpropagandy czyli komentarzy politycznych.



Zapotrzebowanie kraju na programy radiowe w języku polskim, niecenzurowane przez komunistów i Sowietów, jest w chwili obecnej wcale hojnie zaspakajane. Po polsku nadają: Paryż, Madryt, Londyn, Nowy Jork, Monachium, Rzym, Belgrad, Montevideo, Ankara, Watykan, Montreal, pewno i inne stolice. Żadna z tych stacji nie jest „polska”: wszystkie są finansowane przez rządy i radiofonie obce. Na to nie ma rady. Nawet przy stokrotnie większych wpływach i zasobach Skarbu Narodowego czynników polskich nie będzie stać na opłacanie choćby tylko personelu i programu jednej dużej polskiej sekcji: a wydatki programowe stanowią wszędzie zaledwie około 10 % ogólnej sumy wydatków. Resztę pożerają wydatki techniczne. Szczególnie Amerykanie są na technikę hojni. Tutaj nawiasem wtrąca uwagę: na przykładzie radia widać całą różnicę mentalności amerykańskiej i polskiej. My jesteśmy narodem „przepolitycznionym”: nasi przywódcy gotowi się dźgać nożem o tekst jakiejś rezolucji, lecz gdy ta została „uzgodniona” żaden z nich nie za-

troszczy się, by sprawdzić czy nieszczęsna sekretarka-głodomór rozesłała ją według rozdzielnika. Amerykanie szaleją na punkcie „przechodzenia” ich programu: jeżeli im ktoś powie, że w wypadku wystawienia nowej stacji nadawczej w Tanganayice ich audycje będą słyszane świetnie w Garwolinie, są gotowi wysłać nad jezioro Nyassa całą ekspedycję z dwudziestu osób; ale znacznie mniej ich interesuje co w tym programie będzie się znajdować. Pozostaliśmy wierni tradycji sztuki dla sztuki również w polityce.

Stopień niezależności tych programów jest wielce różny. Niektóre ograniczają się do tłumaczenia na język polski tekstów dostarczonych przez chlebodawców. Inne rozporządzają praktycznie nieograniczoną swobodą. Słuchacz krajowy orientuje się w tych niuansach doskonale. I oczywiście woli audycje redagowane przez samych Polaków, bez kontroli i interwencji obcej. Stąd niesłabnąca popularność Madrytu choć ta placówka ma technicznie bardzo słabą stację i bardzo ograniczony personel i fundusze. Rozumni zagranicznicy powinni pozostawiać polskim radiotom maksimum swobody: tylko pod tym warunkiem mogą sami ze swych wkładów odnieść jakieś korzyści propagandowe. Kontrola, belfrowanie, dają w rezultacie zakalec, który jest politycznie czystą stratą. Jest złudzeniem — by nie powiedzieć idiotyzmem — by Anglik (a już nie daj Boże Angielka) czy Amerykanin lub Turek mógł mieć wycucie tego co może interesować słuchacza polskiego, nie mówiąc już o tym co może mu się podobać. Pół-środkiem jest wprowadzenie *Herrenvolk*'u paszportowego: powierzanie audycji polskich naturalizowanym w danym kraju Polakom (czy Rosjanom, czy Węgom). Każdy rasizm jest niemoralny i szkodliwy: paszportowy tak samo jak oglądanie zawartości kałesonów Aszkenazego czy Tomkowica w znanej piósenke Boya.

Drugie generalne pytanie to z jakiego środowiska należy rekrutować radiotów. Kierownik jednego z polskich programów tłumaczył chętnie, że na to stanowisko nadają się socjologowie. Oczywiście dlatego, że sam się za socjologa uważa. Inni, zależnie od swego „Fragebogen”, lansują na stanowisko kierowników „działaczy społecznych” to znaczy ludzi według klucza partyjnego, dwójkarzy, kurierów Armii Krajowej, czy urzędników prasowych. Wszystkie te pomysły są śmieszne i opłakane. Radio jest może najniższą formą dziennikarstwa ale jednak jego przedłużeniem: powinno więc być domeną zawodowych dziennikarzy, redaktorów i publicystów. Oczywiście i w świecie dziennikarskim istnieje hierarchia i tej należy przestrzegać. Niestety Polacy uznają różnicę w hierarchii przeważnie dopiero z chwilą, gdy operacja ta sprowadza się do liczenia gwiazdek na epoletach. Stąd nasza predylekcja do wysuwania zawodowych wojskowych, bo tutaj nie może



być dyskusji, że generał brygady ma przewagę nad kapitanem. Iluż grafomanów nie chce pogodzić się z oczywistością. To wielka trudność, która i w radio brzdzi, ale wszelka rozumna polityka personalna w radio musi wyjść z założenia zawodowości i hierarchii dziennikarskiej.

Każda stacja nadająca po polsku operuje jednym podstawowym tworzywem: językiem polskim. Toteż absolutna, bezwzględna, nieposzlakowana czystość i poprawność języka jest jej pierwszym obowiązkiem. Język polski jest w kraju zagrożony zarówno żargonem bolszewickim jak i postępnymi rusyfikacji. Stacje zagraniczne, nim staną się ostoją ducha polskiego, muszą być warownią poprawnego literackiego języka. Stąd ci co ten język kaleczą, wykoszlawiają muszą być rozpalonym żelazem ze wszystkich polskich programów eliminowani. Niestety! Można by tomy całe błędów językowych, gramatycznych i stylistycznych z tych programów wyłowić. Ohydna i jakże rozpleniona *camera obscura*. Ograniczę się do paru przykładów. Kierownik jednego z polskich programów używa stale zwrotu: „Józef Stalin” — ten bęcwał i nieuk nie wie dotąd, że używanie imienia obok nazwiska jest w języku polskim wyrazem hołdu. W Nowym Jorku jest jakaś niepiśmienna baba, która pisze: „Z Istambułu donoszą” — choć już z „Trylogii” wiadomo, że od pięciuset lat Konstantynopol nazywa się po polsku Stambułem. Zwroty w rodzaju: „w Waszyngtonie uważa się” (*it is believed in Washington*) i inne tego rodzaju brzydkie anglicyzmy spotyka się na każdym kroku. Jedna ze stacji w Nowym Jorku mówi o „parlamentemie wybranym przez powszechne głosowanie”; audycje polskie z Rzymu (nie z Watykanu) są pisane w ogóle jakimś żargonem. Nie ma rady, i w takich wypadkach opinia polska musi walczyć o czystość języka i wołać o gilotynowanie winnych bez cienia względów dla „kumoterskich” stosunków, które we wszystkich radiostacjach są zakałą i plewą.

Dbałość o język ma jeszcze w radio drugą stronę: spikierkę. Programy muszą być nie tylko pisane bezbłędną polszczyzną: muszą nadto być recytowane przed mikrofonem przez dobrych spikierów, mówiących dobrą, kulturalną polszczyzną bez obcych akcentów, bez półinteligentkiej intonacji. Język polski jest jednym z najmniej radiofonicznych języków na świecie. Dobrych mówców a więc i spikierów mieliśmy i mamy bardzo mało. Pomijam kwestie techniczne: potykania się, timbre głosu, ale obce akcenty nie mogą być tolerowane. W Nowym Jorku na przykład przemawia jakaś pannica, która mówi „Polska”! Są to zbrodnie. W Polsce akcent się obecnie wulgaryzuje. Każdy kto słucha tak

zwanych wywiadów z uchodźcami z Kraju musi być uderzony niechlujną wymową nie tylko robotników i chłopów, ale również młodych ludzi, którzy pokończyli reżimowe szkoły. Tym bardziej doskonała wymowa, staranna, płynna, dźwięczna, jeżeli można wytworna, a w każdym razie bez cienia obcych naleciałości musi obowiązywać wszystkie polskie rozgłośnie na Zachodzie. I tu znowu żadne „kumoterstwa” nie mogą ratować ani spikierów, ani spikierek.

Podstawą każdego programu radiowego muszą być skromne ale konieczne *news'y*. Wszak słuchacz krajowy właśnie szuka *news'ów*; komentarze etc. interesują go już znacznie mniej. Szanująca się radiostacja musi nadawać dziennik poranny, południowy, popołudniowy, wieczorny i późnowieczorny. Jedna z radiostacji nadaje *news'y* co godzina przez 10 minut. Bardzo trafny pomysł. Żadnego sensu natomiast nie ma *siedmiokrotne powtarzanie audycji news'owej* przez inną radiostację. Słuchacz, który orientuje się, że o 7-mej rano serwują mu program z poprzedniego wieczoru dostaje szału. Powtórki w ogóle mijają się z celem. Lepiej ich zaniechać jeżeli już się nie chce zwiększyć wydatków programowych.

*News'y* są rzeczą bardzo prostą ale i w tym wypadku potrzebna jest minimalna doza zdrowego rozsądku. Muszą być robione przez fachowych, doświadczonych dziennikarzy agencyjnych i redaktorów działu depeesz. Muszą być oparte na teleskryptorze dobrej światowej agencji nie zaś na „brykach” dostarczonych przez „redakcje centralne”, to znaczy na materiałach z drugiej ręki. Muszą być robione zawsze w ostatniej chwili. Muszą być treściwe, wszechstronne, bezstronne, redagowane bez cienia tendencji i propagandyzmu. Nie mogą zatajać informacji niewygodnych. Nie mogą być komunistycznym programem *news'owym à rebours*. Muszą być elastyczne: jeżeli *news'ów* nie ma dość na wypełnienie audycji lepiej zastąpić je płytą z muzyką niż walić sieczkę.

Dla audycji zakurtynowych istnieją pewne specjalne problemy. Jak traktować wiadomości z Polski czy o Polsce? Ostrożnie. Znaczna ich część, zwłaszcza te o oporze, pochodzą ze źródeł mętnych i podejrzanych. Są fabrykowane często przez emigracyjnych polityków i bezrobotnych reporterów. Znaczna ich część pochodzi ze źródeł niemieckich, a o wiele więcej z Bezpieki czy wprost z NKWD. Niekiedy są typową prowokacją. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Lepiej być przesadnie ostrożnym niż lekko-myślnym.

Słuchacz polski żąda też wiadomości o tym co się dzieje w Sowietach, bo wie, że jego przyszłość zależy od rozwoju sytuacji



na Kremlu. Nie ma o tym żadnych pewnych wiadomości. Uważam przeto, że rozgłośnie polskie winny nadawać wszystkie domysły i plotki, które na ten temat kursują po prasie światowej. Oczywiście z podaniem źródeł. Niech Moskwa te plotki demontuje.

Jak wreszcie radiostacje mają podawać informacje o życiu politycznym polskiej emigracji? Niestety, póki trwa obecne rozbicie, patriotyczny i sumienny *news*-owiec będzie te smutne wieści pomijał. Nie ma celu i sensu rozdmuchiwać tych burz w szklance wody, tych gorszących polemik, tych personalnych kłótni. Zostawmy Arskim babranie się w tym błotku. Kraj zresztą emigracją nie tylko z 1939 roku ale i z 1945 naprawdę się nie interesuje.

Jak natomiast ułożyć resztę programu? Osobiście będę się upierał przy bardzo prostej zasadzie: program musi być przede wszystkim *interesujący*. Znużenie słuchacza jest pierwszym krokiem do zrażenia go. Bolszewicy go naprzód zanudzili i teraz odzyskać go nie mogą. Niestety zachodnie radiostacje nie mają zrozumienia dla konieczności dostarczenia godziwej rozrywki. Przeważają program propagandą nie rozumiejąc, że nadmiar zawsze odnosi skutki niepożądane. Powtarzaniem się i zbyt wielkimi dawkami stępują ostrze swej własnej broni. Ilość komentarzy, polemik czy wręcz pyskówek jest przesadnie wielka. Są one nadto za długie. Któż może wytrzymać pogadankę dziesięć- a tym bardziej piętnastominutową? Kto z piszących może się nie wypisać, w kółko mówiąc to samo? Jaki cel może mieć szufladkowanie audycji na młodzieżowe, chłopskie, robotnicze? Podział na „referaty” jest nieunikniony w urzędzie, ale radiostacja nie jest urzędem. Biurokratyczne podziały ją zabijają. Publicystów, komentatorów, polemistów jest mało. Przez przydział kawałków nikt ich z kamienia nie wykrzesze. Rezultatem są audycje drewniane. Gdyby wydawać skrypty radiowe w formie dziennika nikt nie byłby w stanie dwóch numerów przeczytać: taka nuda. „Dzwonek Częstochowski” nieraz by takie skrypty odrzucał. Gadulstwo szaleje i brak smaku. Rozwlekłość. Ogólny poziom audycji polskich jest słaby, często ponury, nieraz beznaoczny.

Środki zaradcze? Jeżeli wyjdziemy z założenia, że żelazna zasłona kruszy się i wali, że dni panowania bolszewickiego są policzone — to mniejsza o to. W radosnym upojeniu Wyzwolenia wszystkie te luki i niedociągnięcia zostaną zapomniane i wybaczone. Ale jeżeli noc niewoli się przeciągnie? Jeżeli potrwa lata? Wówczas audycje muszą być planowane inaczej. Muszą zastąpić słuchaczom krajowym gazetę opozycyjną. Ta gazeta może

być dobra albo zła. *Goniec Warszawski* był żywy i zajmujący, *Głos Narodu* martwy i usypiający. Gazeta opozycyjna jest artykułem pierwszej potrzeby. Jeśli jej nie ma w kraju — niech będzie w eterze. Ale chwacka nie rozmamfana, dziarska nie senna, z fajerem nie sflaczała.

Słuchacze potrzebują humoru, rozrywki. To też są artykuły pierwszej potrzeby. Mała dawka propagandy na tle dużej dawki rozrywkowej jest dużo skuteczniejsza niż wielka doza napuszonego antybolszewizmu na tle paru płaskich, antykomunistycznych dowcipów. Musztarda jest wspaniałą przyprawą, nie może być danie. Program radiowy wymaga wszędzie inwencji, pomysłów, nowych prób. *Tymczasem ma wszędzie skłonność do wpadania w schemat, w marazm, w biurokratyczną rutynę*. Może by zachodnie radiostacje zrobiły próbę wymieniania swych współpracowników w regularnych odstępach czasu? Ten piodozmian pobudzałby ciekawość, przynajmniej dawałby materiał porównawczy. Może byłoby mniej „samodurstwa” na górach — tej zawodowej choroby wszystkich szefów.

Przed wszystkim jednak trzeba dać Krajowi program kulturalny, program więzi umysłowej z Zachodem. Z tym jest najgorzej. *News*'y są niezłe w monachijskiej Free Europe i w BBC. Rozmaitość i żywość programu są najlepsze w Paryżu i w Madrycie — ale Polak który chciałby uzupełnić swe wykształcenie przez słuchanie audycji polskich srodze byłby zawiedziony. Nic poza łzawymi frazesami, nic poza obchodem narodowym. Nie ma uczciwego cyklu nauki historii Polski ani polskiej literatury, nie ma *camery obscury* niezliczonych rusycyzmów i dziwologów językowych reżimu. Nie ma należytej recytacji poezji, nie ma polemiki pomiędzy wolnymi Polakami, która pozwoliłaby słuchaczom w Kraju wyrobić sobie zdanie o sporach, które nas dzielą: choćby o takiej „sprawie Miłosza”. Nie ma nauki języka angielskiego (a właściwie amerykańskiego), który staje się *lingua franca* naszego świata.

Listy z Kraju powinny być busolą dla pracy radiowej. Każda szanująca się redakcja liczy się z listami czytelników, wszelkimi sposobami ich do pisania zachęca. Paryż dotąd dostaje około 100 listów miesięcznie z Polski. Zapewne część ich odnosi się do spraw czysto osobistych: odnalezienie krewnych, przesłanie życzeń, itp., część jest pisana przez agentów bezpieczeństwa, część wychodzi spod pióra grafomanów. Ale część rzuca jednak światło na wymogi słuchaczy. Radiostacje które listów nie otrzymują poruszają się całkowicie po omacku. Nic dziwnego, że w nich właśnie samodurstwo najbardziej kwitnie. Nie mówię ma się



rozumieć o listach „inspirowanych” przez poszczególnych radiotów (bo i to się zdarza), czy zgoła fikcyjnych.



Do ideału radiostacje zachodnie nadające do krajów za żelazną kurtyną niestety na pewno nie dojdą, ale poprawa jest możliwa i należy do niej dążyć. Dobre *news'y*, poważny wysiłek w dziedzinie kulturalnej, zajmujący program rozrywkowy, wreszcie cenna i dynamiczna doza propagandy politycznej — oto minimum jakiego opinia polska i w Kraju i na emigracji ma prawo i od radiostacji i od radiotów domagać się i otrzymać.

Wacław A. ZBYSZEWSKI

## PROGRAMME ASSISTANT Polish Section

The BBC requires a Programme Assistant (journalist-translator) for its Polish Section in Central London.

Applicants with perfect Polish must have education to university level or equivalent, a thorough knowledge of English, the ability to translate quickly, a good microphone voice, an interest in current affairs and the ability to type. Journalistic and/or broadcasting experience would be an advantage.

Write, with brief CV, (quote ref. 9124 KU and enclose s.a.e.) within 14 days to Recruitment Officer, Language Services, BBC, PO Box 76, Bush House, Strand, London WC2B 4PH.



EXTERNAL SERVICES

We are an equal opportunities employer.

## Kraj

### Wodowanie stoczni

M u r

Pamiętam ten mur. Ten kilkunastometrowy odcinek, ciągnącego się kilometrami muru pokrytego szarym tynkiem, przyrosnięty z obu stron do ceglanych hal.

Pamiętam chłopców siedzących na murze, napisy, czyste barwy narodowej flagi, olejny obraz Matki Boskiej odsłaniającej swe serce, przymocowany do słupa latarni.

Siedziałem wówczas na trawie po drugiej stronie jezdni brukowanej kamienną kostką. Środkiem biegly wrośnięte w bruk szyny nie jeżdżących w tamte dni tramwajów. Na nadbrzeżu sterowały nieruchome dźwigi i tylko z jednego komina snuł się leniwie dym. Siedziałem na trawie, za plecami mając betonowy płot dojazdowej kolejki. Sto kilkadziesiąt metrów z prawej strony widziałem pomost i metalowe schody prowadzące ze stacji Gdańsk-Stocznia do III bramy. Przymierzałem aparat do oka szukając kadru.

Do muru podeszła dziewczyna o południowej urodzie, z czarnym warkoczem, w dżinsowej sukience i białej chuście opadającej na plecy. Wspięła się na palce i wyciągnięta niczym struna sięgnęła po strajkowy komunikat.

Ciekawe, co robi dziś? Może rodzi dzieci chłopakowi ze stoczni, któremu nosiła paczki? Może została za granicą w jednym z obozów? A może poszła po rozum do głowy i wyszła za mąż za pracownika organów?

Pamiętam ten mur i kiedy patrzę teraz z tego samego miejsca, widzę za nim — jak wówczas — przechyloną tubę komina, kratownice i owal kotła. Na szczycie całego muru wyrosły metalowe pręty, ostrzami skierowane do środka, a górne pasmo muru zama-



lowano białawą farbą. Nie ma latarni wyznaczającej wówczas środek tego odcinka i nie ma już bruku na jezdni, w międzyczasie przykrytej asfaltem, położonym na grubym podkładzie, blisko metr powyżej poziomu chodnika. Chodnikiem wzdłuż muru, który wystawał ponad jezdnię, idzie się teraz poniżej jezdni, jak rowem. Tramwajowe szyny oddziela od jezdni i chodnika metalowa siatka, której wówczas nie było. Tylko III brama jest ta sama i ta sama — jak w grudniu 1970 i sierpniu 1980 — metalowa kładka nad torami kolejki. I te same schody prowadzące od stacji Gdańsk-Stocznia do III bramy i ten sam napis wzdłuż ustawionego frontem do bramy budynku: „Budujemy morską potęgę Polski Ludowej”.

Idę — może kilometr, może półtora — wzdłuż muru, od III bramy do II, pod pomnik. Pamiętam ten mur i wszystkie trzy bramy w kwiatkach, portretach Jana Pawła II i w wizerunkach Matki Boskiej. I drewniany krzyż przed II bramą z przytoczonym cytatem z Byrona („Walka o wolność kiedy się zaczyna...”), i salę BHP z gipsowym posągami Lenina i krzyżem na ścianie, i tłum delegatów zakładowych, i przyjazd ekipy rządowej na rozmowy, i same rozmowy: srebrny głos pani Ani, bliźniaczy Alinki i żarty na bramie rzucające od niechcenia przez dzisiejszego zwykłego obywatela.

Pamiętam wszystko.

### Przed bramą

Jutro będę w stoczni, już wiem. Rano w biurze przepustek przed II bramą będzie czekała na mnie jednorazowa przepustka. Muszę zorientować się szybko, jak jest w stoczni. Więc pytam. Mówią: lekarka, inżynier i trzech stoczniowcy.

*Stoczniowiec I (37 lat w stoczni):* — Jest taka tendencja w stoczni, że przemysł stoczniowy wchodzi w stagnację produkcyjną i wszyscy ze stoczni uciekają. Te 30-latkowie, te 40-latkowie starają się wyjechać na saksy i dorobić pieniędzy. Uzwiązkowienie, te 30% załogi, to głównie emeryci i cała administracja i ci ludzie, którzy starają się wyjechać na saksy, bo inaczej nie dostaną punktów, i margines, te pijaczki różne. Tymi saksami człowiek bardzo się upadła, wiadomo: najgorzej płatni są Polacy. Godność jest wtedy mniejsza niż te parę dolarów. Ja na saksy nie pojadę. Byłem na pielgrzymce w Rzymie i widziałem Zachód i to mi starczy. W wieku 52 lat zresztą nie ma co. Na te saksy wyjeżdża się przez firmy serwisowe, stocznia daje urlop okolicznościowy na pół roku, na rok, ale trzeba mieć punkty — upartyjnienie, uzwiązkowienie jednostki się liczy. Ostatnio zawarto kontrakt z Małtą,

dyrektor zostawił stocznnię i pojechał, nawet Kiszczak na plenum przejechał się po nim jak po łysej kobyle.

Zarobki w stoczni są poniżej miastowych. Zasadnicza pensja oczywiście. Pracownicy regulują sobie zarobek nadgodzinami. Za wolne soboty płacą 100 złotych na godzinę i 60 złotych za nadgodziny w zwykły dzień. Nie chcieli nadgodzin za kwiecień wypłacić, powiedzieli, że dadzą w czerwcu, ludzie zrobili szum i płacą już jutro, 12 maja. Po czterdziestu latach pracy mam najwyższą grupę, najwyższą stawkę zaszerogowania: 170 złotych na godzinę, a i to muszę napompować około setki nadgodzin, żeby zarobić miesięcznie około 60 tys. zł, godzina wychodzi wtedy płatna 120 zł, a nie 170 zł. To jest celowa praktyka, żeby pracownik nie miał ani czasu, ani zainteresowań, tylko przyszedł z roboty, zjadł, wyspał się i znów do roboty. Żeby można było społeczeństwem manipulować.

Warunki pracy są bardzo trudne. Chemią się trujemy: ksylami, chlorokauczukami. Człowiek jest jako to mięso produkcyjne. Dużo młodych przychodzi do deficytowych zawodów, poducza się i uciekają gdzie indziej zarobić. Ze stoczni uciekają też w wieku 30-40 lat, doświadczeni pracownicy, w sile wieku. Tylko ci starzy zostają, co wysłużyli się jak pies na łańcuchu, ci nie odchodzą, bo kto ich przyjmie w wieku 45 lat, kiedy są już wyeksploatowani. Nastąpiła bardzo wielka znieczulica społeczna. Każdy patrzy na koniec własnego nosa. Z tej wielkiej solidarności sierpniowej to prawie nic nie zostało. Początkowo płaciliśmy składki i teraz też płacimy, ale tendencja jest spadkowa. Administracja jak w całej Polsce, nie przejmując się sprawami pracowników, traktują nas po macoszemu. Jak za czasów feudalnych chłop pańszczyźniany, tak jesteś traktowany. Są czynniki społeczne, ale za starych związków to były jeszcze KSR-y, a teraz to nic.

Ten statek, co podczas wodowania się utopił, to nie był żaden sabotaż, to byłoby obraźliwe dla stoczniowców, tylko przez przeterminowanie remontu kapitalnego pochylni o dwa lata. Teraz jest na doku, robią przegląd i parę płyt poszyciowych wymienia.

*Lekarka (z rejonu lekarskiego na wydziale produkcyjnym):* — U nas choroby zawodowe wynikają z narażenia na pyły i to są tzw. pylice. Panuje hałas, więc są głuchoty w takich specjalnościach jak kowal czy monter kadłuba, czy wycinacz. I jest jeszcze wibracja przy młotach pneumatycznych, udarowych narzędziach, jak się pospolicie nazywa, więc jest i choroba wibracyjna: zaburzenia krążenia, choroby przewodu pokarmowego, wrzody żołądka, palce drętwieją ludziom, nieraz następują zmiany w układzie kostno-stawowym. Zdarzają się też zatrucia tam, gdzie jest za duże stężenie trucizn, np. zatrucie gazami spawalniczymi albo gdy



spawają powierzchnie pokryte farbami i jest duża temperatura i duże stężenie oparów.

W tej chwili nie ma nawet konkretnych badań środowiskowych. Tak naprawdę to nie bada się w laboratorium stężenia tych wszystkich szkodliwych dla zdrowia czynników. Bada się tylko procent utraty zdrowia. W zależności od tego stoczniowcy dostają odszkodowania jednorazowe. Idą na komisję i komisja orzeka, czy ma 20 czy 30 % utraty zdrowia. Jeżeli orzeknie duży procent, to dostają rentę inwalidzką, a jeżeli niski, to co miesiąc wyrównanie do pensji. Jeżeli komisja mu uzna chorobę zawodową, jest odsuwany od szkodliwej pracy — przechodzi dwuletni okres rehabilitacji zawodowej, uczy się nowego zawodu, dostaje przez dwa lata średnią pensję, potem lepszą pracę i oczywiście o wiele niższą pensję, np. 16 tys. zł, z której liczona jest renta. Bronią się przed tym, bo jeśli przez 30 lat był monterem kadłuba, naharował się i zdrowie stracił, to on z tej swojej pensji chce iść na rentę, a nie z tej trzy, cztery razy niższej, którą dostanie w lepszej pracy. Choroby zawodowe mają z reguły właśnie ci, którzy mają wyższe zarobki. Rentę zawodową trudno uzyskać, więc pracownicy odwołują się do sądów. Zarobki nie są specjalnie duże, to wielu stara się o rentę. Ale też nie każdy chce przejść na rentę, jak jest w miarę zdrowy i ma tylko pylicę, a ma rodzinę na utrzymaniu, więc ukrywa chorobę.

Niedawno zdarzyło się nieudane wodowanie. Tylko dziób statku spłynął z pochylni, a tył nie, statek się utopił. Duże zamieszanie było, z podwyższenia dyrekcja i zaproszeni goście zaczęli uciekać, orkiestra uciekła. Urban nawet potem prostował, że celowości nie stwierdzono. Po tym wodowaniu naczelny dyrektor stoczni Goluch wyjechał na kontrakt na Malte, zabrał ze sobą technologów, a jeden cieśla, który był przy tym wodowaniu i który nie wybił tych klinów czy jak tam, powiesił się w lasku oliwskim.

Kiedyś każdy wygłaszał swoje poglądy, a teraz ludzie się boją, są zmęczeni tymi podwyżkami i tym, co się działo. Tylko plakatów coraz więcej jest w stoczni — na 1 maja, i sojuszowe. Stoczniowcy chodzą, śmieją się i przyklejają, bo co mają robić.

Ogólnie sytuacja jest taka, że narzekają ludzie, narzekają. Opinia jest taka, że wszystko leci, że stocznia idzie na dno.

*Stoczniowiec II (27 lat w stoczni, ślusarz okrętowy):* — Ja byłem, jestem i będę robotnikiem. Od 13 grudnia 1981 nie robiłem ani jednej nadgodziny, a mam siedmioro dzieci, Wałęsa jest tylko o jedno lepszy. Najmłodszy robi maturę, trzy córki wydałem za mąż. Żona przerwała pracę, żeby wychowywać dzieci. Ja zarabiam 27-28 tysięcy z dodatkami, a 31 tysięcy z zasiłkiem rodzinnym.

*A propos zarobków,* to w stoczni pracuje kilka spółdzielni — Metalex, Unipex — i ich robotnicy za tę samą robotę zarabiają dwa razy tyle co my. Mają tak ustawione karty akordowe, że my musimy dwa razy tyle roboty zrobić za te same pieniądze. Ja dostaję 145 złotych na godzinę z akordu, inni jeszcze mniej, a u nich najgorsza stawka — 200 złotych. W tej sprawie była u nas już i telewizja.

Byłem internowany 7 miesięcy. 10 maja 1982 roku nas wzięli, a zwolnili 9 grudnia, byłem wtedy chory, przeziębiony, bo tam była prawie zerowa temperatura. Czterech nas wtedy internowano — w Hławie, później w Kwidzynie. Dwóch nas przyjęli z powrotem do stoczni, dwóch nie przyjęli. Jak nas pobili w Kwidzynie, to była głodówka. Ja po kilku dniach przerwałem głodówkę, bo internowani koledzy-lekarze mi kazali, bo byłem leczony na wrzody, zachodnie lekarstwo brałem i musiałem przerwać albo kurację, albo głodówkę. Teraz mam żołądek zdrowy.

Jak przerwałem głodówkę, to powiedziałem sobie, że przez trzy lata nie wezmę do ust ani kropli alkoholu — ani wódki, ani piwa. Przedtem też nie byłem pijakiem, piłem z rozumem, ale jak żeśmy we dwóch siedli, to mogliśmy cztery butelki wypić. Mam twarde postanowienie i to mnie ratuje. Jak trzy lata bez alkoholu minęły, to przyrzekłem sobie po cichu, że ani kropli nie wezmę do ust, dopóki to nie padnie. Już pięć lat minęło, jak ani kropli nie wypilem. Bez żadnych przyrzeczeń w kościele.

Mam utratę słuchu 75-80 decybeli, to znaczy ja słyszę 75-80 decybeli, a dobry słuch jest, kiedy się słyszy 20 decybeli, zupełna głuchota natomiast, kiedy się słyszy dopiero 120 decybeli. Słuch straciłem od huku, trzech kowali było na tej hali, 120 osób pracowało na hali, kowale walili, ludzie walili w blachy i jeszcze wirówka była. Teraz kowali przenieśli, zasłony zrobili, ale ja słuchu nie odzyskam. Zmienili mi utratę z 75-80 decybeli na 70-75 i nie kwalifikuję się, odszkodowania nie dostaję. Specjalnie się nie pcham, bo będę musiał jednak nadgodziny nadrobić na tę jałmużnę, na emeryturę znaczy.

Wentylacji nie ma na halach. Zimą na halach w żelaznych rurach zamarza woda. Jak na dworze jest 19° C, to na halach — 10° C.

Ja pracę szanuję, ale u nas poważanie robotników jest pod zdechłym Azorkiem. W tej chwili nawet gdyby chciał gdzieś iść rozmawiać, to nie ma gdzie.

Lekarz kazał mi — jak ten żołądek wyleczyłem — drugi posiłek jeść. Herbatę piłem, zjadłem kanapkę — 10-15 minut, takie drugie śniadaanie. Teraz ze mną sporo ludzi je drugie śniadanie. Chcieli to zlikwidować, to ja mówiłem: to panowie wódkę pijecie, a ja herbaty nie mogę? Pili, będą pili, bo oni



w związkach są i w partii i nikt im nic nie robi. Jeden robotnik zadzwonił, że mistrz Żelazny jest pijany, to się okazało, że sekretarz poznał go po głosie, bo tam jest taki telefon, co mówi na cały pokój i łatwo poznać kto mówi, więc ten, co dzwonił, został ochrzczony, a nie ten, co pił.

Nasza stocznia ma taką sytuację, że na ostatnią wypłatę musiała jej pieniędzy pożyczyć stocznia rzeczna „Wisła”. Od 1979 roku budujemy prom dla Szwecji — już ósmy rok. I przez to jako stocznia jesteśmy do tyłu. Przez długie terminy i niewywiązywanie się z umów.

Mój numer ewidencyjny 41.272, a teraz są już numery przeszło 100 tysięcy, taka jest ruchliwość zatrudnienia w stoczni. Proszę podać moje nazwisko — Marian Moćko. Ja się nie boję. Ja byłem, jestem i będę robotnikiem.

*Stoczniovec III (25 lat w stoczni):* — Sytuacja w tej chwili jest gorsza niż kiedykolwiek, podobnie jak w całej Polsce. Stocznia jest w zasadzie zakładem montującym, tylko kadłub budowany jest w stoczni, a wszystkie jego wnętrzości dostarczają zakłady kooperujące, których jest wiele. Wystarczy, że jeden zakład nawali i toczy się lawina. Dawniej, kiedy terminy dostaw były w miarę przestrzegane, to i w stoczni wszystko ładnie wychodziło.

W 1971 roku, po wejściu Gierka, była najlepsza sytuacja po wojnie w stoczni. Jak Gierek przyjechał, powiedział, że wszystko chce naprawić i zapytał: pomożecie? Pomożemy, odpowiedzieliśmy. Taki entuzjazm wstąpił wtedy w stoczniovców, że kooperanci nie nadawali. Na 1 maja nie chciałem iść, ale koledzy namawiali: pójdiesz, będziesz niósł czarną chorągiew. I władza w przeddzień jeździła nysami i składała wieńce tam, gdzie były wypadki. A stoczniovcy 1 maja 1971 przyszli na pochód z czarnymi chorągiewami. Nie była to liczna delegacja, ale była. W pracy załoga była bardzo sprawna, entuzjazm wstąpił w ludzi, myśleli, że zmienia się na lepsze. Pierwsze lata gierkowskie to były najlepsze lata powojenne. On popełnił duży błąd, że poszedł na duże pożyczki i największy błąd, że niewłaściwie inwestował, że te pożyczki zmarnował. Ale pierwsze trzy-cztery lata to najlepiej nam się działo. Choćby to otwarcie granic, to przecież Gierek otworzył granice.

W 1976 roku stocznia też strajkowała przeciwko podwyżkom, ale robiło się nadal w stoczni, co można było.

Okres gierkowski od strony materialnej był jeszcze znośny. Olimpiada pożarła trochę, no i trzeba się było wziąć za spłatę pożyczek, trzeba było zacisnąć pasa. A jak zacisnęli pasa, to wybuchła „Solidarność”.

Po sierpniu 1980 dziennikarze pytali, czy jesteśmy w stanie odrobić straty. Na pewno, odpowiedzieliśmy, pamiętając pierwsze

lata 70-te i jak się wtedy pracowało. Rezultat był taki, że dyrektor Gniech na procesie za strajk po 13 grudnia 1981, w którym był sądzony m.in. przewodniczący „Solidarności” w stoczni, Ałós Szablewski, zapytany czy „Solidarność” nie przeszkadzała mu w pracy, powiedział, że w 1980 roku wykonano 110 % planu, w 1981 — 120 % planu, a gdyby nie stan wojenny, wykonano by 130 %. To był człowiek władzy, ale na procesie prawdę powiedział i umiał dogadywać się z „Solidarnością”. Zdjęli go za to. Te procenty to najlepszy dowód, że również w okresie „Solidarności” był duży entuzjazm i stocznia dobrze pracowała, mimo że w kraju nie działo się najlepiej, że władza zrobiła wszystko, żeby pokazać, że macie „Solidarność”, ale za to puste półki.

A teraz w stoczni jest trzeci okres — całkowita dezorganizacja. Każdy kooperant stoczni ma z kolei swoich kooperantów i asekuje się długimi terminami, żeby nie płacić kar. Na przykład Elbląg, który robi śruby okrętowe, żąda zamówienia na dwa lata naprzód. Jeżeli im ktoś nawali, to jakoś wybrną. Drugi nasz kooperant, „Radmor” — oni muszą jeździć po kraju i te komponenty zbierać.

Stocznia budowała 34-35 statków rocznie, a teraz 10-14. Załoga zmniejszyła się, ale niedużo — z 17 tys. do 12 tys. Powinniśmy robić w dalszym ciągu 30 statków, a nie 10. Ludzie nie wysilają się, każdy myśli tylko, żeby zarobić.

Nie ma tego entuzjazmu i nie będzie, jeżeli nie będzie wolności. 1 maja na pochód mimo ogromnych nacisków, mimo szantażu, że ci, co nie pójda, nie otrzymają podwyżek, przeseregowania z całej stoczni było ponad 1 tys., nawet z biura poszło niecałe 10 %, około 50 osób. Dawniej może ludzie nie darzyli sympatią socjalizmu, ale chcieli się przejść, a teraz odgradzają się. Młodzi nie wstępują do partii, nie chcą.

Stocznia produkuje na pograniczu opłacalności. Wyposażenie wartości od 5 do 10 % ceny statku sprowadza się zza granicy i płaci dolarami. Radary, logi, echosondy, urządzenia komputerowe o wyższym standardzie. Jeżeli buduje się statek do strefy dolarowej, to w porządku, bo dewizy wracają. Ale statek dla armatora sowieckiego otrzymuje to samo wyposażenie dolarowe, bo nie produkuje się takiego w kraju, a armator sowiecki płaci w rublach. Był okres, że przelicznik wynosił 69 kopiejek za dolara. Ten przelicznik nas kładzie. Produujemy statki specjalistyczne, kontenerowce wartości od 25 do 35 mln dolarów, mniejsze trawlerzy w cenie 8-12 mln dolarów. Teraz tę wartość przeliczmy przez 0,69 czy 0,70 rubla za dolara. To jest przelicznik naszej klęski. Pan jest Polakiem, pan zrozumie: jak można dać się tak kiwać? Jeden partyjny, Rajska, głośno o tym mówił, odsiedział za to.

Była koncepcja, żeby to, co my bierzemy ze strefy dolarowej, ZSSR zwracał nam w dolarach. Odpowiedź była taka, że ZSSR



nie żąda wyposażenia w dolarach, tylko naszego produktu — statku. Ludzie to wszystko widzą.

W stoczni jest olbrzymi przerost biurokracji. Foruje się tylko poganiaczy — kierowników, brygadzystów — żeby zwiększyć wymagania od ludzi, żeby z robotników więcej wycisnąć. Służby pomocnicze zarabiają bardzo słabo. Płacą tylko tym, którzy pracują w produkcji.

Szerzy się kradzież, pijaństwo. Tak jak w tej chwili robotnik jest rozpity, to nie był nigdy. Meliny są w stoczni, meliniarze. To musi pan napisać, niestety. To jest powszechne, zwłaszcza na budowach, no i u nas w stoczni. Jeżeli tak dalej pójdzie, to naród będzie ginął. Naród niemoralny, rozpity, musi zginąć. Ja pamiętam, w okresie „Solidarności” zostało zahamowane pijaństwo. Grupy aktywistów „Solidarności” mówiły tylko: otwiera szafkę — i tłuki butelki, nie patyczkowali się. W czasie strajku na bramie odbierano butelki, stocznia była trzeźwa, na mieście nie było pijaństwa. Jak była „Solidarność”, to wystarczyło, że powiedzieli: jutro wstrzymujemy pracę na tym statku, bo nie ma wentylacji, a rano już było dziesięć dmuchaw i czyste powietrze. Obecne związki są partyjne. Co on może podskakiwać? Usłyszy tylko: — To wam, towarzyszu, nie zależy na produkcji? Taki związkowiec jest członkiem Biura Politycznego partii, uchwała z Komitetem Centralnym podwyżki, wsiada w samochód, każe wieźć się do związków i broni robotników.

Ogólnie biorąc, jest apatia. Kiedy nie ma wewnętrznego bodźca, to tej pracy nie ma. Największym bodźcem człowieka jest moralne zadowolenie. Człowiek musi wierzyć, że coś będzie z jego pracy i że jutro będzie lepsze. A jeżeli tego nie ma, to robi tyle, żeby przetrwać, aby dzień się skończył. Jeżeli nie dadzą ludziom czegoś, jeżeli ludzie nie dostaną zastrzyku wolności, to nie będzie pracy. Nie samym chlebem człowiek żyje.

*Stoczniovec IV (rocznik 1962, w stoczni 6 lat):* — Na K-2, gdzie jestem, pracuje około 500-600 osób. Robią na hali, na prefabrykacjach — elementy do bloków, które w całości montują na pochylni. Jak pochylnia nie zdąży się wyrobić, to my musimy pomagać. Czasem jest kołowrót, kiedy się goni termin. Warunki pracy nie są za bardzo do pozazdrośczenia. Wystarczy zobaczyć, jak się podwójne dno spawa. Tam człowiek dłużej nie wytrzyma niż 10-15 minut i musi wyjść na powietrze, 10-15 minut odpocząć. A pracuje się w akordzie. Czasem pracuje się bez maski, bo brak.

Jest dużo młodych. Przychodzą, wyrobią sobie uprawnienia spawacza, rok popracują i uciekają. Przyjeżdżają z Polski zarobić, a jak zobaczą, że nie tak, to zwijają manele.

Są stoczniovcy, co mają rodziny i mieszkają w wynajętych

kwaterach. Mają żonę i dwójkę dzieci i w jednym pokoiku muszą się latami gnieździć.

Oferują teraz w ramach spółdzielni domki, ale trzeba akt podpisać, że się jest uwiązany w stoczni do końca życia. Trzeba przepracować przy domku około 3 tys. godzin po pracy. Zostaje jeszcze duża spłata — ok. 2-2,5 mln złotych, rozłożona na 50 lat. A stoczniovec długo nie pożyje, średnio 60 lat. Odchodzi na emeryturę i po roku, dwóch już go na tym świecie nie ma. I wychodzi, że po nim jeszcze syn czy córka będą domek spłacać 15 czy 30 lat. Wyszło tak, że nie było dużo chętnych. Samotnym zresztą domków nie dawali. Jest w brygadzie 20 osób i bierzemy 20 domków — i budujemy w stanie surowym po kolei, a potem się rozchodzimy i każdy wykańcza sam. Około 4-5 lat pochłania budowa i to po godzinach pracy wszystko. A za co wykończyć domek, kupić tę klepkę, wannę, kuchenkę, jak się budowało dom, a nie ciągnęło zarobku nadgodzinami? To jest obliczone tak, żeby się człowiek szybciej wykruszył. Żeby człowiek nie miał czasu myśleć. Niektórzy tak robią, że jest tylko praca, praca i nie ma domu, nie ma rodziny. Nic nie widzą, tylko tę pracę i te pieniądze.

Ostatnio zarabiam 26 tysięcy. Ja zawsze robię jeszcze ok. 30 nadgodzin, ale żeby do 30 tys. zł wyciągnąć, to trzeba 50 nadgodzin nabić. Ja jestem kawaler, nie mam żadnych zobowiązań, mnie starcza, nie muszę tak zdrowia niszczyć jak ci, co mają rodziny.

Kiedyś więcej można było zarobić, więcej za to kupić. Są przypadki, że stoczniovec zarabia 60-70 tysięcy, ale musi mieć długi staż pracy i wysoką stawkę i nikt nie widzi, że pracuje dzień w dzień 12 godzin, i wszystkie soboty i niedziele. A jeszcze niektórzy się na domek porywają. Ludzie zobaczą domek, a nie zobaczą, ile to zdrowia kosztowało. Spawacz, jak 10 lat pracuje w tych warunkach, jakie są w stoczni, to pylicę ma na pewno. I taki z pylicą za budowę domku się bierze. Już nie dla siebie.

Ludzi wiąże ze stoczną pożyczki. Są możliwości wzięcia urlopu okolicznościowego — pół roku, rok — po przepracowaniu w stoczni 15 lat, a po 15 latach pracy w stoczni zdrowie nie pozwala na uzyskanie kontraktu jako spawacz. Bo ma się pylicę, wrzody żołądka, reumatyzm. Stoczniovec szybko się rozwala.

Na kontrakt na Maltę, tam gdzie pojechał dyrektor, wyjechał z K-2 jeden robotnik, dwóch kierowników i dwóch zastępców. A kiedy dzielono premię po wodowaniu Fina, statku, który był robiony dla fińskiego armatora, to podzielono tak: dyrektor otrzymał 1.200 tys., kierownik naszego wydziału ok. 300 tys., majstrowie z pochylni od 50 do 100 tys., a myśmy od 2 do 5 tys. zł. To był sprawiedliwy podział zysku zgodnie z reformą. NIK przy-



jechał badać sprawę, po tygodniu dyrektora wycofano, pojechał do Warszawy i otrzymał pracę na Malcie.

Ludzie w stoczni są zrezygnowani. No i boją się. Nie tyle więzienia, co o byt materialny.

Spawacz z firmy polonijnej po 8 godzin pracuje i zarabia 50-60 tysięcy, a spawacz ze stoczni za tę samą robotę dostaje 28 tysięcy. Jak redaktor przyjechał, to nikt nie pytał stoczniowców, czy mało zarabiają, tylko było w programie, że spawacze z firm polonijnych zarabiają za dużo, a prawda jest taka, że stoczniowiec powinien tyle samo zarobić na obecne warunki, na te podwyżki. Jak były ostatnie podwyżki, to czuło się, że ludzie by stanęli, ale tego pierwszego nie ma, co by wziął narodową flagę i poszedł na bramę. No i ludzie czekają na przyjazd papieża. Cisza jest przed przyjazdem.

*Inżynier (12 lat w stoczni):* — Stocznia stoi tak, jak cała gospodarka. Pan wie, że jest totalny krach. Zwłaszcza w montażu, tzn. w tych zakładach, które montują. Żaden element nie przychodzi w terminie. Wszystko jest wymuszane, powtórnie negocjowane. Zamówienia trzeba składać z ogromnym wyprzedzeniem, np. pompy zamawiamy dwa lata naprzód. Najlepiej wygląda sytuacja, jeśli chodzi o silniki główne. Najlepsze są licencyjne Sulzera, które robią Cegielski i „Zgoda”, Świętochłowice i licencyjne Maier Burmeister and Wein, które robi stocznia. Wszystko inne przychodzi z opóźnieniem i jest coraz gorszej jakości. Ostatnio jeden z naszych dostawców — Gliwickie Zakłady Urządzeń Technicznych, czyli ZUT Gliwice, główny na całą Polskę dostawca pomp wirowych — odmówił nam, ponieważ otrzymał duży kontrakt eksportowy z ZSSR i musieliśmy z dnia na dzień zdecydować, że na statek dla Holandii importujemy pompy za dewizy. Blach nawet dostajemy mniej niż potrzebujemy, za mało w stosunku do naszych możliwości przerobowych, a blachy to podstawa. Wydłużają się więc cykle budowy. Konkurencja — Korea, Japonia, RFN, Norwegia — produkuje statek w ciągu roku, a mniejsze w terminie do 9 miesięcy. Norwegowie liczą sobie za statek rybacki czy mniejszy statek transportowy 18 mln dolarów, a my za taki sam o połowę mniej, bo robimy go w 36 miesięcy. Ceny u nas są ściśle tajne, ale wiadomo, że o połowę mniejsze niż u konkurencji. Cena zależy od nasycenia wyposażeniem i od tempa budowy. Są niby negocjowane, ale my nie możemy nigdy osiągnąć dobrej ceny właśnie ze względu na termin. Mamy gospodarkę planową, a armatorzy nie. Rzadko armator planuje na cztery lata z góry. Armator rybacki traci statek, to otrzymuje premię ubezpieczeniową i potrzebny jest mu za rok nowy, a nie za 4 lata. A w transporcie, jeżeli ktoś ma klienta, to otwiera linię i kupuje statek. Zakupy armatorów wynikają

z aktualnych potrzeb i wtedy są pieniądze — za szybko zbudowany statek. Pogarsza naszą sytuację brak własnego serwisu. Łatwiej u nas kupić gotowy wyrób niż części, to obniża cenę statku i pogarsza efekty eksportu. Na wewnętrznym rynku też o części zamienne jest trudno. A w przemyśle stoczniowym musimy jeszcze urządzenia importować, więc tym bardziej mamy kłopot z dostarczaniem części naszym klientom. Brak serwisu i części eliminuje nasze statki z rynku. Armatorzy krajowi — PZM, PLO, ŻB — też wolą kupować na Zachodzie. Na świecie są wyspecjalizowani producenci — np. pompy do oleju najlepsze są firmy IMB. Statek budowany w Norwegii ma często 1/3 urządzeń angielskich czy holenderskich. My na siłę uruchamiamy produkcję wszystkiego w kraju, żeby zaoszczędzić dewizy. Mamy u siebie zbyt na wszystko, dlatego produkujemy sprzęt technicznie przestarzały. Poza tym ogromna bezwładność naszych licencjobiorców powoduje, że kiedy uruchamiamy licencję, to licencjodawca jest już 2-3 generacje do przodu ze swoją produkcją. I nawet w wypadku dobrego wyrobu, jesteśmy eliminowani, bo niekonkurencyjni.

Ze względu na terminy budowy i wyposażenie opóźniamy się w stosunku do Zachodu. Kadłub budujemy taki sam, ale dajemy wyposażenie jak za króla Cwiczka.

Jeżeli budujemy dla armatora zachodniego, to otrzymujemy wpłaty ratami, w miarę postępu budowy, jak to się praktykuje na Zachodzie, a jeśli dla krajowego czy ZSSR, to na koniec przy podniesieniu bandery, co powoduje zamrożenie środków i pogorszenie efektów finansowych.

O ile w latach 70-tych można było patrzeć na perspektywy stoczni optymistycznie, to teraz trzeba pesymistycznie. Stocznia raczej się nie rozwija.

### Za bramą

Nad II bramą transparent: „Zasobność narodu — to owoc zgodnej i skutecznej pracy” zastępuje tamten sprzed 7 lat: „Proletariusze wszystkich zakładów łączcie się”. Tu solidaryzm i tam solidaryzm, a przecież dwa światy.

Na wartowni straż przemysłowa w mundurach. 7 lat temu... Precz sentymenty!

Poznaję budynek starej rady zakładowej po lewej stronie, szpital stoczniowy i stołówkę po prawej, długi pawilon BHP z czerwonej cegły, z salą konferencyjną, w której... Są i transparenty: „Polska naszym wspólnym domem”, „Socjalistyczne państwo wspólnym dobrem narodu”, „Pokój”, „MY—WY—ONI = RAZEM”. (Jacy oni?)



Jest i budynek dyrekcji. Rzecznik prasowy mgr Grzegorz Czernielewski, jednocześnie szef Biura Organizacji Zarządzania wita serdecznie. Biurko, telefony i mosiężna statuetka Lenina kroczącego energicznie do przodu w parze z Dzierżyńskim.

Pytam, co dobrego w stoczni.

— Pracujemy wściekle. Pomimo kłopotów, a może tym bardziej, że są takie kłopoty. Jak do tej pory nie mamy tylko jednego kłopotu, który gnębi stocznię zachodnie, tzn. braku kontraktów. My mamy dosyć.

— Podobno budujecie coraz mniej statków?

— Kiedyś stocznia produkowała 29 statków, a teraz 14 albo 10. Problem w tym, że statek statkowi nierówny. Może być wielki o wielomilionowej wartości, a może być kapeć.

— A jaka jest produkcja w DWT? Spada?

— Nie przygotowałem danych. Produkcja jest mniejsza niż w latach 70-tych i 1980 dlatego, że możliwości produkcyjne wykorzystujemy w 50 %, a to głównie z powodu braku rąk do pracy. U nas automatyzacja jest wszędzie tam, gdzie to jest możliwe, a robotyzacja nie wchodzi w grę. Nie ma i nie może być produkcji seryjnej, co jest marzeniem małego Jasia. W ciągu roku mamy na te 10 statków 5 prototypów. Nasze wysiłki zmierzają do tego, żeby ustabilizować załogę. Trzeba przyznać, że z trudem nam to wychodzi. W tej chwili mamy regres, czyli spadek zatrudnienia. Zatrudniamy 11.700 osób, w latach 70-tych był szczyt — 17 tysięcy. Ale przyszły wcześniejsze emerytury. I nastąpiło przeinwestowanie kraju, czyli poszukiwanie rąk do pracy.

Moglibyśmy w ciągu dnia przyjąć 2 tys. robotników wykwalifikowanych. Permanently kształcimy ludzi w zawodach, które znajdują serdeczne przyjęcie w całym kraju. Monter kadłubowy to monter konstrukcji stalowych wysokiej klasy, może budować mosty, fabryki. Staramy się zabezpieczyć — dajemy pożyczki, które można anulować, żądamy zwrotu kosztów wykształcenia. Zdarza się, że młodzi ludzie wracają w rodzinne pielesze — procesujemy się z nimi. Młodzi wolą mniej zarobić i mniej się pracować. Bo czy zarobki są małe? Za ubiegły rok średnia 32 tys., z nadgodzinami, ale górnicy też mają płace z nadgodzinami. Wiele robimy, żeby można było zarobić godziwie. Co to jest godziwie, to ja nie wiem, ale używam tego pojęcia.

Są choroby zawodowe, ale tego nie ma wiele. Zwolnienie lekarskie to wada systemu. Poza urlopem w ubiegłym roku każdy pracownik miał średnio blisko 2 miesiące absencji usprawiedliwionej. Urlopy szkoleniowe, śluby, zgony, ćwiczenia wojskowe — to jest kropla w morzu, głównie są to zwolnienia. Nie twierdę, że tu jest sanatorium. Są różne zawody. Jest preferencja płacowa — w cięższych są lepsze zarobki. Zawody nie wymagające wysiłku zarabiają mniej.

Problemem Gdańska i nie tylko jest ciężka sytuacja mieszkaniowa. Urządziliśmy trzy spółdzielnie, które budują domki jednorodzinne, docelowo 1.500 sztuk, w tej chwili w budowie jest ok. 470. Stocznia wykonuje prefabrykаты, zabezpiecza sprzęt, załatwia formalności, a pracownicy budują sami. Liczymy, że to będzie magnesem. Ale problemu mieszkaniowego nam to nie rozwiąże. Domków jest mało, preferencje są dla tych, którzy pracują w stoczni wiele lat i po wybudowaniu będą wiele lat pracować. Bank daje 1,5 mln kredytu, stocznia 300 tys. pożyczki — to na wybudowanie domku w stanie surowym, a potem trzeba szukać środków na wykończenie i praca własna ciągle. Decydując się liczyli, że gdzieś się zarobi. Nie gdzieś, tylko w stoczni się zarobi! Ponadto budujemy hotelowiec na 1.000 miejsc i budynek mieszkań rotacyjnych (170 mieszkań oddajemy w drugiej połowie przyszłego roku) i nie ukrywamy, że chcemy przywiązać trochę ludzi do stoczni za pomocą tych budów.

Co do saksów, otwierają się perspektywy, bo Związek Sowiecki zamówił na Maltie 8 statków, zastrzegając przy tym, że mają być wybudowane według projektów konstrukcyjnych naszej stoczni, ponieważ ma do nas zaufanie i wie, jak rysujemy. W ramach tego kontraktu zawartego z Maltą na 10 mln dolarów, Maltańczyki zażyczyli sobie naszych konstruktorów, technologów i specjalistów w poszczególnych zawodach okrętowych. Te maltańskie stocznie zajmowały się remontami, a złapały Pana Boga za nogi.

Na Maltę pojechało 30 specjalistów. Stocznia na tym nie ucierni. Firmy, które eksportują ludzi, nie mają problemów z zatrudnieniem, z dyscypliną pracy. Dyrektor pojechał na Maltę z pieczęcią centrali, więc o co chodzi?

— Jaki jest stan finansowy stoczni?

— Z dnia na dzień się zmienia. W kwietniu stocznia była zadłużona na 26 mld złotych, ale to nie był dług, tylko kredyt bankowy. Jeżeli cykl budowy trwa trzy lata, a armator płaci przy odbiorze, to za coś musimy budować. A dziś kredyt jest jeszcze większy. Od kredytów płacimy odsetki. Spada zatrudnienie i to musi mieć swoje konsekwencje. Nie mogę powiedzieć, że stocznia poprawia swoją kondycję non-stop. Ale zysk podzieliłiśmy.

Od 5-6 lat jest dekonjunktura w transporcie morskim i przemyśle okrętowym. Szwedzi zamknęli dwie stocznie, w RFN dwie zamknięto, coś tam we Francji, a wiele ograniczyło produkcję. W tej dekonjunkturze dobrze radzą sobie wielkie rekiny jak Korea Południowa, Japonia, Tajwan, które ze względu na krótkie terminy i dumpingowe ceny...

— Poniżej kosztów? Nie wierzę.

— No, dumpingowe, niskie. Tam są tanie ręce do pracy. My musimy planować silnik na 3 lata przed dostawą. Żeby złożyć zamówienie, musimy mieć kontrakt. My musimy zebrać w wielu



wypadkach, żeby dostać jakiś element. Tam producent czeka na zamówienie. My jesteśmy klientem niewygodnym, bo żądamy wysokiej jakości, a rynek wewnętrzny wchłania wszystko i producent ma nas gdzieś, bo ma zapewniony zbył. Kooperanci mogą wybierać klienta, a ponieważ są samorządni, to nie zawsze wybierają nas. Musimy robić zakupy dolarowe. Ale jak byśmy przeszli na zakupy dolarowe, to mogłoby się okazać, że Związku Sowieckiego nie interesuje, skąd my bierzemy to wyposażenie i nie zwróci tych dolarów. Oddaje dolary jak sobie życzy jakiegoś zachodniego wyposażenia, a jak sobie nie życzy, tylko my dajemy sami, to nie oddaje.

System akordowy się przeżył. Podnosi się sztucznie zarobki, podnosi się tabele i to nazywa wzrostem wydajności. W całym kraju i stoczni musi nastąpić wzrost społecznej wydajności pracy. A jak — przez wzrost dyscypliny pracy czy inaczej, to by się zaczął problem, jak Polskę naprawić, a my rozmawiamy o stoczni. Już był zresztą taki jeden, co obiecał zrobić drugą Japonię.

— Trzeba mu było pozwolić. A jak było z tym wodowaniem, które się nie udało?

— To był to żaglowiec dla ZSSR „Mir”, drugi z serii czterech żaglowców. Złośliwi mieli uciechę, a przecież wiadomo, że karabin raz w roku sam strzela. Komisja badała sprawę. Hipotetycznie stwierdziła dwa warianty, ale dowodów rzeczowych nie znalazła. Wszelkie poszlaki wskazują, że stoper trzymający dziób się zaciął i nie zwolnił.

— Mówią, że jest pan kandydatem na naczelnego dyrektora stoczni.

— Tak, zgłosiłem swoją kandydaturę i głośno o tym mówię. Chociażby dlatego, że nie mam szans.

— A czy warto brać to? Znaczą stocznice?

— Czy warto? Ja dobrowolnie wstąpiłem do partii i wierzę w ten socjalizm. No i Gdańsk jest nad morzem. Tu są stocznie. Tu powinien być przemysł pracujący na potrzeby morza, fabryki produkujące wyposażenie okrętowe itd. Na tym morzu Polska powinna zarabiać. Można by o tym wygłosić cały wykład.

U rzecznika czeka już w kolejce radio, więc wkładam biały kask z napisem „Prasa”. Idziemy z przewodnikiem na K-2.

Hala. Jest wiosna, więc otwarto na oścież wszystko, co się da otworzyć. Wentylacja dobra. Siedzący w kucki spawacz ogrzewa palnikiem płyty pokładu rozciągniętego na ogromnej płaszczyźnie podłogi. W drugim końcu hali spawa inny. Rozlega się skądś huk rozsadzający bębni.

— To kowale — wyjaśnia przewodnik.

W tej hali pracuje jeszcze przy poszyciu szlifierz. Ale w tym huku szlifierki prawie nie słychać. Przemyka się jakiś stoczniovec. Pytam o warunki pracy.

— Ciężkie.

To oddział prefabrykatów. Montują sekcje. Widzę podwójne dno: sekcja przy sekcji, każda z owalnym otworem, przez który ledwo przecisnąć się tułów. A trzeba spawać od wewnątrz.

Idziemy w kierunku dwóch kadłubów w budowie. Całe w pajęczynie rusztowań. Na szczycie kadłubu dwaj robotnicy. Z tej perspektywy wyglądają jak muchy. Na rusztowaniu robotnik wielkości chrząszcza montuje jakieś elementy. Jesteśmy w przejściu między pochylniami A 1 i A 2. Statek z prawej to kontenerowiec, Polak. Z lewej strony Fin. Trzej stoczniovecy ładują jakieś elementy w chwytak dźwigu. Pytam o zarobki.

— Pomnóż pan 86 zł przez 180 godzin. Za dużo, żeby zdechnąć, za mało, żeby żyć.

Pytam o warunki pracy.

— Zaprowadź pana na podwójne dno. Akurat spawają. Niech zobaczy.

Notuję, ile lat pracują w stoczni: 25, 26, 14 lat.

— Takiego bałaganu, jak jest, to nie było. Wszystko na wczoraj, materiałów nie ma — mówią jeden przez drugiego.

— Jak jest, to pan sam wie.

— Stoczniovec każdy jeden jest z pylicą. Który pracuje jest z pylicą. Taki, co chodzi po powietrzu, to jej nie dostanie, ale taki który pracuje, pracuje, to w pięć lat ma ją załatwioną.

Obok z owalnych otworów podwójnego dna Fina wydostają się kłęby oparów. Przewodnik nie pozwala zajrzeć do środka, prowadzi dalej wzdłuż nabrzeża. Widzę „Sołdka”, statek muzeum i te, które się buduje. Kadłuby rozbebeszone jak anatomiczne przekroje. Rusztowania, zwoje kabli, drabinki, rury. Przewodnik objaśnia, które rury są do czego. Widzę ludzkie owady jak na wysokości spawają na kolanach, z wyciągniętym do przodu tułowiem jak w figurze baletu. W owalnych otworach montowanych sekcji widzę czasem figurkę stoczniovecy i słup iskier.

Przewodnik nie dopuszcza bliżej. Niby mam kask, ale może coś na głowę spaść. Idziemy na kolejne nadbrzeże, rozmawiam z trójką stocznioveców. Maski ochronne trzymają na szyi jak szaliki. Dwaj w czepeczkach rozmawiają ze mną uśmiechnięci, trzeci w kasku milczy napięty. Notuję: 14 lat, 10 lat i 10 lat w stoczni.

— Za tę robotę człowiek powinien wziąć pieniądze, a co bierze?

— Na kolanach się pracuje, na plecach. Reumatyzm ma każdy.

— Podstawa to maski, a masek brak. O maski musimy się kierownika prosić. Nie ma w magazynie, mówi. A jak pracować bez maski?

— Te polskie maski to szmelc. Ruskie dobre, dwa dni można robić, a w polskich pół godziny.



— Teraz młodzi jak rok popracują to wszystko i uciekają.

— Ja robię 10 lat i żebym 30 tysięcy zarobił. Rodzinę mam przecież, dwoje dzieci. Żeby 40 tys. zarobić, to trzeba 40-50 nadgodzin zrobić.

— Ja mieszkam w hotelu, kolega u teściowej. Też ma dwóch chłopaków, jak ja. Mieszkanie mam dostać po 14 latach.

— To ubranie robocze uszyte nie do pracy. Ciągnie się całe na plecach, ręki nie można podnieść, jak w takim pracować?

Zegnamy się, idiemy. Przewodnik mówi:

— To już przesada, każdy mówi w Polsce, co chce. Ja byłem mistrzem, a dziś mi mówią: ja na plecach nie będę nosił, pan nosił, ale to były inne czasy. Oni narzekają, a ochraniaczy słuchu nie chcą nosić, bo człowiek do wszystkiego musi dorosnąć, jak do windy w bloku. Teraz sprowadzamy do stoczni piasek miedziowy, a poprzedni krzemowy został wycofany. Krzemowy jest trudny do usunięcia z płuc, a teraz biorą do sanatorium, kierują do innej pracy i regenerują człowieka.

O proszę, tu leży piasek miedziowy. Widocznie im się rozsypał.

W przejściu, którym idziemy, leży kupka czerwonego, granulowanego żwiru. Do tej pory nie widziałem go nigdzie w stoczni. Wszędzie leżał ten zwykły, krzemowy. Czyżby znalazł się akurat tu specjalnie dla mnie? Aż bierze ochota nim pooddychać. Łatwo usuwa się z płuc, można regenerować człowieka.

Idziemy dalej. Przewodnik opowiada o budowaniu statków. Pasjonujące zajęcia. Romantyka pracy i morza. A ja rozmawiam na boku ze stoczniowcem po stoczniowcu. Nawet nie liczę tych rozmów i nie notuję. Staram się znaleźć takiego, który należy do nowych związków.

— Po co się zapisywać? — mówi jeden.

— Co to da? — mówi drugi.

— Nie należy — śmieje się trzeci.

Tych pierwszych trzech nie należało i ta druga trójka i ta trzecia i ci, co na widok kasku „Prasa” przemykają pod ścianami. Albo mam pecha, albo instynkt reporterski zawodzi: nowozwiązkowca na halach przy pracy nie znajduję. Ani przy spawaniu, ani przy szlifierce, ani przy podwójnym dnie, ani na rusztowaniu. Rzecznik prasowy zapytany o związki odpowiedział: są niezależni i samorządni, to ilu ich jest, tylko oni wiedzą.

Ci też nie należą, bo chodzą do szkoły. Sterczą przy promie, który buduje się już 8 lat, oddzielonym od stoczni siatką, jak zażyzył sobie armator („żeby nie rozkradziono wyposażenia”, mówi przewodnik) — i są zadowoleni.

— W szkole fajnie, poziom wysoki, dostajemy miesięcznie od 3,5 do 5 tys. zł, z czego 2,5 idzie na internat. Uczymy się na ślusarzy.

— Zostaniecie po szkole w stoczni?

— Tu perspektyw nie ma żadnych, po kwaterach trzeba się tłuc całe życie.

Rozumiem: będą przyskać. Może dlatego bużki mają takie zadowolone.

Jaki jest przelicznik dolara na czarnym rynku? — myślę, 950 zł mniej więcej. Stoczniowcy zarabiają zatem od niecałych 30 do 70 dolarów miesięcznie z nadgodzinami, średnio 35 dolarów. Tym chłopcom ze szkoły zostaje od 1 do 2,5 dolara miesięcznie po opłaceniu internatu.

Wędrujemy stoczniowymi uliczkami: Dokową, Stolarzy, Dyrekcyjną. Kooperanci też mają w stoczni swoją ulicę.

Myślę o statystyce. 30 specjalistów przez rok na Malcie na urlopie okolicznościowym, to po miesiącu absencji na głowę dla 60 stoczniowców, sam dyrektor wyrobi dla tuzina robotników po miesiącu absencji. Trzeba będzie ciąć zwolnienia. Myślę o paradoksie: dyrektor z czołówką specjalistów uczy Maltańczyków budować statki dla ZSSR (wypomniano już mu w prasie, że za 3 tys. dolarów miesięcznie plus samochód służbowy plus mieszkanie). Dlaczego zdenerwowało to ministra Kiszczaka? Czyżby pominięto przy uzgodnieniach górę PRL? A może chodzi o to, że robotnicy śmieją się teraz z nadzoru i dyrekcji i kiedy zabraknie w stoczni sprawdzonych towarzyszy, na których można liczyć, to kto będzie trzymał stocznę w karbach, zwłaszcza, że następni też myślą o wyjazdach i dolarowych pensjach.

Idziemy obok transparentów. „Byliśmy, jesteście, będziemy. Dla siebie, dla Polski”.

### *Zwykły obywatel*

Idziemy, jak prosiłem kierownika, w kierunku III bramy. Rozglądam się, gdzie jest wydział MY. Powinien być tu, z dala od hal montażowych. Jest. Na budynku wisi tabliczka: Wydział MY. I druga: Magazyn elektryków. I jeszcze jakaś. Więc to tu. Żeby wyszedł! Ale nie wychodzi. Nie mam szczęścia. Mijamy otwarte drzwi. Jeżeli spróbuję zajrzeć tam, czy przewodnik przeszkodzi? Mijamy uniesione do góry wrota hali. Między mną a wrotami hali, które kuszą, trzech robotników reperuje elektryczny wózek, który w języku stoczni nazywa się sztaplarką. Podniesiona pokrywa za siedzeniem kierowcy. Jeden w niebieskim roboczym ubraniu pochylony grzebie przy silniku, w splecionych kablach i złączach, drugi w koszuli w niebieską kratę przypala papierosa, trzeci przygląda się z rękami w kieszeniach roboczych spodni. Ten, który dłubie we wnętrzościach, unosi tułów i wte-



dy dostrzegam wąs. Tak, to zwykły obywatel. Szybkie ruchy. Bardzo szybkie, tylko miga czerwona guma na rączkach kombinerek. Podskakuję do wózka — trzy czy pięć metrów i naciskam migawkę raz po raz. W sumie cztery razy. Dostrzeża mnie, kiedy po raz drugi naciskam spust migawki. Wzrok nieufny.

— Dla kogo to?

— *Powściągliwość i Praca*, prasa katolicka, księżyca michalici.

Zwykły obywatel uśmiecha się i pyta:

— Jak cię tu wpuścili?

Witam się, podając rękę.

— Uważaj — mówi i pochyla głowę nad wózkiem ruchem, który robotnikowi wchodzi w krew: żeby tylko majster nie zobaczył.

Przewodnik, który nie wiedział, jak się znaleźć, w drodze powrotnej nadrabia zaległości. Opowiada, ile to razy zwykły obywatel wygłupił się swoimi wypowiedziami. Tu w stoczni musieli go chronić, żeby go jakiś robotnik nie pobił. Miał obstawę. Od-ruchowo zaczynam się śpieszyć i odruchowo drgam, kiedy czuję na łokciu mocny uścisk przewodnika. Znam ten sposób prowadzenia gościa. Zwalniam. Pytam od niechcenia:

— Można tu coś zjeść?

— Można — mówi przewodnik i za łokciem kieruje w stronę stołówki. Jedna kolejka stoi po wędliny na kartki, druga po gorące dania. Do wyboru bigos, fasolka po bretońsku, flaczki. Po dwugodzinnym spacerze po stoczni mam wilczy apetyt. Biorę fasolkę. Smaczna. Popijam herbatą z kubka.

Często zgłasza racjonalizatorskie wnioski, myślę. W jego mieszkaniu na Zaspie zobaczę świadectwa zgłoszenia. Na wąskiej ścianie przy wejściu do głównego pokoju, wiszące jeden pod drugim, oprawione w ramki. Słyszałem, że w pracy zasuwa, bo przecież nie będzie jak uczeń chował się w ubikacji na papierosa. Słyszałem, że tam, gdzie pracuje, w oknie zawsze były kwiaty, więc szybko zmieniono na matową, nieprzezroczystą i wstawiono kraty. Słyszałem, że dla niego znajdują zawsze coś do roboty, żeby nie wałęsał się po halach. Więc reperuje sztaplarki. Musi lubić te elektryczne wózki, myślę. Stanął wtedy na sztaplarce właśnie i tak to się zaczęło. Tu, pod II bramą, obok stołówki.

Grzegorz NAWROCKI

Maj 1987

(Artykuł drukujemy bez wiedzy i zgody autora — Red.).

## Sąsiedzi

## W sowieckiej prasie

Wśród licznych ważnych, mniej ważnych i całkiem nieważnych zdarzeń uwagę moją ponownie zwróciła pewna liczba: 10 milionów represjonowanych chłopów w latach kolektywizacji. Taką liczbę przytacza członek Akademii Rolniczej Władimir Tichonow w artykule, opublikowanym w tygodniku *Argumenty i fakty*. Akademik Tichonow, który stara się podać choćby część prawdy o kolektywizacji, nie ujawnia niczego nowego. Wspomina — na razie? — o 10 milionach „represjonowanych”, choć powinien pisać o milionach zmarłych. W prywatnej rozmowie z Churchilllem Stalin wymienił 10 milionów ofiar kolektywizacji, Robert Conquest szacuje liczbę jej śmiertelnych ofiar w latach 1929-1934 na co najmniej 15 milionów chłopów. 10 milionów będzie — jak widać — oficjalną liczbą (na razie wymienił ją tylko akademik Tichonow) i tabu z kosztów kolektywizacji zostanie zdjęte: będzie wolno o niej mówić, a winę przypisze się „przejęciom” Stalina.

Ale i z tym nie wszyscy jeszcze chcą się pogodzić. Dwoma najciekawszymi tekstami ostatnich tygodni był „list” Niny Andriejewej do *Sowietskiej Rossiji* (13 marca 1988) i odpowiedź nań w postaci artykułu wstępnego w *Prawdzie* (5 kwietnia 1988). Przede wszystkim należy powiedzieć, że oba teksty są ogromne. Każdy zajmuje pełną stronicę gazety drobnego druku. Po drugie niezmiernie ważne jest, że *Prawda* uważa list w *Sowietskiej Rossiji* za „sztynny wyraz określonych pozycji, pozycji głęboko konserwatywnych i dogmatycznych”. Nieco dalej *Prawda* ucieka się do jednego z najstraszniejszych pojęć ze słownika bolszewików, mianowicie „platforma”, i oskarża: artykuł „budzi w czytelniku wrażenie, jakoby proponował jakąś 'nową' polityczną platformę”. Tworzenie „politycznej platformy” jest bardzo ciężkim grzechem, „platforma” jest zarodkiem frakcji i rozłamu. Nie zapominajmy, że frakcje zostały w partii komunistycznej raz na zawsze zakazane w marcu 1921 roku, z inicjatywy Lenina, a słowo „platforma” pojawiło się w sowieckich gazetach po raz ostatni w



1938 roku, kiedy sądzono „wrogów narodu”, zrehabilitowanych obecnie Bucharina, Rykowa i innych. Wreszcie należy wziąć pod uwagę, że artykuł w *Sowietskiej Rossiji* ukazał się trzy miesiące przed XIX wszechzwiązkową konferencją partyjną i może być uważany za deklarację ideową przeciwników Gorbaczowa. W *Prawdzie* utworzono rubrykę „Dyskusje”: artykuły w niej zawarte wyrażają poglądy członków partii. „Nie mogę odstąpić od zasad” pióra „Andriejewej” — to „platforma polityczna”.

*Prawda* słusznie ujęła w cudzysłów określenie „nowa” platforma polityczna. Powszechnie mówi się, że wszelkie „nowe” jest tylko starannie zapomnianym „starym”, tym razem jednak trzeba przyznać, że to „nowe” jest głęboko zakodowane w pamięci. Artykuł w *Sowietskiej Rossiji* jest platformą przeciwników jakichkolwiek zmian w idealnym stalinowskim modelu systemu sowieckiego. Autorka artykułu — „Nina Andriejewą” — przedstawia się jako „wykładowca w leningradzkim instytucie technologii, chemik”, trudno jednak opędzić się wrażeniu, że chemik ten (chemiczka?) dziwnie dobrze zna historię KPZS, że czytał dziwnie dużo książek chronionych w zamkniętych archiwach. Artykuł najwyraźniej wyszedł spod pióra historyka albo historyków partii, gorących obrońców „zasad”.

Pierwsza zasada, to „miejsce J. W. Stalina w naszej ojczyźnie”. Autor artykułu z oburzeniem protestuje przeciw „dezinformacji” na temat rzekomych represji w latach stalinowskich. „Anna Andriejewą” opisuje na przykład, że uczestniczyła w spotkaniu studentów z jakimś bohaterem Związku Sowieckiego, emeryowanym pułkownikiem, który zdecydowanie zapewnił, że „nie zetknął się w wojsku z represjami politycznymi”. Autor jest poruszony „artykułami, które robią tyle hałasu” wokół kontrrewolucji w ZSSR na przełomie lat 30-tych, wokół „winy Stalina za dojście do władzy w Niemczech faszyzmu i Hitlera” (pisał o tym stary agent Kominternu i publicysta Ernst Henri — A.K.). Autora oburza, że do „formuły 'kultu jednostki' na siłę włącza się industrializację, kolektywizację, rewolucję kulturalną, które wprowadziły nasz kraj w szereg wielkich mocarstw światowych”. Sprawiwszy się z historią, „Nina Andriejewą” przechodzi do współczesności, do epoki *pieriestrojki*. Sztuki M. Szatrowa służą jej za wzór szkodliwego antystalinizmu, czyli antysocjalizmu. „Symbolicznym wcieleniem koncepcji autora” jest zdaniem „Niny Andriejewej” scena ze sztuki „Pokój brzeski”, w której Lenin pada na kolana przed Trockim. (Po Moskwie krążą zresztą plotki, jakoby Gorbaczow zatelefonował do aktora, grającego w tym spektaklu w teatrze im. Wachtangowa rolę Lenina, Michaiła Uljanowa, i prosił go, by zrezygnował z tego pomysłu reżysera i nie padał na kolana przed Trockim). Chcąc raz na zawsze skompromitować Szatrowa, który „wynaturza historię socjalizmu w naszej ojczyźnie”, „Nina Andriejewą” znajduje mocny argument. Recenzenci sztuki Szatrowa nie dostrzegli jej zdaniem najważniejszego jej elementu: „przy wszystkich swoich autorskich pretensjach dramaturg nie jest oryginalny”. Odniosłam wrażenie — robi odkrycie „Andriejewą” — że „logika ocen i argumentów [autora]

jest bardzo bliska motywom książki B. Suwarina, wydanej w 1935 roku w Paryżu”. „Nina Andriejewą” nie podaje, że książka Suwarina nosi tytuł „Stalin” ani że została wznowiona — z uzupełnieniami — w 1977 roku. Nie informuje też, że nazwisko Suwarina padło w Związku Sowieckim publicznie po raz ostatni 3 marca 1937, i to z ust samego tow. Stalina, który nazwał „grupę Suwarina we Francji rezerwuarem trockistów i ich szpiegowsko-szkodniczej działalności przeciwko Związkowi Sowieckiemu”.

W dalszych rozważaniach o „obecnym stanie świadomości zbiorowej” w ZSSR „Nina Andriejewą” powołuje się na koncepcje bardzo obecnie modnego pisarza, Aleksandra Prochanowa. Autor pierwszej powieści o inwazji Afganistanu („Drzewo w centrum Kabulu”, 1982), piewca postępów imperializmu sowieckiego w Kambodży, Namibii, Nikaragui, Prochanow pełni dziś rolę nauczyciela życia. W wywiadzie dla *Leningradzkiej prawdy* wspominał o istnieniu w obecnej świadomości zbiorowej dwóch nurtów, dwóch — jak się wyraził ten sowiecki Kipling — „alternatywnych baszt”. Z różnych kierunków „baszty” te starają się obalić „zbudowany w bojach socjalizm”. „Nina Andriejewą” uważa, że Prochanow przecenia różnice między „basztami”, ale zgadza się z tym, że „łączy je tylko wrogość do socjalistycznych wartości”.

Pierwszy, najobfitszy zdaniem „Andriejewej” nurt, „który pokazał już swoje oblicze w toku *pieriestrojki*”, proponuje „model jakiegoś lewacko-liberalnego inteligenckiego socjalizmu, rzekomego wyraziciela najprawdziwszego i 'wolnego' od klasowych narośli humanizmu”. Ten właśnie nurt „kształtuje tendencję do fałszowania historii socjalizmu”. Autor artykułu wykrzykuje z pełnym gorczy niedowierzaniem: „Bardzo chciałabym zrozumieć, komu i po co jest potrzebne, by każdy czołowy przywódca KC partii i rządu sowieckiego po odejściu ze stanowiska był skompromitowany, zdyskredytowany z powodu swoich rzeczywistych i rzekomych pomyłek i błędów w kalkulacji, jakie popełnił w toku rozwiązywania niezmiernie skomplikowanych problemów na bezdrożach historii?” Rzeczywiście, komu potrzebne jest dyskredytowanie sowieckich przywódców, których błędy zawsze były wynikiem najlepszej woli?

„Nina Andriejewą” zna odpowiedź. Jej pytanie jest retoryczne, ponieważ odpowiedź znają wszyscy. „Lewackich liberałów” charakteryzuje otwarta lub zamaskowana skłonność do kosmopolityzmu, jakiś a-narodowy „internacjonalizm”. Aby nie było wątpliwości, o co chodzi, „Nina Andriejewą” wspomina, że czytała gdzieś, jakoby do Trockiego przyszła delegacja żydowskich kupców i fabrykantów ze skargami na czerwonogwardzistów, a Trocki odpowiedział im, że nie uważa się za Żyda, gdyż jest internacjonalistą.

„Nina Andriejewą” jest przerażona wojującym kosmopolityzmem przebrany w formę „odmowy”, którą uważa za „zdradę klasową i narodową”. Apelując o odważne, nieskrywane uznanie, że „trzech rosyjskich rewolucji” dokonał nie kto inny, jak proletariat rosyjski, że „w awangardzie wojny ludzkości przeciw fa-



szymowi szły narody słowiańskie" i podkreślając swą wrogość wobec „jakiegokolwiek pomniejszania historycznego wkładu innych narodów”, autor artykułu zatytułowanego „Nie mogę odstąpić od zasad” przypomina, że Marks i Engels uważali, iż „na określonym etapie historii całe narody bywają kontrrewolucyjne”. „Nina Andriejewa” powtarza z uporem: „Podkreślam, nie klasy, nie warstwy, a właśnie narody”. Po czym wyjaśnia: „Na bazie podejścia klasowego nie wstydzieli się [Marks i Engels — A.K.] surowo charakteryzować szeregu narodów, w tym Rosjan, Polaków, a także i tej narodowości, do której sami należeli”. Zważywszy, że Rosjanie, Polacy i Niemcy przeszli dziś w szeregi narodów rewolucyjnych, kontrrewolucyjny pozostał tylko naród, do którego należeli twórcy marksizmu. J.W. Stalin nie uważał wprawdzie Żydów za naród, ale też ich nie lubił.

Drugi nurt stanowią obrońcy tradycjonalizmu. Autor przyznaje im liczne zasługi: zdemaskowanie korupcji, sprawiedliwe rozwiązanie problemów ekologicznych, walka z alkoholizmem, obrona dziedzictwa historycznego, walka z przewagą kultury masowej... Ich ideologią jest jednak socjalizm chłopski, nie rozumieją zatem „historycznego znaczenia Października dla losów Ojczyzny”. Ważniejsi są dla nich chłopci, którym komisarz strzelali w potylicę. Z punktu widzenia „Niny Andriejowej” „prawdziwy bieg życia wytyczali komisarze, do których strzelano”.

Głównym, fundamentalnym przedmiotem toczących się w ZSSR dyskusji jest zdaniem autora „uznanie lub negacja kierowniczej roli partii i klasy robotniczej w budownictwie socjalistycznym, a zatem w *pieriestrojce*”. Zdaniem „Niny Andriejowej” najbardziej zagrażają partii „lewaccy liberałowie”, rozmywający ideologię socjalistyczną i hamujący „duchowy rozwój społeczeństwa sowieckiego”. Na walkę z tym zagrożeniem jest recepta. W zakończeniu artykułu autor wspomina, że w 1922 roku na rozkaz Lenina „uprzejmie wyproszono” z kraju profesorów i pisarzy, którzy — jak wyraził się wódz rewolucji — do wychowywania mas „nadają się nie lepiej niż notoryczni gwałciciele do roli woźnych w szkołach dla małych dzieci”.

„Anna Andriejewa” nie ośmieliła się mimo całej swej odwagi wspomnieć, że w przeddzień uchwały o deportacji „ludzi myśli” ukazał się w *Prawdzie* artykuł pod tytułem „Dyktaturo, gdzie twój bat?”.

Odpowiedź *Prawdy* z 5 kwietnia podyktowana była przede wszystkim obawą, że aktyw partyjny uzna artykuł w *Sowietskiej Rossiji* za sygnał, iż nastąpi koniec *pieriestrojki*. Na sygnał ten czekają od dawna i nie wątpią, że się doczekają. Sądząc po artykułach w *Prawdzie*, artykuł „Niny Andriejowej” tu i ówdzie tak został odczytany. Odpowiedź *Prawdy* składa się zasadniczo z dwóch części. Pierwsza po raz enty tłumaczy konieczność *pieriestrojki*. W kwietniu 1985 (tzn. na pierwszym po wyborze Gorbaczowa plenum KC) stało się jasne, że „kraj znalazł się w położeniu przedkryzysowym”. Zdecydowano więc, że należy go „przebudować”. Jak lubi mówić Gorbaczow: „alternatywa *pieriestrojki* nie istnieje”.

je”. Druga część artykułu poświęcona jest ocenie tekstu z *Sowietskiej Rossiji* i dyskusji z „platformą Niny Andriejowej”. *Prawda* zarzuca publikacji jej „niekonstruktywność” oraz fakt, że „czy autor tego chciał, czy nie, artykuł zmierza przede wszystkim do sztucznego przeciwstawienia sobie kilku kategorii obywateli sowieckich”. *Prawda* uważa, że „osoba Stalina jest pełna sprzeczności”, ale „dziś wiemy: masowe represje spadły na wiele tysięcy komunistów i bezpartyjnych...”. Rzeczywiście trudno lepiej wyrazić „sprzeczności osoby Stalina”: jedni twierdzą, że za wodza narodów w ogóle nie było represji (poza sprawiedliwymi), inni, że były, ale spadły tylko na „wiele tysięcy...”.

Wzburzona odrażającym obrazem Stalina w sztukach Szatrowa, „Nina Andriejewa” zarzuca dramaturgowi, że oparł się na książce Suwarina. Chcąc pokazać, jakim szlachetnym człowiekiem był Josif Wissarionowicz, „Nina Andriejewa” przytacza zdanie Churchilla, który m.in. oświadczył, że „Stalin wziął Rosję za sochę, a zostawił zbrojną w broń atomową”. Z właściwą sobie wnikliwością *Prawda* odkryła, że „panegiryk na cześć Stalina bynajmniej nie wyszedł spod pióra Churchilla. Coś podobnego powiedział słynny angielski trockista I. Deutscher”. Słusznie. Deutscher zawsze był gorącym wielbicielem Stalina. Normalne więc jest, że został teraz wyrocznią i argumentem obrońców poglądów ostatniego generalissimusa.

Artykuł *Prawdy* podsumowuje: pytanie brzmi, jak dziś ratować socjalizm. Zdaniem organu KC KPZS, istnieją dwie drogi: 1. trzymać się autorytarnych metod i praktyki bezmyślnego wykonawstwa oraz dławienia inicjatywy; 2. wrócić do leninowskich norm, których rdzeniem jest demokracja, sprawiedliwość społeczna, rozrachunek ekonomiczny, szacunek dla uczciwości, życia i godności jednostki. Wybór wydaje się łatwy. Zapomnijmy o drugiej drodze, wracamy na pierwszą. Zabieg nie jest jednak taki prosty, gdyż nie ma powrotu do wyliczonych wyżej leninowskich norm. Leninowskie normy oznaczały zawsze, od chwili, kiedy powstały, bezwarunkowe podporządkowanie woli partii, wcielenie w wolę jednego człowieka. Uprowadzając błędną interpretację „leninowskich norm”, autor artykułu w *Sowietskiej Rossiji* słusznie przypominał, że jednym z ostatnich świadomych aktów Lenina była deportacja za granicę uczonych, filozofów, pisarzy i agronomów.

Artykuł wstępny *Prawdy* ukazał się akurat w chwili, kiedy Gorbaczow wcielał w życie swą politykę w sporze ormiańsko-azerbejdżańskim. Widać tu jak na dłoni wszystkie podstawowe elementy „gorbaczowizmu”. Jak zwykle, tak jak w przypadku Ałma-Aty i Czarnobyli, Gorbaczow w obliczu zaskoczenia zwleka, przeciąga sprawę. Następnie wygłasza pojednawcze przemówienie, w którym mówi tylko część prawdy o tym, co naprawdę zaszło. Wreszcie podejmuje decyzję, która pozostawia wszystko po staremu, ale robi wrażenie zmiany.

Uchwała Rady i komitetu partyjnego Górnego Karabachu o zjednoczeniu z Armenią została uchylona. Centralna władza wy-



kluczyła taką możliwość. 21 marca *Prawda* pisała: „A jeśli pozostałe rejony zaczęły analogicznie zadowalać swoje własne interesy kosztem innych narodów? Co się wówczas stanie z sojuszem bratnich narodów, z gospodarką kraju?”. Obiecano polepszyć status Ormian w Górnym Karabachu i przyznać (na 7 lat) środki, które mają pozwolić na zaspokojenie niektórych żądań ormiańskiej ludności. Władze zakazały wyznaczonej na 26 marca manifestacji w Erywaniu: do stolicy Armenii wprowadzono wojsko, nad miastem latały wojskowe helikoptery, aresztowano sporo ludzi. Równocześnie nie łamano siłą powszechnego strajku w Stepanakercie, stolicy Górnego Karabachu. Pozwolono mu umrzeć naturalną śmiercią. Relacje o strajku, ukazujące się w sowieckich środkach masowego przekazu stopniowo, po kropelce, sprawiały wrażenie, jakby buntownicy i spiskowcy nie wiedzieć dlaczego przeszkadzali uczciwym ludziom chodzić do pracy, narażając tym samym na straty cały kraj. Typ informacji bardzo przypominał doniesienia o polskich strajkach z okresu „Solidarności”.

Kiedy minęła groźba poważnych zaburzeń w Armenii, prasa sowiecka przemówiła poważnie. *Bakinskij rabocizj* z 7 kwietnia zatytułował artykuł o zamieszkach w Górnym Karabachu i „wokół niego” następująco: „Przypadek czy organizacja?”. Odpowiedź jest zawarta w pytaniu. Zdaniem organu azerbejdżańskiej kompartii rozruchy w Górnym Karabachu zostały zorganizowane przez „nieformalne ugrupowanie o romantycznej nazwie 'Krunk' ('Zuraw')”. Zgodnie ze swym programem, ugrupowanie to chciało zajmować się analizą ekologicznych, demograficznych i ekonomicznych problemów Górnego Karabachu, a także umacniać więzi z instytucjami i organizacjami społecznymi Armenii, zajmującymi się zagadnieniami języka, kultury, ekologii, ekonomii i historiografii narodu ormiańskiego. Władze w Baku uznały to wszystko za podżeganie do buntu i zakazały działalności „Krunka”.

Baku wiedziało, że może to zrobić, gdyż 4 kwietnia ukazał się w *Prawdzie* artykuł pod tytułem „Podżegacze. Raz jeszcze o wydarzeniach w Górnym Karabachu i wokół niego”. Należy sądzić, że „Nina Andriejewa” była z tego artykułu zadowolona. W najczystszy stalinowskiemu stylu *Prawda* sporządziła listę „podżegaczy”, winnych wydarzeniom w Górnym Karabachu i „wokół niego”. Są to po pierwsze „wrogie radiostacje”: Swoboda, BBC, Głos Ameryki, Niemiecka Fala. Ponadto w szeregu winnych widnieją „były przestępca i łapownik”, jak organ KPZS nazwał Paruira Akrikiana, który spędził długie lata w obozach jako więzień sumienia, oraz „nie całkiem nieznany 'wydawca' Grigoriantz” (mowa o Siergieju Grigoriantzu, wydawcy podziemnego pisma *Głasnost'*).

Końcowe akapity artykułu brzmią znajomo. Od siedemdziesięciu lat nie czytamy niczego innego, czasami dzień w dzień, czasami z krótkimi przerwami na odpoczynek: „Zewnętrzni i wewnętrzni podżegacze nie mogą bez siebie istnieć, jak zrosnięte

bliźniaki syjamskie, bowiem przyświeca im jeden i ten sam cel. I jednym i drugim nie w smak jest istniejący w ZSSR ustrój...”. Gazeta wspomina naturalnie również o „lekcjach historii”: „Historia uczy, że wszelkie zakusy na... (tu wpisać co trzeba) skazane są na porażkę”.

Od kilku już miesięcy nie udaje mi się wychylić głowy z zalewającej mnie fali wydarzeń, przemówień i referatów, aby wspomnieć choć kilkoma słowami o maleńkiej książeczce, jaka ukazała się we Francji w grudniu ubiegłego roku. Autorem jej jest Claude Simon, laureat nagrody Nobla, zaproszony w ubiegłym roku wraz z wybraną grupą wybitnych intelektualistów świata na tzw. forum w Issyk-Kul. Zabawił nad jeziorem Issyk-Kul, w Kirgizji, oczywiście Ajtmatowa (organizatora forum), wysłuchał przeznaczonych tylko dla nich, wybitnych intelektualistów, mowy Michaiła Gorbaczowa, opublikowanej potem w milionowym nakładzie, a po powrocie do domu opisał swoje wrażenia w książeczce, zatytułowanej „Zaproszenie”.

Nigdy nie byłem wielbicielem Claude Simona, jednego z twórców „nowej powieści”, który wszystko składa w ofierze tzw. „stylowi”. Tym razem jednak napisał arcydzieło, nie tylko ze względu na walory literackie, ale z uwagi na przenikliwość polityczną, głębokie zrozumienie i jadowitą, zabójczą satyrę. Głównym wydarzeniem „Zaproszenia” jest spotkanie z Samym. „Tołstoj Azji środkowej”, jak Claude Simon nazywa organizatora forum, doprowadza delegację na Kreml. Wszyscy siadają. Wśród gości jest „aktor, grający rolę Nerona” (tj. Peter Ustinov), „drugi mąż najpiękniejszej kobiety świata” (Arthur Miller) i inni. Zjawia się ten, którego oblicze w krótkim czasie poznał cały świat: „Jeszcze młody, pulchny, o subtelnych rysach i inteligentnym spojrzeniu (w miarę jak mówił z tą mieszaniną wdzięku, twardości, dobrych zamiarów i dwulicowości, właściwą wszystkim działaczom państwowych, twarz i głos — chociaż był to tylko głos tłumacza — złały się w jedno) wyglądał ze swą łysiną, w surowym, ciemnogrnatowym garniturze i krawacie w dobrym tonie, jak potomek dynastii gangsterów, który odebrał wychowanie w szwajcarskim *college'u* (z tą różnicą, że wychował się nie w Szwajcarii, a sam, własnymi siłami, w dżungli, w której jedynym prawem były spryt i gwałt, co zakłada znaczną umiejętność posługiwania się jednym lub drugim) i wrócił do domu z internatu w Lozannie, gdzie gangsterzy i miliarderzy kształcą swoje potomstwo, aby zajęło się przekształcaniem rodzinnych interesów w przedsiębiorstwa, uważane za porządne, tj. mniej niebezpieczne, mniej naiwne chamskie i bardziej dochodowe, aniżeli morderstwa przy wyjściu z baru albo masowe deportacje...”.

Claude Simon spędził w Związku Sowieckim wszystkiego tydzień. Wystarczył mu on na zrozumienie tego, czego nie potrafią (nie chcą?) zrozumieć ci, którzy całe życie trawią na badaniu ZSSR.

Adam KRUCZEK

11 kwietnia 1988



## Kronika ukraińska

Moskiewska *Glasnost'* (nr 10) doniosła, że autorzy listów protestujących przeciwko budowie elektrowni atomowych na Ukrainie i niszczeniu historycznych zabytków Kijowa — zwłaszcza Peczerskiego Monasteru — są represjonowani. Policja zamknęła kawiarnię, w której miało odbyć się spotkanie kijowskiego „Klubu Kultury i Ekologii” poświęcone ukraińskiemu filozofowi Skovorodzie. Do zebrania Klubu doszło w innym miejscu.

Iwan Hel, przewodniczący Komitetu Praw Wierzących i Cerkwi na Ukrainie oraz ojciec Petro Zeleniuk przekazali Radzie Najwyższej ZSSR drugą petycję w sprawie legalizacji Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej. Żyjący we Lwowie 80-letni biskup Wołodimir Sterniuk uważany jest za przewodniczącego soboru biskupów, który liczy od 10 do 13 tajnych biskupów. Władzy znany jest biskup Sterniuk oraz biskupi Pawło Wasyłyk i Iwan Semedi, którzy podpisali pierwszą petycję. W styczniu na Zachód doszły informacje, że w Kijowie miało się odbyć posiedzenie z udziałem dwu biskupów-sygnatariuszy petycji oraz przedstawicieli władzy w sprawie legalizacji UCK. Jednocześnie w prasie trwa kampania przeciw UCK. W wiadomości dla Radia Swoboda Hel powiedział, iż w lutym usiłował wręczyć władzom petycję w sprawie legalizacji UCK, podpisaną przez 5.421 wiernych. Ostatecznie petycję przekazano za pośrednictwem delegacji amerykańskiej Shultza, która akurat bawiła w Moskwie. Zbieranie podpisów toczy się spon-tanicznie nadal; petycję podpisało już prawie 10 tysięcy wiernych. Niezależne moskiewskie czasopismo *Referendum* (nr 6) wezwało władze do zalegalizowania UCK. Były więzień polityczny Witalij Szewczenko wystosował list do *Izwestii*, domagając się reaktywowania Białoruskiej i Ukraińskiej Autokefalicznych Cerkwi Prawosławnych. W styczniu zaczął ukazywać się *Chrystyjański Holos* — niezależne pismo katolików ukraińskich, redagowane przez Hela. Będzie ono wydawane zamiast *Kroniki Cerkwi Katolickiej na Ukrainie*, której dotychczas ukazało się 21 numerów.

Ukazał się 8-my numer wznowionego przez W. Czornowoła *Ukrajinskoho Wisnyka*. We Lwowie ukazało się kolejne, piąte czasopismo niezależne, redagowane przez Irynę Stasiw-Kałyneć pt. *Jewszan-zilla*. Jest ono poświęcone literaturze ukraińskiej.

Nowym przewodniczącym Ukraińskiej Grupy Helsińskiej został wybrany Łewko Łukianenko, prawnik, wioleletni więzień GUŁagu, który swą działalność polityczną zaczynał w latach 1960-tych od zbierania podpisów pod petycją w sprawie wystąpienia Ukrainy z ZSSR. Członkiem łotewskiej grupy „Helsinki 86” jest Ukrainka Ina Sakurenko.

W Lublinie ukazało się w listopadzie 1987 roku drugie niezależne pismo ukraińskie pt. *Swiczado*. Wydaje je młodzież katolicka UCK w Lublinie. Adres dla korespondencji: Bohdan Trojanowski, ul. Świerczewskiego 14/14, 11-200 Bartoszyce. We wstępie redakcja stwierdza, iż wywodzi się z ukraińskiej tradycji chrześcijańskiej i zaprasza ukraińskich prawosławnych i protestantów do dyskusji nad losem chrześcijańskiej Ukrainy. Oprócz wstępu numer zawiera „Kronikę UCK w Polsce po drugiej wojnie światowej” i „Kronikę” wydarzeń związanych z życiem religijnym, wspomnienie o ojcu Melnyku oraz artykuł pt. „Myśl historyczna”, którego autor uważa, iż obecny czas „ważnych przemian” jest okresem poszukiwań dojrzałego chrześcijaństwa, a „tym samym dojrzałego wyrazu naszego poczucia narodowego”. W ciężkich chwilach bytu narodowego zwracamy się do historii, gdyż jej

pisanie zawsze było „wyrazem patriotyzmu i oznaczało obronę narodowego ja”. Historia dawała możliwość przeżycia czasów niewoli i podnosiła poczucie własnej wartości. To zadanie historii jest, zdaniem autora, „szczególnie aktualne w obecnym czasie...”.

Jury nagrody Fundacji im. Jana Pawła przyznało 18 października 1987 trzy równorzędne nagrody za rok 1987. Jednym z laureatów został Ukrainiec zamieszkały w Krakowie, dr Wołodimir Mokryj, filolog, historyk literatury, pracownik UJ. W uzasadnieniu czytamy, iż dr Mokryj „zasłużył sobie na ogromne uznanie i wdzięczność za pracę nad porozumieniem i zbliżeniem polsko-ukraińskim, tak istotnym dla przyszłości Europy Środkowej, ale także za swoje osiągnięcia naukowe, ukazujące chrześcijańskie korzenie kultury ukraińskiej...” (tłum. z ukraińskiego).

*KOS* i *Obóz* rozpoczęły rozpowszechnianie w Polsce filmu „Żniwa rozpaczy”, poświęconego głodowi lat 1932-1933, w systemie video z polską ścieżką dźwiękową. Warszawski *Kurs* nr 29 opublikował fragment książki Myrona Dolota „Egzekucja głodem”.

*Polityka* (16 stycznia 1988) zamieściła artykuł prof. Jerzego Tomaszewskiego, w którym autor występuje w obronie mniejszości narodowych w Polsce i proponuje przyznanie im miejsca w komunistycznym sejmie, utworzenie narodowych instytutów naukowych w ramach PAN, rozszerzenie oświaty i powołanie wydawnictw publikujących w ich językach. *Szlach Peremohy* (14 lutego 1988) stwierdza, iż Tomaszewski „pokazał drogę, jaką można naprawić wyrządzone krzywdy, jeśli są one w ogóle możliwe do naprawienia”.

J. Opolski w artykule „Hajdamacy jedzą kiełbaski” (*Solidarność*, Gdańsk nr 176) opisuje coroczne ukraińskie festiwale folklorystyczne w Sopocie. Redakcja podkreśla lojalność Ukraińców wobec władz PRL, partii komunistycznej, w której wielu zrobiło kariery na szczeblu powiatowym oraz wobec Sowietów, co nie przeszkadza w utrzymywaniu związków z bogatą i nacjonalistyczną emigracją. Coraz bardziej pogłębia się jednak przepaść między starym i młodym pokoleniem, któremu kultura ludowa będzie coraz mniej wystarczała: „Słaba grupa inteligencji ukraińskiej musi dostarczyć własnych, nowocześniejszych wzorów kulturowych”, w przeciwnym wypadku młode pokolenie wynarodowi się. „Próby 'marszu naprzód' można było zaobserwować na koncercie dla młodych, zorganizowanym przez sekcję ukraińską ZSP — nota bene wciąż niepokojoną przez SB. Koncert odbył się po sopockiej części uroczystości, w klubie Politechniki Gdańskiej. Występowała m.in. punk-rockowa grupa „KSU” z Ustrzyk Górnych, głosząca hasło „Gdańsk-Bieszczady”. Obok ukraińskich punków inne grupy już o czysto narodowych nazwach prezentowały muzykę taneczną, która z biegiem czasu przeszła ku bardziej awangardowemu *reggae*”. W krakowskiej *Arce* nr 20 Michał Spis zamieścił artykuł poświęcony sylwetce i myśli politycznej Wacława Łypynskiego. Wydawany przez studentów i absolwentów *Grizzly* opublikował w swoich pierwszych dwu numerach obszernie omówienie kwestii językowej na Ukrainie pióra Zosima Roniarka. W *Almanachu Humanistycznym* nr 7/87 Bogusław Bakuła podsumował dotychczasowy przebieg dialogu między Polakami a emigracjami naszych wschodnich sąsiadów. Najnowsza, 26 *Krytyka* zawiera bardzo ciekawe materiały dotyczące stosunku rządu w 1943 roku do kwestii ukraińskiej. Ze stenogramów posiedzenia Komitetu Politycznego i Komitetu d/s Krajowych wynika, że rząd chciał jakiegoś porozumienia z Ukraińcami, ale tak, by nie drażnić Sowietów i zachować granicę ryską. Lubelskie *Spotkania* poświęciły swój podwójny 33-34 numer sprawom Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej. Uwagę zwraca wspomnienie Lucjana Pogromskiego o terrorze polskim we wsiach ukraińskich w Bieszczadach.

*Ukraińskie słowo* (29 listopada 1987) wydrukowało omówienie krakowskiej sesji PAN na temat: „Słowianie i stosunki między nimi w XX wieku”



(kwiecień 1987), napisane na podstawie sprawozdania Marka Karpa w warszawskim czasopiśmie *Kontakt*. Na marginesie sympozjum łódzkiego „Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Polacy — przesłanki pojednania” W. Małynowycz pisze, iż „Tysiąclecie chrystianizacji Rusi-Ukrainy może stać się dobrą okazją dla wzmocnienia kontaktów i pogłębienia dialogu. I z przyjemnością trzeba stwierdzić, że nasi polscy sąsiedzi... podkreślają fakt tysiąclecia chrztu Kijowskiej Rusi-Ukrainy, a nie nieistniejącej jeszcze w tych czasach Moskwy-Rosji (*Ukrajńskie Słowo* z 13 marca 1988). Sympozjum łódzkie odbiło się szerokim echem w prasie katolickiej i niezależnej; przychylnie omówienia zamieściły m.in. *Ład* (10 stycznia 1988), *Wiadomości* nr 258 (8 listopada 1987), *Horyzont* nr 3 (9 listopada 1987).

Łutowa *Suczasnist'* zamieściła bez podania miejsca pierwodruku artykuł T. Maćkiwa „Problemy ukraińskiej państwowości w publicystyce polskiej”, który ukazał się 9 miesięcy wcześniej w *Kulturze* nr 476.

*Szlach Peremohy* (20 grudnia 1987) przypomniał rocznicę stracenia Wasyla Biłasa i Dmytro Danyłyszyna w grudniu 1932 roku za akcję ekspropriacyjną na początku w Gródku Jagiellońskim. Redakcja podkreśla, że ci członkowie grupy bojowej OUN byli bohaterami narodowymi i pomija milczeniem fakt, że wcześniej zamordowali Tadeusza Hołówkę. Ta sama gazeta (3 kwietnia 1988) omówiła referat A. Friszke „Polacy i Ukraińcy w II Rzeczypospolitej”, wygłoszony we Wrocławiu w ramach „Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej” (*Tygodnik Powszechny* z 31 stycznia 1988). Wystąpienie referenta określono jako „ciekawe i względnie obiektywne”. *Szlach* z aprobatą cytuje wszystkie elementy antyukraińskiej polityki władz polskich wymieniane przez A. Friszke, ale nie zgadza się z jego wnioskiem końcowym: „Wiele posunięć antyukraińskich dałoby się usprawiedliwić, wychodząc z założenia nadrzędności polskiej racji stanu. Ukraińcy byli w swej masie mniejszością, na której lojalność trudno było z góry liczyć”. Zdaniem autora ukraińskiego przyczyna takiej postawy leżała w niewywiązaniu się przez Polskę ze zobowiązania Traktatu Wersalskiego nadania Galicji Wschodniej autonomii. Trzeba jednak pamiętać, że to partie demokratyczne, przede wszystkim UNDO, opowiadały się za zostaniem autonomicznej Galicji w ramach Polski do czasu powstania niepodległej Ukrainy, podczas gdy OUN chciała utworzenia na tych terenach natychmiast niepodległego państwa ukraińskiego, sądząc, iż między Polską i Sowietami będzie ono mogło istnieć i odgrywać rolę Piemontu. O tym już *Szlach* oczywiście nie wspomina, choć podkreśla: „nie można nie cieszyć się, że właśnie w polskich kręgach katolickich istnieje dążenie do prawidłowego oceniania antyukraińskiej polityki Polski międzywojennej. W ten sposób wyrządza się dobrą przysługę sprawie normalizacji stosunków ukraińsko-polskich. Pogodzenie się Polaków z Ukraincami stanowi istotną przesłankę naszej wspólnej walki ze wspólnym wrogiem — czerwoną i białą imperialistyczną Moskwą”.

*Homin Ukrainy* (14 października 1987) przedrukował list J. Biłasa zamieszczony w *Kulturze* nr 469, stwierdzając: „Redakcji *Kultury*, niezależnie od częstych 'szpilek' wsadzanych przez J. Darskiego nacjonalistom-handrowcom, trzeba wyrazić uznanie za obiektywizm w podejściu do spraw dobrośędzielskich stosunków i potrzeby ich ułożenia między naszymi narodami oraz za opublikowanie listu Jurija Biłasa”.

W styczniu dr Andrzej Ziemia z UJ wygłosił odczyt w Towarzystwie Naukowym im. Szewczenki w Nowym Jorku na temat: „Mniejszość narodowa i państwo komunistyczne — Ukraińcy w dzisiejszej Polsce”. Wystąpienie dr. Ziembę spotkało się z ogromnym zainteresowaniem społeczności ukraińskiej Nowego Jorku. Zdaniem prelegenta decyzja mianowania grecko-katolickiego biskupa dla Ukraińców już zapadła, ale nie wiadomo, kiedy zostanie zrealizowana. Oznaczałoby to wyjęcie UCK spod jurysdykcji Prymasa Polski i podporządkowanie jej bezpośrednio Rzymowi. Razem z Torzec-

kim i Serczykiem Ziemia wystąpił swego czasu przeciw paszkwilowi Edwarda Prusa pt. „Władysław Świętojurski”, opluwającemu Metropolite Szeptyckiego. Tymczasem E. Prus wydał trzecią książkę pt. „Atamania UPA”, która jego zdaniem odznacza się równieś walejami literackimi. Zapewne autor zalicza do nich liczne sceny męzobójstw i dzieciobójstw, w których się wręcz lubuje. Książka ma wzbudzić nienawiść do UPA i Ukraińców przedstawiając w jednostronnym świetle walkę UPA, zwłaszcza dzieje wojny ukraińsko-polskiej na Wołyniu lat 1943-1944. Cel ten zostanie osiągnięty, jeśli polskie i ukraińskie środowiska niezależne nie zdobędą się na powiedzenie prawdy o wzajemnych walkach. Twierdzenia, jakoby „UPA nie rżnęła niewinnej polskiej ludności cywilnej” (*Homin Ukrainy* z 14 października 1987) — zapewne robili to Marsjanie — są tylko na rękę propagandzie rozwijanej przez Prusa. Większość środowisk ukraińskich w dalszym ciągu twierdzi, iż UPA jedynie broniła się przed AK, która współpracowała z hilerowcami i sowieckimi komunistami. *Homin Ukrainy* (3 lutego 1988) przypomina masakrę, której dokonało Wojsko Polskie w dniu 5 kwietnia 1945 roku, zabijając 156 bezbronnych ukraińskich mieszkańców wsi Gorajec (Horajec), głównie kobiet i dzieci, w tym niemowlęta. Zbrodnia ta miała „zachęcić” do dobrowolnego wyjazdu do USSR. Autor artykułu uważa jednak, że tego typu czynów dokonywali tylko Polacy, którzy kłamliwie zarzucają Ukraińcom znęcanie się nad bezbronną ludnością polską.

W związku z 45-tą rocznicą powstania UPA i 40-tą rocznicą przebiecia się niektórych oddziałów na Zachód w prasie ukraińskiej pojawiło się sporo artykułów okolicznościowych, przeważnie o walkach UPA na terenie Polski (np. *Łemkowska Republika, Homin Ukrainy*, 21-28 października 1987; 18 listopada 1987). Jako 15 tom „Litopysu UPA” ukazały się wspomnienia Kostia Himmelreicha, członka OUN i komendanta oddziału specjalnego przeznaczenia UPA-Wschód. Himmelreich miał za zadanie utrzymać się jak najdłużej w województwie tarnopolskim i w momencie wybuchu trzeciej wojny światowej starać się zająć Kijów.

St. Żeneckij zarzuca Polakom (*Ukrajński Hołos*, 15 lutego 1988), że o ile w okresie walk UPA nazywali Łemków Ukraińcami ze złości za to, że sprzyjali UPA, o tyle obecnie zaprzeczają ukraińskości tej ludności. Zdaniem autora: „Po drugiej wojnie światowej Moskwa podarowała Polsce wielkie obszary ziemi ukraińskiej — Łemkowszczyznę, Zasanie, Bielskie, Lubaczowskie, Chełmszczyznę i Podlasie z dużą liczbą około trzech (*sic!*) milionów ludności”, z czego połowę przesiedlono do Sowietów, a połowę na ziemie zachodnie. Należy „odnotować, że Polacy z 'Solidarności', którzy niby to (*sic!*) przychylniej odnoszą się do Ukraińców, a nawet potępiają polski reżym komunistyczny za przymusowe wysiedlenie Ukraińców (ale niczego nie mówią w sprawie ich powrotu na ziemi ojczyste), również dzielą Ukraińców w Polsce na Ukraińców i Łemków. I dlatego — pisze Żeneckij — z przyjemnym zdziwieniem odnotowujemy, że nareszcie znalazł się jeden rozsądny Polak, który napisał prawdę o Łemkach i Łemkowszczyźnie...”. Następnie redakcja przedrukowuje list Polaka F. M. Martina z Florydy do *Nowego Dziennika*, w którym autor podkreśla ukraińskość Łemków oraz pisze, że „UPA ze swym przywódcą 'Czuprynką' chciała stworzyć wolną i niezależną Ukrainę tak samo jak Kościuszkę, Traugutt, Piłsudski i inni chcieli stworzyć wolną i niezależną Polskę” (tłum. z ukraińskiego).

Pawło Szewczuk w *Hominie Ukrainy* (20 stycznia 1988) krytykuje Edwarda Zimana, redaktora *Głosu Polskiego* z Toronto, za nazywanie Lwowa „miastem polskim” i wysuwanie roszczeń do Halycyzny. Zdaniem Szewczuka „Moskwa okupuje... całą Ukrainę... tak jak kiedyś przez wieki okupowała te ziemie Polska, używając podobnych metod niszczenia i polonizacji”. Aż dziw, że po polskiej okupacji jeszcze coś pozostało do zniszczenia przez okupację rosyjską, a następnie sowiecką. W kolejnym numerze (*Homin Ukrainy* z 17 lutego 1988) Szewczuk omawia artykuł J. J. Lipskiego



„Perspektywy i konsekwencje dnia dzisiejszego w Polsce” (*Głos Polski* z 5 listopada 1987).

W *Ukrajńskomu Słowi* W. Małynowycz nazywa spotkanie biskupów polskich i ukraińskich (patrz: *Kultura* nr 12/1987, str. 104; nr 3/1988, str. 113) „wydarzeniem historycznym”, które „stanowi jeszcze jeden wielki krok w kierunku zblżenia i bratniej zgody dwu sąsiednich narodów, które los ściśle teraz związał”. Autor wyraża nadzieję, że polski Kościół katolicki stanie się „decydującym czynnikiem w obronie praw ukraińskiej mniejszości narodowej w Polsce i poprawy atmosfery oraz zblżenia dwu narodów... (które) jest koniecznością życiową”. *Przegląd Katolicki* (1 listopada 1987) opublikował (z cięciami cenzury) przemówienia wygłoszone przez Prymasa J. Glempa i Najwyższego Arcybiskupa M. I. Lubaczińskiego. *Homin Ukrainy* (9 grudnia 1987) uważa, iż teraz Kościół polski powinien czynem dowieść szczerości swych oświadczeń.

Kanadyjski *Ukrajński Hołos* (1 lutego 1988) w związku z listami czytelników domagającymi się zajęcia stanowiska w sprawie „oświadczeń kardynała Myrośława I. Lubaczińskiego, w których prosił on o przebaczenie Polaków i Rosjan”, wydrukował artykuł H. Kornijczuka. Jego zdaniem deklaracja Lubaczińskiego, w której Kardynał przebacza wszystko Moskiewskiemu Patriarchatowi Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej i prosi o przebaczenie patriarchę Pimena, „jest nie tylko nie do wiary, ponizając obrażliwa dla ukraińskiej narodowo-religijnej godności katolików ukraińskich, ale też dla każdego świadomego narodowo patrioty ukraińskiego”. Kornijczuk uważa, że biskup Lubacziński w tym wypadku był jedynie instrumentem państwa watykańskiego i kościelnej *Ostpolitik* Papieża, dążącego do porozumienia z Moskwą kosztem Ukrainy. *Homin Ukrainy* (25 grudnia 1987) pisze nawet o spisku i „wyroku śmierci na Kościół ukraiński”. Pod ostrzał banderowców dostała się prasa melnykowska za zbyt umiarkowaną krytykę oświadczenia kardynała Lubaczińskiego, gdyż *Nowyj Szlach* (12 grudnia 1987) i *Ukrajńskie Słowo* (13 grudnia 1987) w artykule „Czy nastąpił czas pojednania i przebaczenia z Moskwą” jedynie stwierdziły, iż deklaracja Kardynała wyraża „jego osobiste stanowisko, które nie zobowiązuje ani hierarchii, ani duchownych, ani wiernych UCK” i przypomniały, że Moskiewski Patriarchat Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej przyjmował z uznaniem takie poczynania władz komunistycznych, jak likwidacja ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej i ukraińskiej Cerkwi Katolickiej oraz przesładowania ukraińskich baptystów i ewangelików. Ataki zmusiły kardynała Lubaczińskiego do złożenia wyjaśnienia, w którym m.in. powołuje się na przykład Prymasa Wyszyńskiego. Trzeba wyjść — pisze Kardynał — z zaczarowanego koła wzajemnej nienawiści i podkreśla, że wyrażając gotowość do przebaczenia zwracał się do całego narodu rosyjskiego, mając nadzieję, że jego słowa trafią do ludzi noszących Boga w sercu i rozpoczną tam proces zrozumienia praw danych przez Boga.

40 tysięcy ukraińskich katolików z diaspory zwróciło się z prośbą do Papieża o „podniesienie ich Kościoła do rangi Patriarchatu”.

Tygodnik *Village Voice* z Nowego Jorku zamieścił artykuł J. Koplona, w którym autor twierdził, że sztuczny głód wywołany przez Stalina na Ukrainie w latach 1932-1933 jest wymysłem ukraińskich nacjonalistów, kolarobujących z Hitlerem w czasie drugiej wojny światowej albo przekupionych przez nich pseudonaukowców. *Village Voice* znany jest z publikowania ukraińskojęzycznych artykułów. Na pełne oburzenia listy m.in. Roberta Conquesta i Jamesa Mace'a, autor zareagował, zarzucając im „fantazję w sprawie ukraińskiego ludobójstwa”.

Jesienią 1987 roku (dokładnej daty nie podano widocznie ze względów konspiracyjnych) odbył się VII Wielki Kongres OUN (banderowców). Po-  
stanowiono m.in. szukać sojuszników Ukrainy wśród narodów muzułmańskich

oraz ożywić własny rząd na wychodźstwie — kontynuację rządu utworzonego we Lwowie 30 czerwca 1941 roku. Obserwowanie emigracji czasami jest bardzo zabawne.

Trwają przygotowania do uroczystych obchodów 50-tej rocznicy śmierci zabitego przez agenta NKWD 21 maja 1938 roku w Rotterdamie płk. Jewhena Konowalca, dowódcy Korpusu Strzelców Siczowych w czasie rewolucji na Ukrainie, a następnie jednego z twórców i komendanta ukraińskiej Wojskowej Organizacji oraz jednego z założycieli Organizacji ukraińskich Nacjonalistów i pierwszego Przewodniczącego Prowodu ukraińskich Nacjonalistów.

20 lutego 1988 roku minęło 100-lecie urodzin wybitnego kompozytora ukraińskiego Wasyla Barwńskiego, od 1939 roku dyrektora konserwatorium lwowskiego. W latach 1948-1958 Barwński przebywał w GUŁagu w Mordwi.

Józef DARSKI

## Kronika niemiecka

Według informacji kwartalnika *Nasze Forum* (Recklinghausen) w Carlsbergu odbyło się walne zebranie *Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów* (*ChSWN*). Z powodu niskiej frekwencji postanowiono nie wybierać nowego zarządu *ChSWN* (zebranie odbyło się w drugim terminie). W związku z zaistniałą sytuacją zdecydowano utworzyć *Tymczasowy Komitet Zarządzający* w następującym składzie osobowym: Ludwik Butkiewicz, Andrzej Chmielecki, Piotr Gadzina, Adam Kucharczyk, Andrzej Piwarski, Krzysztof Pyrek, Mieczysław Talarczyk i Marcin Zieliński. Wymieniony Komitet ma działać do 17 czerwca 1988 roku. ■ *Stodieck's Buchhandlung* ogłosił listę 10 *bestsellerów* polskich wydawnictw emigracyjnych w miesiącach styczniu i lutym 1988. Pierwsze trzy miejsca: T. Folek — *Prawo azylu* (nakładem Autora); L. Kołakowski — *Jeśli Boga nie ma... (Aneks)*; J. M. Bocheński — *Sto zabobonów* (*Instytut Literacki*). Lista powstała na podstawie danych uzyskanych z polskich księgarni niemieckiego obszaru językowego: *Arkady* (Hamburg), *Dialog* (Frankfurt), *Księgarnia Polska* (Wiedeń), *Wawel* (Kolonja) oraz *Polska Księgarnia Wysztykowa* — *Stodieck's* (Berlin Zachodni). ■ *Krajowa Panorama* pisze, że liczbę Polaków w Berlinie Zachodnim należałoby ocenić na 25-30 tysięcy: „Wielu z nich wyjeżdża w odwiedziny do kraju na 2-3 dni i gotowe jest to robić wielokrotnie w ciągu roku. (...) Obserwujemy znaczny wzrost kontaktów z Misją Wojskową PRL w Berlinie Zachodnim. W samym wydziale konsularnym przewija się dziennie od 300 do 500 interesantów. (...) Polacy stanowią trzecią, po Turkach i Jugosłowianach, grupę etniczną w Berlinie Zachodnim”. ■ 9 marca br. zmarł w miejscowości Rösraht k/Kolonii w wieku 63 lat Janusz Piekałkiewicz, popularny w Republice Federalnej autor licznych książek historycznych, specjalizujący się w dziejach drugiej wojny światowej. Piekałkiewicz brał udział w Powstaniu Warszawskim, a w 1956 roku walczył na ulicach Budapesztu. W 1969 roku zdobył na IX Międzynarodowym Festiwalu Filmów Telewizyjnych w Monte Carlo Złotą nimfę (I nagroda) za serial telewizyjny — *Szpiedzy, agenci, żołnierze — tajne akcje w drugiej wojnie światowej*. ■ 220 wagonów kolejowych dodatkowo — ponad ustalenia umowy międzyrządowej dostarczy NRD do Polski do końca 1990 roku. Będzie wśród nich



150 piętrowych wagonów dla ruchu podmiejskiego i 70 dla ruchu pociągów dalekobieżnych. ■ Warszawa uzyskuje bezpośrednie połączenie lotnicze z Düsseldorfem dzięki uruchomieniu nowej linii przez *Luftansę* (dwa razy w tygodniu). ■ *Poradnia Socjalna dla Polaków* w Mannheim organizuje kursy języka niemieckiego dla początkujących i zaawansowanych. *Poradnia* planuje także zorganizowanie kursu pomocniczego dla młodzieży szkolnej. ■ Władysław Bartoszewski, dotychczas profesor *Uniwersytetu Ludwika-Maksymiliana* w Monachium, objął od kwietnia br. katedrę nauk politycznych na wydziale filozofii uniwersytetu w Augsburgu na okres jednego roku. ■ Ostatnio o 61 % wzrosła liczba paszportów konsularnych, wydawanych przez odpowiedni wydział ambasady PRL w Kolonii. ■ Spektakl *Dawnych czasów* Pintera przygotowuje Krzysztof Zanussi w monachijskim teatrze *Neue Schaubühne*; reżyser wystawi również operę *Król Roger* Szymanowskiego w *Bremer Theater*. ■ W lutym br. 1.635 Polaków zwróciło się do władz zachodniemieckich z prośbą o azyl (w styczniu — 1.592). ■ Spotkania organizowane staraniem *Polskiego Towarzystwa Kulturalnego* w Karlsruhe (Badenia-Wirtembergia): prof. ks. Witold Broniewski mówił na temat naszej tożsamości; dr Jan Zieliński zajął się literaturą emigracyjną; dr Andrzej Sulikowski wygłosił prelekcję na temat osobowości pisarza Witolda Gombrowicza. ■ *Klub Polski* w Dortmundzie urządził spotkanie ze znanym prawnikiem mgr. Tadeuszem Folkiem (Kolonja). Prelegent mówił o sytuacji prawnej obcokrajowców na terenie RFN, a szczególnie o zmianach w prawie azylowym, które weszły w życie dnia 1 maja 1987 roku. ■ W dniu 8 marca *Bundestag* podjął decyzję o zaostrożeniu prawa azylowego; o przyznaniu azylu będzie decydowało bońskie *Ministerstwo Spraw Wewnętrznych*, nie zaś jak dotychczas urzędy w poszczególnych landach. ■ *Polska Księgarnia ARKADY* w Hamburgu (założona przez Ewę i Waldemara Tymoszków) poza literaturą emigracyjną i krajową oferuje sztukę polską, grafikę, obrazy, rzeźbę, jak również wyroby rzemiosła artystycznego. Zwłaszcza ta ostatnia branża pozwala na utrzymanie coraz mniej rentownego przedsiębiorstwa. ■ Nakładem *Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych* (Warszawa), ukazała się praca Witolda M. Góralskiego i Jana Barcza: *Dylematy polityki wschodniej Republiki Federalnej Niemiec 1982-1985*. Natomiast dwa kolejne *Zeszyty Niemcoznawcze PISM* zawierają m.in. artykuły o stosunkach między obu państwami niemieckimi oraz nowych formach współpracy gospodarczej PRL-RFN. ■ W miesięczniku *Osteuropa* prof. Gotthold Rhode omówił obszernie *Protokoły tzw. Komisji Grabskiego* (*Instytut Literacki*, Paryż 1986). ■ W ciągu ostatnich kilku lat podatnicy zachodniemieccy wystali do Polski lekarstwa i sprzęt medyczny o wartości ok. 648 mln marek. Dla prasy PRL-owskiej ten temat nadal nie istnieje, choć pisze się często i obszernie o katastrofalnej sytuacji w szpitalnictwie. ■ Zachodniobermberskie gazety (np. *Berliner Morgenpost*, *Volksblatt* i *Spanndauer Volksblatt*) zamieściły obszernie artykuły poświęcone polskiemu niezależnemu programowi telewizyjnemu (*Magazyn Wyspa*). Program w sieci kablowej TV założyli w Berlinie Zachodnim, prowadzą i redagują dwie osoby — Ewa Maria Slaska i Grzegorz Ziętkiewicz. *Magazyn Wyspa* oferuje ponadto kasety *video* z nagrańmi audycjami. Jedną z ostatnich kaset (nr 14) zawiera cykl reportaży nt. Polaków na Zachodzie (*Polak na czarno*) i „*Marzec 68*” — w 20 lat później (przed kamerami: prof. Władysław Bartoszewski, Wiktor Woroszyński i Leszek Szaruga). Program EXTRA (2) poświęcony jest wydalonemu z NRD piosenkarzowi i poecie Stephanowi Krawczykowi. Cena jednej kasety — 20 DM. ■ Zdaniem *Wolnych Demokratów* (FDP) należy ułatwić legalizację pobytu cudzoziemców w RFN i ich integrację poprzez niezależne prawo wjazdu i pobytu dla współmałżonków (w ramach ustawy o łączeniu rodzin) i zdecydowanie ułatwić możliwość otrzymania obywatelstwa dla drugiej generacji cudzoziemców żyjących w RFN. ■ Książka Andrzeja Szczypiorskiego — *Die schöne Frau Seiden-*

*mann* (Początek, Instytut Literacki, Paryż 1986), wydana przez *Diogenes Verlag* (Zürich) podbiła rynek księgarski w RFN. Ostatnio wieloszpaltowe recenzje, opatrzone zdjęciami autora, ukazały się w tygodniku *Der Spiegel*, który umieścił powieść Szczypiorskiego na liście *bestsellerów*, *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (pióra najbardziej znanego krytyka niemieckiego — Marcela Reich-Ranickiego) i w hamburskim tygodniku *Die Zeit* (Martin Tschechne). ■ W Centrum Wystawowym Wieży Telewizyjnej w Berlinie Wschodnim czynne były wystawy polskiej rzeźby i plakatów. Prasa NRD-owska podkreśliła wysoką wartość artystyczną m.in. plakatów Waldemara Świerzego i Jana Młodożeńca. ■ *Ośrodek Polsko-Niemiecki* przy GFPS (Stowarzyszenie wspierające pobyty naukowe studentów polskich w RFN) we Fryburgu Br. posiada własną siedzibę, dzięki staraniom tamtejszego biskupstwa (Wintererstr. 1, Haus II, 7800 Freiburg Br.). W *Ośrodku* czynna jest biblioteka, która gromadzi książki w języku polskim i niemieckim na temat historii, literatury, filozofii i kultury polskiej. ■ Według prasy zachodniemieckiej ok. 1.000 Polaków (w Północnej Nadrenii-Westfalii ok. 200) otrzymało obywatelstwo niemieckie na podstawie sfałszowanych dokumentów o pochodzeniu. Świadczenia urodzenia babek i dziadków w granicach Niemiec z 1937 roku, książeczki żołdu (oczywiście *Wehrmacht*), wyciągi z *Volkslisty* i inne dokumenty świadczące o „rdzennym pochodzeniu” niemieckim były produkowane przez fałszerzy w Hamburgu i Bochum. Policja kryminalna jest zdania, że liczba tych „przesiedleńców” jest o wiele wyższa. ■ Rząd RFN planuje umorzyć 2,5 mld marek długów kilku najuboższym krajom Trzeciego Świata. Do jakiej strefy zaliczana jest Polska? *Trybuna Ludu*: „Niech wierzycciele traktują nas jak innych partnerów: np. Brazylję czy Meksyk”. W innym artykule organu KC PZPR czytamy: „Węgry otrzymały gwarantowany przez rząd RFN kredyt w wysokości jednego miliarda marek, a zapewne polskie życzenia są, nie bez powodu, znacznie większe”. ■ Zadłużenie Polski: w KDL-ach — 6,6 mld rubli transferowych; w krajach zachodnich — 39,2 mld dolarów (stan na koniec 1987 roku). ■ Dr Andrzej Sulikowski (obecnie wykłada na KUL-u w *Polskiej Misji Katolickiej* w Essen przedstawił temat: *Jerzy Turowicz — sylwetka redaktora* (40-lecie Tygodnika Powszechnego i dwutysięczny numer). Prelegent zwrócił uwagę na uciążliwość cenzury, która — mimo ustawy z 1981 roku — nadal utrudnia wydawanie normalnego pisma; sporo także o sposobie funkcjonowania cenzury w komunizmie w porównaniu do lat międzywojennych. ■ Ambasada RFN w Warszawie wydaje obecnie wizy nie na dłużej niż na trzy miesiące, a zachodniemieckie urzędy d/s cudzoziemców zdecydowanie nie przedłużają ich ważności. Coraz częściej wydala się poza granice RFN obywateli polskich, ponieważ upłynęła ważność wizy a bywa, że wielu z nich nie posiada już nawet ważnego PRL-owskiego paszportu. ■ Bolesław Kułski, minister pełnomocny ambasady PRL w Kolonii (1986-1988), został mianowany podsekretarzem stanu w warszawskim MSZ. Kułski (studia w Odessie) w latach 1968-1972 pełnił funkcję II i I sekretarza *Misji Wojskowej PRL* w Berlinie Zachodnim. Uchodzi za eksperta w sprawach niemieckich. Do *MSZ-tu* dostał się na fali wydarzeń marcowych. ■ *Fränkischer Tag* zamieścił całostronicowy wywiad z Tadeuszem Nowakowskim na temat polityki Gorbaczowa, *pieriestrojki* i *glasnosti*. ■ *Lekcja martwego języka* Andrzeja Kuśniewicza ukazała się nakładem *Suhrkamp Verlag* (Frankfurt n/Menem), w przekładzie Klause Staemmlera. ■ Przeszłość i aktualne zagadnienia dwóch państw niemieckich, Berlina Zachodniego oraz stosunki polsko-niemieckie — to główne kierunki działalności *Instytutu Zachodniego* w Poznaniu. Od lat z *Instytutem* związana jest także działalność *Wspólnej Komisji Podręcznikowej Polska — RFN*. Organem *Instytutu* jest dwumiesięcznik *Przegląd Zachodni*. *Instytut Zachodni* jako placówka naukowo-badawcza PAN jest zarazem towarzystwem naukowym o tej samej nazwie, skupiającym ponad 360 członków i posiadającym swój



oddział w Szczecinie, a wkrótce także w Zielonej Górze. Nagrodę *Instituto I stopnia* otrzymał w tym roku prof. Marian Pospieszalski (za całokształt pracy naukowo-badawczej w dziedzinie niemieckojęzycznej) — jeden z założycieli *Instituto Zachodniego*. ■ Książka Michaiła Gorbaczowa *Pierestrojka — druga rosyjska rewolucja* została uznana przez socjaldemokratyczną *Fundację im. Friedricha Eberta* za polityczne dzieło roku... ■ W wyniku rokowań między *Senatem Berlina Zachodniego* i władzami NRD podpisano w ratuszu Schoeneberg układ w sprawie wymiany terytoriów. Dotyczy obszaru o łącznej powierzchni 180 ha. Berlin Zachodni otrzymał czternaście obszarów o łącznej powierzchni 94 ha. Z kolei NRD otrzymała enklawy, które znalazły się na terenie Berlina Zachodniego na mocy porozumienia aliantów. Władze Berlina Zachodniego dopłaciły do tego „wewnątrzniemieckiego handlu” 76 mln marek. ■ Bawarska TV nadała 45-minutową audycję o Władysławie Bartoszewskim, żołnierzu AK, historyku i publicyście, laureacie nagrody pokojowej *Niemieckiej Gildii Wydawców i Księgarzy* (1986). Audycję zatytułowano — *Warto być przyzwoitym*. ■ W 1987 roku 485.500 Polaków otrzymało wizy do Republiki Federalnej i Berlina Zachodniego. ■ *Polskie Duszpasterstwo Katolickie* w Berlinie Zachodnim (Götzstrasse 65, D-1000 Berlin 42) wydało pierwszy numer interesującego kwartalnika pn. *Słowo*. Redaktorem jest Andrzej Szulczyński. Przy *Polskim Duszpasterstwie* nad Szprewą czynny jest również *Klub Inteligencji Katolickiej*. Jeden z ostatnich wieczorów tamtejszego KIK-u: Leszek Szaruga mówił o twórczości Józefa Brodzkiego, a Janina Szarek recytowała fragmenty poezji laureata nagrody Nobla. ■ Z inicjatywy kierownika Polskiej Misji Katolickiej w Monachium, ks. Jerzego Galińskiego, w tamtejszym kościele św. Józefa dnia 20 marca 1988 odprawiona została uroczysta msza koncelebrowana polsko-ukraińska dla uczczenia 1000-lecia chrystianizacji Rusi. Obecnych było ponad 1.500 osób, Polaków, Ukraińców i Niemców. Kazanie wygłosił ksiądz ukraiński (urodzony w Polsce, tamże ukończył studia teologiczne) w języku polskim. Spiewał (po ukraińsku) chór miejscowej Wspólnoty Ukraińskiej. Słowa powitalne wygłosili ksiądz J. Galiński (po polsku) i (po niemiecku) kierownik Referatu dla Spraw Duszpasterstwa Obcokrajowców przy Arcybiskupiej Kurii Monachijskiej, ks. prałat Franz Salsa Müller. Głównym celebransem był ks. biskup dr Platon Kornyljak, egzarcha ukraińskich katolików bizantyjskiego. Obecni byli inni przedstawiciele Kurii Monachijskiej, jak ks. prałat dr Waldmüller i Benno Storr. Przekazali oni pozdrowienia od kardynała, arcybiskupa Monachium-Freising, dr. Friedricha Wettera. Z Watykanu, z okazji uroczystości, nadeszła depesza powitalna od kardynała Lourdasamy, prefekta Kongregacji Kościołów Orientalnych. Nabożeństwo trwało ponad dwie godziny i odprawione zostało w obrządku bizantyjskim. Było to ważne wydarzenie nie tylko w sensie religijnym ale i politycznym. Świadczy o tym udział obu wspólnot. Dodajmy, że organizator uroczystości polsko-ukraińskiej, ks. Proboszcz J. Galiński jest jak dotąd jedynym polskim duszpasterzem w RFN, który został wybrany do Diecezjalnej Rady Kapłańskiej. Jest to pierwszy taki wypadek w historii powojennego duszpasterstwa polskiego w Niemczech.

Andrzej J. CHILECKI

#### ODPOWIEDZI CZYTELNIKOM

M.Sz. (Liège, Belgia): Właśnie się zmieniło. Polacy partyjni, pracujący na dłuższych kontraktach w NRD są zobowiązani do opłacania składek członkowskich w markach w najbliższej komórce POP PZPR. Tak jest w Jaenschwalde i na innych wielkich budowach w Niemczech Wschodnich. Pisała zresztą o tym prasa krajowa.

A. J. Ch.

## Wolna trybuna

### W zatrzaśniętej pułapce (c.d.)\*

W naukach ścisłych odróżnia się stany stabilne od stacjonarnych. Stabilnym jest taki stan, w którym bez gwałtownej reakcji układu można dużo dodać lub dużo odjąć, stacjonarny natomiast to taki, gdzie dopływy równoważone są odpływami. Tak więc stabilny jest układ ze stalową przegradą pomiędzy komorami ciśnienia, natomiast stacjonarnym można uczynić nawet zestaw komór rozdzielonych tylko bibułą pod warunkiem, że różnica ciśnień pozostanie bardzo bliska zeru. Oglądane od zewnątrz, nieuzbrojonym okiem, oba rodzaje stanów wcale się od siebie nie różnią: w jednym i drugim nic się nie zmienia, co zwłaszcza pragmatyków („polityków realnych”) łatwo wprowadza w błąd. Kiedy od fizyki przechodzimy do politologii, mieszanie stabilności ze stacjonarnością staje się nagminne.

Sytuacja polityczna w PRL jest dziś stacjonarna, co wszyscy widzą i co dla propagandystów i komiwojażerów politycznych z Warszawy jest koronnym argumentem za ekipą Jaruzelskiego. O tym jednak, do jakiego stopnia sytuacja jest niestabilna, świadczą pośrednio wysiłki, niezbędne dla podtrzymania stacjonarności. Interesująca, z tego punktu widzenia, była np. dyskusja, którą pt. „Nastroje — niepokoje — nadzieje” ogłosił *Tygodnik Kulturalny*, pismo ZSL, w numerze z 6 marca 1988. Tacy dyskutanci jak Stanisław Kwiatkowski i Władysław Markiewicz opisywali dość szczerze politykę władz właśnie jako podtrzymywanie stacjonarności układu, podczas gdy — Markiewicz *dixit* — „nie ma ani jednego z (...) czynników, które leżały u podłoża wybuchów społecznych, które by obecnie także nie występowały”. Kwiatkowski mówił o pokoleniu trzydziślatków wprost jako o za-

\* *Kultura* nr 11/482, 1987.



palniku — aby się pocieszać, że jest on rozładowany: przez emigrację, przez prywatyzację („w imię filozofii 'ratuj się, kto może'”) i wreszcie — ale to dopiero w perspektywie — przez większe zapotrzebowanie na myślenie i innowacyjność w państwowych zakładach pracy. Władysław Markiewicz dodał jeszcze do tych saperskich działań „postęp w demokratyzacji życia społeczno-politycznego” (pan profesor nigdy nie miał zbyt wygórowanych wymagań w tym względzie), inni wszelako dyskutanci, jak np. Józef Kaleta czy Mikołaj Kozakiewicz, mieli znaczne wątpliwości, czy owo rozładowywanie zapalników okaże się wystarczająco skuteczne.

Przykładów podtrzymywania sytuacji stacjonarnej można przytaczać wiele i z najrozmaitszych płaszczyzn. W sferze ekonomicznej byłoby to chociażby nieustanne przekraczanie planowanych wskaźników inflacji, w sferze polityki informacyjnej zwalnianie spod cenzury dawniej zablokowanych obszarów, w miarę jak dezinformacją obejmuje się nowe, aktualne pola. Podobnie z białymi plamami: starych ubywa, nowych przybywa — i tak trzeba to uznać za postęp, jako że dawniej tylko przybywało...

W błędzie są ci obserwatorzy, którzy sądzą, że wskazane przypadki ilustrują po prostu ustępowanie władzy pod naciskiem społecznym. Władza bynajmniej nie ustępuje, ona tylko przesuwając ciśnienie, oddaje z drugiego końca tyle, ile zabiera z pierwszego, nie dopuszcza do przerwania bibułki. Sytuacja pozostaje stacjonarna, lecz ma to — wbrew pozorom bezruchu — rozliczne konsekwencje. Może najważniejszą z nich jest efekt biegu w miejscu. Chociaż ekipa u władzy, zmuszona neutralizować coraz wyższe ciśnienia, podejmuje od dwóch lat coraz śmielsze wysiłki i chociaż tak wiele, zdawałoby się, ulega zmianie, to przecież zarazem wszyscy — i władza, i obywatele — mają poczucie, że nie ruszają z miejsca. — Tkwiemy w dołku — jak to się mawia na politycznych odprawach. Nie koniec na tym. Owo bowiem tkwienie w dołku samo z kolei maskuje zadziwiająco erozję systemu, o którym w końcu ani wrogowie, ani przyjaciele nie umieją powiedzieć, na czym się trzyma<sup>1</sup>. To już nie ideologia umiera, to zacierają się zarysy realnej struktury systemu. Kłopot dla teoretyków i sowietologów? Nie tylko. Ilekroć bowiem dochodzi do walki o system, na przykład do walki o reformę gospodarczą, ani proponenci ani oponenci nie są już jak gdyby w stanie dobrze

1. Ubawiła mnie w związku z tym efektem dyskusja redakcyjna z udziałem trzech sympatycznych socjologów — Blumsztajna, Tabina i Wildsteina — nadana 6 marca przez Wolną Europę. Byli naprawdę zrozpaczeni, że ten cholerny ustrój komunistyczny w Polsce już nawet nie jest totalitarny — a może jednak jest? — a trzyma się nie wiedzieć jak. Koniecznie trzeba też poznać rewelacyjny w tym względnie cykl dyskusyjny w *Życiu Gospodarczym* pt. „Niewiadome modelu docelowego”.

wytyczyć pola przetargu. Oznacza to, że walka toczy się na coraz niższym poziomie uświadomienia, przy coraz większej, po obu stronach, podatności na świadomość fałszywą... Kto nie wierzy, niech wspomni losy teorii polskiej reformy: z dokumentów ogłoszonych przez rząd i przez opozycję w roku 1987 nie można już w ogóle wywnioskować, co właściwie każda ze stron chciałaby osiągnąć. Z opozycją jeszcze pół biedy. Po pierwsze za nic nie odpowiada, po drugie wolno jej, a nawet wypada afiszować swój pluralizm, nie żałuje więc sobie, jej reforma zawiera wszystko, od gospodarki trójsektorowej i państwa opiekuńczego aż po kapitalizm wolnokonkurencyjny, byle by to była reforma właśnie, a nie, broń Boże, rewolucja. Im bardziej projekt zmian radykalny, tym awersja do rewolucji głębsza, co jest dobrą ilustracją naszego tematu. Reforma różni się od rewolucji wszak nie tylko i nie przede wszystkim brakiem otwartego gwałtu, lecz rolą władzy. Innymi słowy, najbardziej nawet radykalne opozycyjne projekty reformy gospodarczej zakładają zgodę władzy, której zatem projektodawcy przypisują milcząco zupełne rozchwianie już nie pryncypiów tylko, lecz wprost nawyków, rutyn i procedur rządzenia. Najgłębszym może paradoksem polskiej sytuacji jest, że to absurdalne oczekiwanie wydaje się niepozabawione słuszności.

Oto bowiem ekipa Jaruzelskiego podjęła wreszcie, po sześciu latach tuptania w miejscu, reformę gospodarczą. Tutaj powinien bym wyliczyć wszystkie zwykłe na temat tej reformy zastrzeżenia i wątpliwości, ale wole zamiast tego podkreślić jedno: nie jest to reforma pozorowana, przeciwnie, jest śmiertelnie poważna. Wiele wskazuje, że rządząca ekipa ma, podejmując ją, poczucie ostatniej szansy, i to nie jej własnej tylko, lecz w ogóle ustroju. Co, oczywiście, w niczym nie przesądza trafności poczynań.

Wzmiankowane wyżej sposoby na stacjonarność są z punktu widzenia i władzy, i ustroju kosztowne, zaś ich użyteczność krajowa stale się pogarsza.

Podejmując reformę gospodarczą, ekipa u władzy pragnie przejść od stacjonarności do stabilności. Podstawową przy tym zasadą jest rozpylanie odpowiedzialności dzięki żywiołowi rynku, który ma być zorganizowany tak, by przerosł doskonale wszelkie polityczne instrukcje centralne (sterowanie parametryczne), ale nie mógł zarazem stanowić substratu dla więzi poziomych, w tym — dla rzeczywiście niezależnych reprezentacji interesów. W ten sposób władza zamierza się zabezpieczyć przed efektem przenoszenia ewentualnych zaburzeń ze sfery gospodarczej na polityczną i z jednego ośrodka kryzysowego na inne, analogiczne. Szkopuł polega na tym, że nim reforma będzie ewentualnie mogła zzmocnić stabilność, jej wprowadzenie raczej ją narusza. W dwóch zasadniczych wymiarach.

Przede wszystkim, przez gwałtowne pogłębienie rozbieżności



w rządzącej warstwie nomenklatury. Nie chodzi jeszcze o politykę, tym mniej o ideologię, czyli o jakiegokolwiek frakcje. Chodzi o etologię rządzenia, o nawyki i obyczaje, o zachowania władzy. Reforma, przy której teraz każda zwłoka jest groźna, a dzwonki alarmowe w ogóle nie milkną, nie zostawia już właściwie czasu na naukę, kluczenie i wykrety.

Drugi zaś wymiar reformatorskiej destabilizacji dotyczy społeczeństwa. W przytoczonej już dyskusji coraz to ktoś się powoływał na lęk, który dziś paraliżuje polskie inicjatywy: żeby nie stało się jeszcze gorzej. Lęk przed ryzykiem. Łatwo dostrzec, że jest to kolejny owoc teorii mniejszego zła, która do niedawna stanowiła ostatni wariant legitymizacji władzy, a którą dzisiaj reformatorzy chcieliby wesprzeć nadzieją na poprawę. Jednakże powszechny lęk przed ryzykiem, strach, żeby nie było gorzej, to często w dziejach kryzysów społecznych odpowiednik ciszy przed burzą. W sytuacjach zbiorowej beznadziei, kiedy nic dobrego stać się nie może, przychodzi taki właśnie czas wspólnej zapaści, zastygnięcia, bezruchu. To z pozoru stan bardzo dogłębny, rodzaj katalepsji — i w rzeczy samej trwać może długo — ale jest on w istocie bardzo wrażliwy na zmianę jednego parametru: właśnie nadziei. Jeśli zdarzy się coś, co mimo bezruchu jeszcze trochę pogorszy położenie zbiorowości, łatwo o eksplozję ślepej frustracji. Jeśli zaś pojawi się odrobina nadziei, równie łatwo o nagłe rozpętanie owych upragnionych inicjatyw, a to znaczy też pomysłów, oczekiwań, niecierpliwości. Nie wiadomo, czego się bardziej powinna obawiać władza, która nie ma żadnych skłonności do samopoświęceń, natomiast jest ogromnie przywiązana do stołków. Czego bardziej: że reforma zawiedzie, czy że w nią ludzie uwierzą.

Istnieją dwa i tylko dwa motywy, dla których rządzący w komunizmie decydują się na reformowanie swego systemu. Jest to, po pierwsze, ich własna tendencja do emancypacji swego socjalnego bytu od miejsca w obsłudze systemu, po drugie zaś zagrożenie zewnętrzne, groźba utraty władzy wskutek osłabionej odporności i efektywności systemu — militarnej, ekonomicznej, politycznej czy moralnej. Na ogół nie chodzi zresztą o zagrożenie bezpośrednie wskutek agresywności przeciwnika, lecz o klęskę przez porównanie, o przegraną w rywalizacji, za którą dopiero idzie poczucie degradacji, podcinającej ostatni tytuł rządzących do władzy i ostatnią rzetelną więź między rządzącymi i rządzonymi, tzn. dumę narodową, a w ZSSR — imperialną. Żadna sterowana przez rządzących reforma komunizmu nie została, jak dotąd, przeprowadzona, a po każdej odwilży następował nie przymrozek tylko, lecz mróz. Ale bo też w przeciwnym razie groziła katastrofa: przekształcenie reformy w lawinę rewolucji, to znaczy odepchnięcie nomenklatury od steru. Wydaje się nadto, że

o ile grupie rządzącej udało się poprzez kolejne odwilże i zamrożenia zejść już dość daleko na drodze do samoistności, o tyle odporność i efektywność systemu nie tylko w rezultacie tego *stop-and-go*, wiata-prz niekończonych reform nie wzrosła, lecz zmalała, co jedynie do pewnego stopnia było w latach siedemdziesiątych równoważone przez zmniejszenie nacisku zewnętrznego, zwłaszcza przez dobrowolne rozbrojenie USA. Innymi słowy, w epoce Breżniewa (Gierka w PRL) reformizm rządzących został po stronie motywacji zwichnięty: nomenklatura skryształizowała się w samoistną, sytą klasę, pasożytniczą i dysfunkcyjną, w dwójnasób wrogą wszelkim eksperymentom, zarazem zaś odporność i efektywność — gospodarcza i moralna, lecz zapewne również militarna — systemu rozpaczliwie zmalała. Oznacza to, że kolejni reformatorzy nie mogą już liczyć na poważniejsze poparcie we własnych szeregach, nie mogą się oprzeć na bezpośrednim interesie rządzącej warstwy. Konsekwencje są bardzo rozległe. Szybko, choć z kraju na kraj nierównomiernie, przybywa w dyskursie rządzących odwołań do globalnego interesu państwa i do racji stanu. Pojawiają się, ze strony przywódców-reformatorów, niespodziewane czasem, obok naturalnych, preferencje dla tych pionów i grup zawodowych w łonie nomenklatury, które w przeciwieństwie do ośrodkowego aparatu partyjnego są choćby potencjalnie mniej konserwatywne, ponieważ mniej skorzystały na dotychczasowej ewolucji (inteligencja naukowo-techniczna) lub bardziej narażone na presję zewnętrzną (armia, policja). Wydarzenia polskie 1980/1981 stają się dla przyszłości reform w bloku doświadczeniem przełomowym. Ukazują mianowicie, jak rozpaczliwie wąska stała się u wejścia, w sierpniu 1980, ścieżka strategiczna, którą podążać by musiał przywódca-reformator, aby system usprawnić, i jak prędko gubi się ona w ogóle, stawiając uczestników „gry o reformę” wobec radykalnej alternatywy: ludowej rewolucji, podobno niemożliwej wobec groźby interwencji zbrojnej ZSSR, i nomenklaturowej kontrrewolucji. Kontrrewolucji — i trzeba obstawać przy tym słowie, choć była to kontrrewolucja równie łagodna, jak niedokonana była rewolucja, na którą stanowiła odpowiedź.

*Oto jednak w sześć lat po zwycięstwie kontrrewolucji ponawia się próbę reformy. Oznacza to najpewniej, że nie reformować już po prostu nie można. Ale — w świetle uprzednio powiedzianego — oznacza to zarazem, że reforma, tylko reforma, jest już niemożliwa. W roku 1988 reforma w Polsce będzie nieuchronnie równoznaczna z wyjściem z systemu — albo jej w ogóle nie będzie. Inaczej mówiąc, reforma w Polsce jest do pomyślenia już tylko jako rewolucja — najpierw odgórna.*

Strategię tak pojmowanej reformy daje się z grubsza określić. Przede wszystkim reforma gospodarcza (przywrócenie rynku i



przedsiębiorstw jako samodzielnych podmiotów gospodarowania) byłaby jak najściślej odpolityczniona, aby nie dopuścić do żadnej samoorganizacji interesów społecznych — przynajmniej do czasu nowej stabilizacji. Po drugie, nowo tworzone formy podmiotów gospodarczych (spółki z o.o., autentyczne kooperatywy itd.) pozwałyby na milczącą eliminację PZPR z zakładów pracy („usypianie popów”), przy jednoczesnym uaktywnieniu bardziej menadżersko nastawionej kadry partyjnej, którą zachęcano by nawet perspektywą stopniowego dojścia do własności. Odnotowałem kiedyś w warszawskiej *Krytyce*, pół żartem pół serio, że wzorem, jaki przysławca, być może, naszym partyjnym reformatorom jest owo jednorazowe dokonanie historyczne angielskiej arystokracji, która nie przestając być arystokracją, tzn. nie tracąc nic ze swego statusu społecznego i politycznego, umiała się przekształcić z panującej klasy jednego w część panującej klasy innego systemu. Myślę dziś, że mogłem to być ująć całkiem nawet na serio. Innymi słowy, siłą przewodnią reformy stałaby się ta część aktualnej nomenklatury, która byłaby gotowa stawiać na swój interes najbardziej globalny („państwowy”) i przyszłościowy, oderwawszy się od partykularyzmów bezpośrednich i doraźnych. Pociągnęłaby ona za sobą cały dość już rozległy sektor prywatny, wiejski i miejski. Postępy integracji nowego typu w RWPG, zwłaszcza integracji bilateralnej z ZSSR (wspólne przedsiębiorstwa), zabezpieczyłyby nowy układ od zewnątrz, zaś zachodni wierzyciele uradowani, że mają wreszcie nad Wisłą partnerów mówiących tym samym językiem, nie poskąpiliby zasilenia kredytowego. W kraju natomiast, w szerokiej opinii sens całej operacji skutecznie maskowałyby skonstatowana uprzednio degradacja świadomości społecznej. I tak, dzięki odgórnej rewolucji, komuniści odnieśliby w Polsce zwycięstwo na gruzach komunizmu. (*Te Deum* odśpiewałby zarząd Ruchu Polityki Realnej).

Powyzszy szkic strategii nie jest bynajmniej płodem prywatnego fantazjowania. Każdy jego fragment — łącznie z *Te Deum* — można znaleźć w dziesiątkach publikacji jak najbardziej rządowych i prorządowych. Myślę jednak, że podobnie jak już bywało w polskich dziejach, ten rozsądny w istocie scenariusz nie darmo sprawia wrażenie wariackiego rojenia. Jest zupełnie nierealny. Znaczy to, że reforma nie będzie odgórną rewolucją. Znaczy to, że reformy nie będzie. Chociaż, jako się rzekło, jest śmiertelnie poważną, ostatnią szansą.

Nierealność reformy jako odgórnej rewolucji polega, najprościej mówiąc, na braku dostatecznych sił społecznych, które mogłyby ją wesprzeć i na nią postawić. Braku po stronie władzy, gdzie nie tylko nie dałoby się uratować wszystkich, czy choćby większości, lecz gdzie likwidacji lub gruntownej a bolesnej przebudowie musiałaby ulec cała potężna rzesza socjalistycznej biuro-

kracji z ową 1,1-milionową „kadrami kierowniczą”. Aby dokonać aż takiej przebudowy, narzucić aż takie poświęcenia wśród rządzących, trzeba potężnej wizji przyszłości — i zupełnego zwątpienia o przeszłość. Pierwszej, jak powszechnie wiadomo, nie ma. Ale wbrew powierzchownym pozorom, nie ma również drugiego. Rządcy PRL są bardzo młodą klasą. Jeszcze dziesięć lat temu byli całkiem zadowoleni z siebie, swoich osiągnięć i swoich zdobyczy. Wprawdzie głęboki i długotrwały kryzys dokonuje erozji tego samopoczucia, lecz większość jest wciąż jeszcze w stadium zwątpienia raczej o przywództwie, niż o systemie. Co więcej — ilekroć po stronie rządzących pojawia się jakaś próba przyszłości, tylekroć wraz z tą wizją wskrzeszana jest natychmiast również przeszłość (twórczość M. F. Rakowskiego i jego akolitów jest pod tym względem znamieną)<sup>2</sup>.

Wszelako dla odgórnej rewolucji nie ma też wsparcia po stronie opozycyjnego społeczeństwa. Te grupy, które z definicji powinnyby chcieć wesprzeć wyżej opisaną rekapitalizację, komunistów bez komunizmu, a więc rozmaici przywaciarze, są obywatelsko warstwą martwą: jak to podkreślałem w poprzednim artykule, została ona stworzona niejako w zastępstwie życia publicznego. Będzie ostatnia, gdy przyjdzie w cokolwiek uwierzyć lub cokolwiek wesprzeć. Chłopi mogliby zachować się bardziej aktywnie — na wsi są ostatnio oznaki ożywienia publicznego, które oddziałuje nawet na organizacje satelickie jak ZSL czy kółka rolnicze — oni też jednak są najbardziej narażeni na wybryki i ucisk ze strony socjalistycznej biurokracji, doświadczają najdotkliwiej, jak wygląda „współpraca międzysektorowa”, u styku prywatnej gospodarki rodzinnej i wszystkich socjalistycznych monopoli, od państwa aż po gminną spółdzielnię. Decydując się szukać wsparcia u chłopów przywódca-reformator musiałby im rzucić w zastaw i na pożarcie całą wielusettyśieczną kohortę przedstawicieli i rzeczników „socjalizmu dla wsi”. A wypada też pamiętać, że to nadwyżka demograficzna i margines socjalny wsi dostarczają kadr i rekruta dla wszystkich formacji zbrojnych władzy ludowej i że zatem pomiędzy prywatną gospodarką rodzinną, i tym bardziej farmerską, a socjalistycznym państwem odbywa się przetarg i licytacja o młodych, w której jest tym więcej antagonizmu otwartego, im rekrutacja daje mniej honoru i korzyści, gospodarzenie natomiast wydaje się mieć perspektywę. Wieś jest tym terenem społecznym w PRL, który nigdy po 1981 nie stracił nadziei i który właśnie dlatego co roku zbiera rozczarowania.

2. Nasuwa się porównanie z rewizjonizmem Gorbaczowa, który jednym tchem „zwraca się ku przyszłości” i „wraca do Lenina”. Ale wypada zauważyć, że Gorbaczow i jego ludzie nie mają za sobą, inaczej niż Polacy, doświadczenia rewizjonizmu i jego klęski. Ich iluzje są więc dynamiczne — i lepiej usprawiedliwione.



Wśród ludzi pracy miast „odgórną rewolucja” nie znajdzie w 1988 roku żadnego wsparcia. Wiadomo doskonale, że wszystko, co udaje się, jak dotąd, zrobić dla podtrzymania realnych dochodów ludzi pracy będących od 1982 pod nieustanną presją, jest pochodną strachu rządzących. Jeśli ten strach osłabnie, z tej choćby, na przykład, racji, że władza będzie przekonana o społecznym poparciu dla reform, albo wskutek kapitulancja opozycji, albo dlatego wreszcie, że nowo uruchamiane mechanizmy ekonomiczne zostaną dostatecznie wdrożone, by można było zastosować przymus ekonomiczny (bankructwa i przymusowe przeprowadzki do hoteli robotniczych z alternatywą „bezrobocia technologicznego” dla opornych...) — wówczas „przyłoży się robotom”. I wówczas w obronie poziomu płac realnych nie pozostanie robotom nic poza „królewską drogą” reformy: przedłużaniem tygodnia pracy, jeszcze i jeszcze. Na Śląsku, w tej najbardziej umęczonej polskiej prowincji, w zakładach niegórnictwa robotnicy (i robotnice) już dziś dopraszają się, aby im umożliwić pracę w soboty i niedziele, jak górnikom i za „górnictwo złotówki” (to taka nowa waluta w PRL, jeszcze jedna, do zakupów w specjalnych sklepach, w „Gewexach”).

Kierownicze postaci polskiej opozycji i otaczające je wszystkie trzy środowiska — działacze regionalni „Solidarności”, śmietanka intelektualna i akademicka, wreszcie wpływowo koła kościelne, zwłaszcza spośród kleru zakonnego, niezależnego od kurii — wydają się aż nadto dobrze świadome dylematu reformy niezbędnej a niemożliwej. Dlatego niezmordowanie oferują władzy współpracę w odblokowaniu niemożliwości, choć teraz chodzi już tylko o pakt antykryzysowy, a o tym, żeby jak Polak z Polakiem — nikt już nie wspomina. Ekipa Jaruzelskiego, z równą konsekwencją, ofertę tę odrzuca. Są po temu dwa rozsądne powody.

Po pierwsze, wbrew subiektywnym intencjom opozycyjnej elity, którą ciągle jeszcze gnębi szok 13 grudnia (możemy jednak zawinili przez brak umiarkowania?), jej oferta współpracy jest dziś obiektywnie znacznie kosztowniejsza dla władzy niż umowy sierpniowe z 1980. Chodzi wszak o współpracę w odgórną rewolucji, przez co każdy, najskromniejszy warunek opozycji przybiera natychmiast cechy warunku politycznego. Zresztą świadomość tej nieuchronnej polityczności przenika również do najbardziej umiarkowanych głów, o czym świadczy chociażby upowszechnianie się postulatu radykalnych zmian w wymiarze sprawiedliwości. Krótko mówiąc, ceną współpracy jest podzielenie się władzą, koniec najcenniejszego monopolu. Komuniści mogą się wyrzec komunizmu, ale nie tego klejnotu rodzinnego.

Po drugie wszakże nie są też wcale przekonani, że wyrzekając się warto. Opozycja, która sama wyraża się z lekceważeniem o własnych siłach i która z masochistyczną uciechą głosi upadek

własnego autorytetu, nie jest na pewno przekonującym partnerem. Cóż stąd, że w razie poważniejszych zaburzeń społecznych, te autorytety mogłyby na nowo rozbrzmieć, siły zaś natychmiast powrócić, jeśli właśnie do zaburzeń dojść nie śmie i nie dojdzie, a oferowana współpraca służyć ma niedopuszczeniu do nich. Innymi słowy, z perspektywy władzy oferta opozycji przypomina dowcip faceta, który brał łapówki od kandydatów na studia: tym, którzy się nie dostali, zwracał, a szczęśliwcy mu jeszcze dziękowali. Do zaburzeń nie dojdzie — rozumuje Jaruzelski — bo mamy władzę, rozładujemy zapalniki i mamy ZOMO, po diabła płacić łapówki Wałęsie, wystarczy Rada Konsultacyjna. Jeszcze inaczej mówiąc, władza jest coraz bardziej skłonna lekceważyć opozycję i dopatrywać się jądra problemu w działalności własnej. Najbardziej doświadczeni opozycjoniści — jak Jacek Kuroń („Krajobraz po bitwie”, artykuły w *Tygodniku Mazowsze* ostrzegające przed „zadymą”) — radzą ze swej strony oderwać się od przeciwnika, poświęcić najpierw odzyskaniu sił związkowych, stawiać na „nowy ewolucjonizm”. Ten termin, który pochodzi od Macieja Zalewskiego z RKW Mazowsza, wskazuje dobrze na granice nowej taktyki, skądinąd abstrakcyjnie rozsądnej. Jest to raz jeszcze, jak tylekroć w dziejach PRL, taktyka słuszna, ale niemożliwa. Na ewolucjonizm, nowy czy stary, nie ma dość czasu. Rzeczywisty problem opozycji nie na tym polega, żeby nie dopuścić do zadymy. Od tego naprawdę jest ZOMO, a obawa, żeby nie złamać kariery Gorbaczowa jakimiś zadymami w Pcmiu pachnie manią wielkości. Rzeczywisty problem opozycji tkwi nie w tym, czy Polsce grożą czy nie grożą zaburzenia, ale w tym, że w Polsce, wraz z drugim etapem reformy, zaczęło się, chcemy czy nie chcemy, wychodzenie z systemu w nieznane, zaczęła się niemożliwa rewolucja. Stan parcia. Ale czy to będzie poród, czy niedrożność jelit?

### Co dalej?

Najpierw — niewiele. Wprawdzie reformowanie staje się już w PRL sposobem bycia i zatem będzie kontynuowane, ale z odgórną rewolucji pozostanie głównie odgórność. Świadczy o tym dobitnie zapowiedź dyktatorskich pełnomocnictw dla rządu (Jaruzelski na kongresie ZSL), potwierdzająca, że władze centralne rezygnują już z uruchomienia samoczynnego reformatorskiego zapłonu na dole, w urzędach i przedsiębiorstwach.

Tak więc będziemy mieli dużo reformowania. Wszyscy będą udawać, że wiedzą dokładnie, czego chcą i że chytrze manewrują programami wykonawczymi. Naprawdę będą tylko wiedzieć, czego by chcieli, gdyby chcieli mogli, zamiast celów pozostaną im



pragnienia. Z odgórnej rewolucji zrobi się odgórna ewolucja, co wielu powita westchnieniem ulgi. Jakoż przerażające są koszty rewolucji, wstręt budzą jej ekscesy, wyniki zaś tak bardzo odbiegają od nadziei! Kosztów ewolucji nikt na szczęście nie liczy, do obrzydliwości jej dnia powszedniego bez ekscesów przywyknąć łatwo, a za wyniki też przecie nikt nie poręczy. Cokolwiek jednak myślą o tym elity polityczne kraju, licznik kosztów naszej ewolucji bije nieprzerwanie. Przede wszystkim dla polskich „średniaków”. W każdej warstwie społecznej oni właśnie są zmuszeni od dziesięciu już lat zżerać substancję swoich gospodarstw domowych, redukować wydatki wyższego rządu, rezygnować ze snobizmów, ambicji, nawyków i nadziei, których gromadzenie było dla nich przez 30 lat główną pozytywną treścią życia i „układania się” w realnym socjalizmie. Nieliczna grupa spośród średniaków potrafi zapewne nadal, najrozmaitszymi metodami, przebijać barierę i przedostawać się na pole społeczne, na którym znów będzie się dorabiać, choć tym razem już nie budując socjalizmu lecz go reformując (demontując). Nawet oni jednak pozbawieni będą na ogół trwałego poczucia awansu, między innymi dlatego, że ich zdobycze mieć będą charakter czysto monetarny, zasadzać się na kursach dewizowych, które odzwierciedlają stan wygórowania importowego rynku, antycypują zarazem coraz szybszą degradację pieniądza krajowego<sup>3</sup>. Proces ten niszczy nieuchronnie środek społeczny, podstawę stabilności, i pewne jest także, że nie może być powstrzymany, dopóki trwać będzie aktualna polityka. W istocie każda reforma obliczona na wzrost efektywności zakładałaby wprowadzenie procesy rozwarstwiania — ale jednak nie tylko takie procesy i nie tylko owe słynne „działania osłonowe”, które nikogo nie osłaniają przed degradacją, lecz pełnią rolę materaca na śmietniku, gdzie lądują ludzie, rodziny i grupy społeczne wyrzucone tam przez reformę. Skuteczne reformy musiałyby przede wszystkim zakładać znacznie szybszą... skuteczność. Relatywnemu niszczeniu środka musi towarzyszyć szybszy awans całości. Wszystko to wymagałoby radykalnego zwrotu w polityce ekonomicznej, nie zaś biernego oczekiwania, że w efekcie zamierzonej zmiany struktur zwrot taki kiedyś nastąpi.

3. Dla uprzytomnienia problemu, taka oto prosta kalkulacja. Wymieniając 10 tys. dolarów US na złotówki mamy 15 mln złotych, które w PKO przyniosą nam 4,5 mln złotych oprocentowania rocznego, a więc dochód równy 10-krotnej aktualnej płacy przeciętnej. Wszelako za te same 10 tys. dolarów możemy nabyć zaledwie niewielkie mieszkanie własnościowe. Przyjmując, że w przeciętnej rodzinie pracują dwie osoby, otrzymujemy jako wynik: statystyczna rodzina polska żyje z równowartości odsetek od kapitału będącego równowartością 8 metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej. Oto miara deformacji.

Po drugie gdzie jak gdzie, ale w PRL najpewniej nie może się udać żadna reforma, która stawia tylko na rywalizację, na „ratuj się kto może”, bez współdziałania, to znaczy bez solidarności. Nie dlatego, iżby Polacy mieli być ludem szczególnie szlachetnym czy naznaczonym, ale dlatego, że ich doświadczenie historyczne, które uczyniło tożsamość narodową do tego stopnia funkcją idei, ich aktualna struktura społeczna z absolutnie dominującą rolą wielkiego przedsiębiorstwa, i wreszcie ich sytuacja polityczna, sprawiająca, że państwo polskie jest w rękach władzy niechcianej, przeciwstawiającej się społeczeństwu i jego bardziej swobodnemu rozwojowi — czynią nieuchronnym zaangażowanie więzi międzyludzkiej jako elementu sprawczego każdej reformy udatnej. Nie jest tak, iżby można było wydzielić różne płaszczyzny życia, jedną, na której Polak ze swą rodziną będzie reformowany, wydajny, konkurencyjny, rynkowy i sam sobie, oraz inną, gdzie realizować mógłby, jak w klubie osiedlowym, swoje potrzeby więzi społecznej. Przejmując i nawet propagując na swoją modłę idee samorządowe, władza zdaje się to rozumieć, ale jej sposób rozumienia pozbawia te idee autentyczności, obrzydza je ludziom i wśród innych efektów — osłabia jeszcze bardziej szanse reformy.

W tym miejscu niespodziewanie powracają szanse programu „Solidarności” z jej pierwszego i jedyne, jak dotąd, zjazdu: Programu Rzeczypospolitej Samorządnej. Tylekroć odkładany *ad acta*, zdaje się on dziś odzyskiwać przynajmniej rangę propozycji do rozpatrzenia. Przestaje też być utopią, którą był nieuchronnie, dopóki reprezentował koncepcję ułożenia współżycia z władzą, dopinającą właśnie przygotowania do stanu wojennego, natomiast odzyskuje ostrość jako narzędzie walki politycznej. Program Rzeczypospolitej Samorządnej jest jedynym zgłoszonym przez opozycję rzeczywistym kontrprogramem reformy, która mogłaby ocalić kraj przed dalszą degradacją.

Ostatnie miesiące zaowocowały jednak również pewnym ożywieniem politycznym na dole. Nie zawdzięczało ono nic inwencji elit, było w całości efektem wkraczania na scenę społeczną nowego pokolenia. Ubolewano wielokrotnie, że w Polsce pokolenia wymieniają się co kilka, czy co dziesięć lat, że zrywa się ciągłość itd.; cóż jednak począć, jeśli co dziesięć lat przychodzi do starcia i do porażki, którą elity wynoszą nieodmiennie do rangi klęski na długo nieodwołalnej, nie pozostawiającej poza pracą organiczną żadnej alternatywy? Zbyt częste pokoleniowe cezury są tylko pochodną tego zarażenia klęską. Bowiem nowe pokolenie pojawia się wówczas, gdy dorastają roczniki, które owej porażki nie przeżyły wcale jako klęski — lecz jako wielką przygodę... Nie chciałbym tu jednak chłopięcej naiwności przeciwstawiać mądrości postarzałych Hiobów. 13 grudnia 1981 nie zdołano wszak po-



łożyć kresu przygodzie „Solidarności” i nowe pokolenie ma dzięki temu dokąd przyjąć, rozbudzone.

Nie od razu, oczywiście, i nie zawsze to spotkanie pokoleń odbywa się bezkolizyjnie.

Ruch Wolność i Pokój był najpierw traktowany bardzo podejrzliwie zarówno przez umiarkowane skrzydło „Solidarności” — jako że naruszał bez żenady nietykalność instytucji wojskowych i świętego przymierza ze wschodnim mocarstwem — jak i przez radykałów, mających mu za złe pokucie się z pacyfistami zachodnimi. Dziś jednak WiP „przebił się” u wszystkich: pacyfistom na Zachodzie korzystnie uzupełnił ich wizję świata, zaś oficerom w Warszawie uświadamia stopniowo, że represjonując odmowę hołdowniczej rotę przysięgi i żądanie rzeczywiście zastępczej służby wojskowej, ładują się sami w polityczną ślepią uliczkę, w której na oczach całego kraju i zagranicy przegrywają z garstką młokosów. Naczelny wódz argumentujący w telewizji (słynne „spotkanie z młodzieżą”), że ci chłopcy, którzy nie chcą służyć w wojsku, to po prostu mięczaki, dał niejako miarę tej politycznej przegranej. Teraz słychać już z kół oficjalnych, że i rotę się zmienią, i zastępczą służbę dopuści.

Niedawno rozpoczęta historia nowej PPS ukazuje inny z kolei wariant nieporozumień i trudności przy spotkaniu pokoleń. Wbrew historycznej reakcji wstępnej starszego pokolenia na próbę radykalizacji ideowej deklaracji nowej partii, najistotniejsza nie jest tu kwestia ewentualnej infiltracji policyjnej czy też obecności autentycznych lub mitycznych trockistów: w dziejach dawnej PPS też było niemało infiltracji policyjnych, a i trockistów by się znalazło, nie ma żadnej racji, by rzecz dramatyzować i demonizować, choć po gorzkich doświadczeniach „Solidarności”, jawnej a zwłaszcza potem podziemnej, można też zrozumieć motywy starszych działaczy, poczuwających się do odpowiedzialności za młodych. Bowiem to właśnie młodzi i najmłodszy mają w PPS zdecydowaną większość. Najważniejsza jednak okazała się sprawa języka i wyrażające się nim różnice postaw i perspektyw. Młodzi w PPS nie akceptują już języka „Solidarności”, w tym najpierw sensie, że nie akceptują absolutnego pierwszeństwa, które „Solidarność” przyznała zasadzie *non-violence*, zamazując tym samym — jak to się zawsze dzieje w polityce, gdy chce się jakiejś zasadzie przyznać absolutne pierwszeństwo — rozmaite znaczenia, poziomy znaczeniowe tego terminu. Bowiem jest *non-violence* jako zasada religijna, stanowiąca pokój najwyższą wartością w polityce — choć kiedy już zaczyna się wojna, która w tym myśleniu, inaczej niż u Clausewitza i Lenina, nie jest polityki kontynuacją, lecz zaprzeczeniem, wolno i trzeba walczyć. Jest też *non-violence*, jak u Gandhiego, regułą walki skutecznej mas liczebnie przemoż-

nych i choć bezbronnych, to jednak solidarnych. Taka *non-violence* była najbliższa intencjom NSZZ „Solidarność”, z tym jednak europejskim, anarchosyndykalistycznym uzupełnieniem, że przemożność owych mas nie tylko na ich liczbie się zasadza, lecz nade wszystko na ich funkcji społecznej: raczej strajk robotniczy niż samowystarczalność chłopska staje się modelem skutecznej walki bez gwałtu. Dalej mamy *non-violence* pragmatyka, jako wskazówkę praktyczną, że również w walce obowiązują reguły ekonomii: stosowanie gwałtu jest na ogół nieopłacalne. I wreszcie *non-violence* najbardziej powszechna, pospolita aż do szarości: *non-violence* tych, którzy są zawsze słabsi i których doświadczenie nauczyło, że tam, gdzie biją, oni zawsze oberwą najwięcej. Dodajmy do tego wszystkiego całą rozmaitość technicznych sposobów zadawania gwałtu, wymieszajmy starannie i będziemy mieli Jerzego Urbana i generała Pożogi konferencje prasowe o terrorystach strzelających ulotkami, zasmradzających mieszkania przez dziurkę od klucza lub, o zgrozo, podsłuchujących milicyjne konwersacje... Młodzi z nowej PPS odrzucając tak konstruowany szantaż propagandowy i proklamując „prawo do samoobrony klasy robotniczej” nie głoszą bynajmniej terroryzmu — komitetem samoobrony społecznej nazywał się również KOR — ale z pewnością odchodzą od kanonicznej wykładni języka NSZZ „Solidarność” i z pewnością nie mają też jasnej świadomości, co to oznacza. Drugim — choć w istocie pierwszym w czasie, bo obecnym już w samej inicjatywie wskrzeszenia PPS — odejściem od języka NSZZ „Solidarność” jest swoisty nawrót, u młodych bardzo wyraźny, do szukania tożsamości klasowej, która by stanowiła trzeci, pośredniczący element pomiędzy tak dobitnie wyrażaną przez NSZZ „Solidarność” uniwersalnością solidarnego społeczeństwa i partykularyzmami organizacji związkowych i samorządowych. Oczywiście, trwająca już od kilku lat tendencja do samookreślenia prawicy (również prawicy opozycyjnej) aspirującej zresztą do roli większości, musiała taką krystalizację jak w nowej PPS przyspieszyć. Zresztą, jest tam tego przeciwstawienia więcej: relatywny radykalizm nowej PPS jest także odpowiedzią na wyraźną na prawicy tendencję do „układów” z rządem.

Podkreśliwszy w ten sposób, w czym nowe pokolenie, tj. oczywiście ta jego część, która skłonna jest wejść w politykę, odstępuje od klasycznego języka i myślenia NSZZ „Solidarność”, wcale nie przewiduję rozejścia się i rozvodu. Przeciwnie: przewiduję, iż właśnie wielki związek ewoluować będzie w stronę tych młodych. Istnieją po temu dowody w dyskusjach, które dziś dominują w czasie spotkań związkowych — w Warszawie i na Śląsku miałem w ostatnich miesiącach sposobność jako korespondent *Le Point* im się przysłuchiwać. Z solidarnościowych „dołów”, tam gdzie podejmowane są działania reaktywujące NSZZ



„Solidarność”, wyłaniają się dość prędko nowe postaci przewodników, którzy nie należą, niezależnie od swego wieku, do historycznego aktywu związku, nie odwołują się do sierpnia 1980 i umów społecznych i nie są zarażeni klęską.

Wreszcie sygnałem zmian w środowiskach solidarnościowych, tym razem akademickich, jest ich postawa wobec trzeciej dużej manifestacji rozbudzenia młodych, to jest wobec wskrzeszenia Niezależnego Zrzeszenia Studentów, które po 8 marca 1988 stało się w kilku największych uczelniach humanistycznych kraju organizacją bardzo popularną, ale którego wyraźne ożywienie datuje się od początków 1987 roku. „Solidarność” była najpierw zaskoczona tym sukcesem, co nie dziwota, jeśli zważyć, że młodzi organizatorzy sami się go nie spodziewali. Na początku 1988 nawet dla najostrożniejszych akademickich rzeczników porozumienia z władzą stało się oczywiste, że ta ostatnia wprawdzie coraz więcej wypuszcza mydlin, ale że osławiona demokratyzacja jest najzupełniejszym pustosłowiem (inaczej niż oktrojowana, niemniej autentyczna liberalizacja). Nawet ci, którzy w listopadzie i grudniu, w miesiącach euforycznych zapowiedzi przemian, udzielali wywiadów mających być z ich strony zakładem dobrej woli, wyznają teraz — jest koniec marca 1988 — że dziś mówiliby inaczej. Kiedy więc NZS zgłosił bez żenady postulat pełnej samorządności uczelni wyższych, i to z pełnym udziałem młodszych pracowników naukowych i studentów, a także konsekwentny postulat nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, solidarnościowe środowiska akademickie w znakomitej większości poparły młodych.

Kończąc, raz jeszcze — co dalej? Ze wszystkiego wyżej odnotowanego wynika niedwuznacznie: *rozwój walki politycznej, w której rzeczywistą stawką będzie przewodnictwo w wychodzeniu z systemu realnego socjalizmu — i zarazem bardzo wyraźne rozproszenie sił opozycyjnych, angażujących się w tę walkę. Zatem coś w rodzaju partyzantki, niezagrażającej bezpośrednio centrum władzy, lecz za to dysponującej rezerwami społecznymi przez nią samą jeszcze nie rozpoznanyymi.* Sprowadzenie takiej walki do kwestii „zadym” i eksplozji, któremu towarzyszy niedopowiadana, a czasem i dopowiadana opinia, iż to one właśnie, „zadymy” i eksplozje, są istotą rewolucji oddolnych — nie wymaga, jak sądzę, poważnej polemiki. Dowodzi w każdym razie, że nie wszyscy głupcy są po stronie rewolucji.

Krzysztof WOLICKI

korespondent *Le Point* w Warszawie

Warszawa w marcu 1988.

## Kronika kulturalna

### Kota Jeleńskiego portret z pamięci

Z MARY McCARTHY ROZMAWIA RENATA GORCZYŃSKA

RENATA GORCZYŃSKA: — *W jakich okolicznościach poznała pani Konstantego Jeleńskiego?*

MARY McCARTHY: — Na moście w Wenecji. W mojej pamięci niewyraźnie zachowała się ta scena. Szliśmy naprzeciwko siebie; on był w czymś towarzystwie. Tak nastąpiło poznanie. Kiedy to było? Pięćdziesiąty dziewiąty rok? Nie, to musiało być w pięćdziesiątym ósmym. Kot był już wtedy z Leonor Fini. Pisałam wówczas książkę o Wenecji i spędziłam tam dwa kolejne lata. Było to po prostu spotkanie na moście, nic więcej, i nie widziałam Kota później aż do czasu przyjazdu do Paryża. On chyba wtedy do mnie powiedział *How do you do* — tak sądzę, po angielsku — i tyle. Jak myślę, towarzyszący mu mężczyzna musiał być Anglikiem albo Amerykaninem. Gdy obaj przedstawili mi się, wydaje mi się, że padło też nazwisko Leonor, a ja oczywiście wiedziałam, kim ona jest.

R.G.: — *Jak to się dzieje, że pamięta pani taki — zdawałoby się — nieznaczący epizod? Nic się takiego wówczas nie wydarzyło — to była jakby redakcja państwa przyjacieli.*

M.McC.: — Nie wiem dlaczego. Pamiętam, że było to letnie popołudnie, w pobliżu Salute. A teraz postaram się przypomnieć sobie okoliczności naszego następnego spotkania — w 1960 roku w Paryżu. Tu nastąpi dygresja osobista. Rok przedtem odwiedziłam Polskę i tam spotkałam mojego przyszłego męża. Zostałam wysłana wtedy do Europy przez Departament Stanu, za



prezydentury Eisenhowera. Był taki program wymiany specjalistów, wymiany kulturalnej. Wysłano tam wtedy Saula Bellowa, a zaraz potem mnie. Pojechałam do Polski tydzień po nim, a stamtąd do Jugosławii i do Anglii. Spędziłam wtedy w Polsce jakieś dwa tygodnie, może nieco dłużej. Mój Jim [*James West, dyplomata amerykański — przyp. R.G.*] był wtedy na placówce w Warszawie. Wskutek konfliktów z Polską nie było obsadzonego stanowiska *attaché* kulturalnego i dlatego Jim opiekował się programem wymiany; w taki oto sposób spotkaliśmy się. Znalazłam się zatem w Warszawie, gdzie miałam wygłosić cykl wykładów, w wieczór poprzedzający sylwestra 1959 roku. I zakochałam się w sobie z Jimem. Jim był wtedy jeszcze żonaty, a ja — nie rozwiedziona, więc było sporo komplikacji. Nasz związek trwał nadal, kiedy z Polski pojechałam do Jugosławii, a stamtąd do Anglii na dalszą część wykładów. Gdy zamieszkałam w Paryżu, Jim odwiedzał mnie dojeżdżając z Warszawy. Wreszcie udało się nam obojgu rozwieść, co jednak zajęło sporo czasu. Ja go także odwiedziłam w tym czasie w Warszawie — zatrzymałam się w Grand Hotelu — okropne, ponure miejsce. Za pierwszym razem, w ramach programu Departamentu Stanu, mieszkałam w Bristolu — uroczy stary hotel; oczywiście było pełno agentów i aparatury podsłuchowej zamontowanej w suficie, ale jakież miłe wnętrza! Grand Hotel był dość złowrogą budowlą, ale wybrałam go celowo — żeby pozostać niedostrzeżona. Nikt ze znanych intelektualistów polskich nie pokazywał się w Grand Hotelu, tak więc miałam zapewnione *incognito*. Mieszkałam tam dość długo jesienią 1960 roku. Popołudniami chodziłam na spacer w okolicy, po tej części miasta, która była pozbawiona jakiegokolwiek oblicza — dość zasadnicza różnica w porównaniu z dzielnicą, w której był Bristol. Tam kawiarnie, zabytkowe placówki — a tu ponurość, może nawet prawdziwsza dla ducha powojennej Polski. W każdym razie, byłam w Polsce. Wróciłam tam po wzięciu udziału w Kongresie Wolności Kultury w Berlinie w czerwcu 1960 roku. Całkiem możliwe, że Miłosz też tam wtedy był, ale nie jestem tego zupełnie pewna. Wydaje mi się, że po raz pierwszy spotkałam go w Mediolanie. No dobrze, więc z Warszawy przeniosłam się do Paryża, czekając na te nasze rozgłosy. Mieszkałam wtedy w ósemce, niedaleko rue Marbeuf. I wtedy ponownie spotkałam Kota. Chyba przez François Bondy, jak sobie to przypominam. Pamiętam takie *cocktail party*, jeszcze zanim wyszłam za męża za Jima, gdzie go zauważyłam wśród gości. Kot wtedy wstał i rozmawialiśmy oboje o książce Nathalie Sarraute *Planetarium* — oboje bardzo podobnie ją ocenialiśmy. Nastąpiło między nami bardzo szybkie porozumienie. I wkrótce po tym przyjęciu pobraliśmy się z Jimem w Paryżu — piętnastego kwietnia 1961 roku w merostwie ósemki, a potem poszliśmy na *lunch*

do restauracji Orgival. Zaprosiłam wtedy Kota i na ślub i na *lunch*. Przyszedł sam, bez Leonor. Jestem pewna, że jest na naszych zdjęciach ślubnych. To, że tak szybko nawiązaliśmy przyjaźń ma wiele wspólnego z moim pobytom w Polsce. Gdybym go poznała przedtem, sprawy nie rozwinęłyby się w takim tempie.

R.G.: — *A zatem była to przyjaźń od pierwszego wejrzenia, jeśli można się tak wyrazić?*

M.McC.: — Tak właśnie było.

R.G.: — *Co w pani oczach było w nim tak niezwykłego?*

M.McC.: — Szybkość jego intelektu, szybkość działania, wesołość, otwartość — nie wiem właściwie, jak to nazwać. Z pewnością bardzo ważnym elementem była jego imponująca znajomość języków obcych. Znał doskonale włoski, francuski, angielski. Ja też wtedy dobrze porozumiewałam się po włosku. Mieliśmy tyle wspólnych lektur, widzieliśmy tyle tych samych obrazów. Także w myśleniu politycznym wiele mieliśmy ze sobą wspólnego. Przypomnę, że Kot pisywał do *Preuves* komentarze polityczne. Czytałam je jeszcze zanim zorientowałam się, kim był ich autor, w sensie metaforycznym kim był. Myślę, że podpisywał wtedy te teksty najczęściej jako K.A.J.

R.G.: — *Musiło być ich sporo, bo François Bondy w swoim wspomnieniu pośmiertnym o Konstantym Jeleńskim napisał, że był on autorem ponad stu artykułów i komentarzy w Preuves. Muszę powiedzieć, że szybkość, z jaką je pisał i w ogóle z jaką pisał komentarze w wielu językach jest dla mnie imponująca...*

M.McC.: — Tak, tak, i jego punkt widzenia niemal z całą pewnością nie był tożsamy z tym, jaki reprezentowali ludzie piszący do *Preuves*, raczej ze skłonnościami pravicowymi.

R.G.: — *Dlaczego zatem w pani mniemaniu był on akceptowany w Preuves?*

M.McC.: — Przypuszczalnie przez pomyłkę [*śmiech*]. Bondy był głęboko do Kota przywiązany i on sam nie był ani za prawicą, ani też za lewicą. Bondy jest człowiekiem opanowanym, z dobrą moim zdaniem, oceną ludzi i sytuacji. I był w mojej opinii szalenie przywiązany do Kota w owych latach *Preuves*.

R.G.: — *Jak często spotykała się pani z Jeleńskim w Paryżu? Bo przecież Paryż jest w końcu miastem pani osiedlenia.*

M.McC.: — O tak, najczęściej żyliśmy z Jimem w Paryżu, przez



dziesięć-jedenastcie miesięcy w roku. I nadal mamy to samo mieszkanie, przy rue de Rennes, w szóstce. Jak często widywaliśmy się? Kilka razy w miesiącu, prócz lata, które Kot z Leonor na ogół spędzali na Korsyce. A my — też z Paryża wyjeżdżaliśmy często na całe lato. Poza tym oboje z Leonor dużo podróżowali, a potem coraz częściej jeździli do różnych uzdrowisk w związku z jej artretyzmem. W każdym razie w Paryżu często wpadał do naszego mieszkania po południu, na *drink'a* lub na herbatę. Przychodził też na *lunch*, no i oczywiście na przyjęcia. Niekiedy zapraszał mnie na *lunch* do restauracji w ósemce, niedaleko miejsca, w którym pracował. Myślę teraz, że trudno mi wyobrazić sobie powrót do Paryża, gdy on już nie żyje, ponieważ był tak ważną częścią mojego życia. Kiedy przyjeżdżaliśmy do Paryża, Kot zawsze od razu telefonował i pytał: kiedy mogę się z wami zobaczyć? Bardzo często widywaliśmy się podczas *L'Événement*...

R.G.: — *Pani mówi o Maju 68... W jednym ze szkiców w zbiorze „Zbiegi okoliczności” Jeleński pisze o swoim uniesieniu nastrojami ulicy paryskiej i reakcją młodzieży. Przeczytałam na nowo jego „Zbiegi okoliczności” i jestem pod wielkim wrażeniem tej ponownej lektury. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak głębokim był Jeleński pisarzem i jak ciekawa była jego koncepcja świata i ludzi. Jeleński tak chętnie służył innym — przede wszystkim poetom, których tłumaczył na francuski, malarzom, których wielce sobie cenił i pisał o nich, że on sam jako autonomiczny myśliciel pozostawał jakby często w cieniu. Miał w sobie potrzebę podziwiania dzieła innych.*

M.McC.: — Tak, i ja to doskonale rozumiem.

R.G.: — *Dla niektórych przynajmniej Jeleński był człowiekiem, który spełniał się poprzez służbę innym artystom. Jako tłumacz poezji polskiej, jako tłumacz i komentator Gombrowicza. I dopiero powtórna lektura „Zbiegów okoliczności” pozwoliła mi chyba w pełni docenić jego intelekt i jego prometejskiego, buntowniczego ducha. Myślę, że jego stawa będzie rosnąć z latami.*

M.McC.: — Poproszę mojego syna, żeby „Zbiegi okoliczności” przeczytał po polsku. Czy jest szansa na wydanie tej książki po francusku?

R.G.: — *Są takie plany — Fayard myśli o ogłoszeniu tomu esejów Jeleńskiego, ale to potrwa. Jednym z jego ostatnich projektów literackich przed śmiercią było przełożenie na francuski poezji Zbigniewa Herberta, ale tego już nie zdołał dokończyć.*

Chciałabym panią zapytać, czy pamięta pani konkretne roz-

*mowy z Konstantym Jeleńskim, albo tematy, które częściej niż inne powracały w waszych dyskusjach?*

M.McC.: — Nie wiem, czy będę w tym względzie pomocna. Nie potrafię sobie tak na poczekaniu przypomnieć. Rozmawialiśmy o tak wielu sprawach. Pamiętam jedną z ostatnich z nim rozmów, na temat francuskich terrorystów i ich procesu, jaki miał się wkrótce rozpocząć. Na dodatek, ta grupa terrorystów przez trzy lata żyła w ukryciu nad Loarą, niedaleko miejsca, gdzie Kot i Leonor Fini mieli swój dom. Było to jedno z wydarzeń, które mnie pasjonowało i śledziłam doniesienia w gazetach i w telewizji na ten temat. Pamiętam uwagę Kota, który postanowił mnie zawrócić na racjonalną drogę myślenia. Powiedziałam wtedy coś w rodzaju: jak to niezwykle, że policja, prawie bez przygotowania, niemal zbiegiem okoliczności odkryła tę fermę, w której cała grupa mieszkała. Kot odparł, że nie było w tym żadnego przypadku i że cała ta sprawa była częścią walk wewnętrznych rządu francuskiego, tajnej policji i tak dalej. Pamiętam, że starał mi się to jasno wyłożyć przy stoliku podczas *lunch'u* — *con brio*, z wielkim zapałem, nawet ze śmiechem. Mówił o machinacjach policji francuskiej. Tak, rozmawialiśmy wiele o polityce. Kot był doskonale poinformowany, dużo lepiej niż ja, i był też bardzo przenikliwym obserwatorem. Poruszał się we Francji w tak wielu sferach... Pamiętam, wracając z powrotem do *L'Événement*, widywałam Kota wtedy bardzo często. Jim był wtedy głównie poza Paryżem, przyjechał już w trakcie tych wydarzeń, a więc byłam sama. Och, to wspaniałe czasy, pełne życia i radości. Kot przychodził do mnie wieczorami, i Bondy, wielu innych ludzi — Steven Spender, cała grupa naszych przyjaciół-Holendrów, Grecy. Francuzi po prostu ucięli kontakty ze swoimi cudzoziemskimi przyjaciółmi. To była poważna sprawa i wielu z nich miało dzieci, które demonstrowały na ulicach, jak dzieci pary moich przyjaciół na przykład. Przecież były barykady! I dlatego my, cudzoziemcy, zbieraliśmy się w swoim gronie. Bondy zdołał dostać benzynę i czasami brał nas na kolacje samochodem, ale najczęściej spacerowaliśmy po ulicach. Kot często mi towarzyszył. Raz pamiętam Leonor zatelefonowała w panice, szukając go po całym mieście. Kot mieszkął po drugiej stronie rzeki, przy rue de la Vrillière, nie tak daleko od Montparnassu, gdzie było nasze mieszkanie, ale Leonor była bardzo niespokojna — bała się, że Kot za dużo wypił. Myślę, że wszyscy z nas wówczas sporo pili. Na szczęście mogłam ją zapewnić, że Kot jest już w drodze do domu i że wkrótce tam się pojawi, i tak się stało.

R.G.: — *Był on człowiekiem bez trwogi, jak sądzę...*

M.McC.: — Tak, absolutnie niepomnym na niebezpieczeństwo.



Kot opowiedział mi wspaniałą historię pod koniec wypadków majowych, dotyczącą Sławomira Mrożka. Jak mi powiedział Kot, tę historię słyszał od samego Mrożka, kiedy wszystko się już skończyło. Brzmi to mniej więcej tak: Mrozek przez cały ten czas nie wychodził prawie z domu. Siedział u siebie, zdaje się, że mieszkał wtedy w pobliżu rue de Seine. No, mniejsza o to, nie pamiętam jego ówczesnego adresu. A zatem Mrozek siedział w swoim pokoju i chyba słuchał radia, bo to jedyne co mógł robić. Pani pewnie w tym czasie nie było w Paryżu, więc to trudno sobie wyobrazić: nie było komunikacji. Telefony lokalne działały, i na przykład ktoś z zagranicy mógł się do Francji dozwonić, ale połączenia z zagranicą z Paryża były zablokowane. Zaraz, czy to dobrze pamiętam? Zdaje się było tak, że jeśli ktoś miał automatyczną centralę telefoniczną, mógł się dodzwonić za granicę, ale nie przez telefonistkę. I tak przez pięć tygodni. Nie było wody, no bardzo ciekawa sytuacja — wesoła, żywa. Wracam do Mrożka, który siedział w swoim pokoju i, jak potem opowiadał Kotowi, miał wizję dwóch aniołów przez cały miesiąc walczących o jego duszę. Jeden z aniołów był poetą romantycznym, z falującymi włosami, jasną karnacją, idealista, łatwo sobie wyobrazić, po której był stronie; a drugi anioł był niedużą istotą, trochę zdeformowaną, prawie garbusem [śmiech] — i cynikiem. I te dwa anioły walczyły przez cały miesiąc w pokoju Mrożka o jego duszę. A po koniec miesiąca anioły zapadły w sen, zupełnie wyczerpane. To wspaniała historia i pamiętam dokładnie, jak Kot mi ją opowiadał. Słowem, wiele mówiliśmy o polityce.

R.G.: — *Czy Jeleński opowiadał pani kiedyś o swoich doświadczeniach w czasie drugiej wojny światowej, o swoich losach i przypadkach żołnierza? O czołgu, który bodaj wjechał na minę i on jeden z całej załogi uratował się?*

M.McC.: — Nie, do wspomnień wojennych prawie nie wracał, choć przypominam sobie, że rozmawialiśmy o jego pobycie w Szkocji, kiedy tam stacjonował w jednostce polskiej. Potem po wielu latach spotkałam jedną ze szkockich arystokratek — nie pamiętam w tej chwili jej nazwiska. Wspominała mi, że ci młodzi Polacy grali z nimi w brydża.

R.G.: — *To Jeleński opowiadał raczej anegdoty na temat swojego doświadczenia, nie mówił o horrorach...*

M.McC.: — Tak, to racja.

R.G.: — *A czy temat wiecznego buntownictwa też się nie pojawia w państwa rozmowach? Tego tematu też nie potrzebowali państwo dyskutować, mając tak zbliżone poglądy...*

M.McC.: — Nie, nigdyśmy nie omawiali tej sprawy jako koncepcji. Rozmawialiśmy natomiast często o innych ludziach — nazwijmy to, że uprawialiśmy plotki z klasą.

R.G.: — *Myszę, że do pewnego stopnia Konstanty Jeleński był człowiekiem z ducha osiemnastowiecznym. Libertynem, racjonalistą, ale miał też w sobie pewne cechy człowieka o potrzebach metafizycznych, wbrew tak zdecydowanie głoszonemu ateizmowi. A przecież osiemnasty wiek miał oba te nurty! Może po prostu nie możemy zupełnie wyzwolić się od metafizyki. Jeleński napisał w „Zbiegach okoliczności”, że nie wierzy w Boga, ale wierzy w cuda — to dla mnie jest wystarczające wyznanie wiary — może nieortodoksyjnej, ale wiary.*

M.McC.: — Tak, ja nie wierzę w cuda.

R.G.: — *Z myślą o przyszłych biografach Jeleńskiego chciałam panią zapytać, czy zachowały się jego listy do pani.*

M.McC.: — Tak, z pewnością, ale nie mam ich tu ze sobą. Sprzedałam swoje archiwa Vassar College [uczelnia której Mary McCarthy jest absolwentką] w 1984 roku, a więc tam te listy można by znaleźć, ale nie są jeszcze skatalogowane. Mogę jednak pani już teraz powiedzieć, że nie są zbyt interesujące. Myszę, że Kot pisał je do mnie głównie po angielsku. Gdyby pisał po francusku, byłyby dużo bardziej interesujące. Są to raczej krótkie doniesienia — co nowego, kilka plotek, plany podróży, uwagi o wystawach Leonor. Nic w nich nie ma o ideach, nic z wymiany poglądów.

R.G.: — *A zdjęcia zachowane w pani archiwum domowym?*

M.McC.: — Z pewnością, ale Bóg tylko wie, gdzie je znaleźć. Pokazałam pani zdjęcie Kota czytającego moją ostatnią książkę [„How I grew” — przyp. RG, wyd. 1986]. To zdjęcie przysłała mi teraz Leonor. Kot był kiedyś u nas w Maine i spędził z nami lato — myszę, że to było w 1971 roku. Pojechaliliśmy wtedy razem na festyn wiejski. Robiliśmy zdjęcia i pamiętam Kota w otoczeniu zwierząt tam wystawianych. Kotowi bardzo się tam podobało i powiedział, że ta część Maine przypomina mu Litwę, której nie widział od czasów dzieciństwa.

R.G.: — *Wróćmy do jego pisarstwa. Czy pani czytała w miarę systematycznie jego artykuły i eseje?*

M.McC.: — Po zamknięciu Preuves Kot publikował je głównie po polsku, więc tych oczywiście nie mogłam znać. A z pisanych



w innych językach — to te, które on sam często mi przynosił. Oczywiście, znam jego komentarze na temat malarstwa Leonor Fini, ogłoszone w książce jej poświęconej. A! Kot przetłumaczył mój tekst o Janie Lebensteinie. I jeszcze pamiętam jego szkic o malarzu [Hans Bellmer?] nieco perwersyjnym. Prócz tego — niewiele mogłam czytać jego rzeczy, bo były po prostu dla mnie niedostępne. A, owszem, przypominam sobie jego wstęp do antologii poezji polskiej.

R.G.: — *Jeleński musiał państwa zapoznać z wieloma swoimi przyjaciółmi.*

M.McC.: — O, tak. Znaliśmy dobrze Lebensteina — dzięki Kotowi. Kupiliśmy kilka jego obrazów. Chodziliśmy do jego pracowni i byliśmy świadkami różnych jego perturbacji uczuciowych. Kot zapoznał nas też z Janem Kottem, z którym zaprzyjaźniliśmy się. Ostatni raz kiedy widziałam Kotta, zwróciłam się do niego „Janek”. Był tym bardzo zaskoczony, bo, jak powiedział, jedynie Polacy mówili do niego w ten sposób. Iwazzkiewicza poznałam sama, nie przez Kota, kiedy byłam w Polsce. Także Słonimskiego. Później, jak pamiętam, spotykałam Słonimskiego w Paryżu u Kota, tak samo jak i Iwazzkiewicza. Kot poznał mnie też z Arturem Międzyrzeckim. I z wieloma innymi Polakami.

R.G.: — *W pani mniemaniu, kim był Jeleński? Jak go pani widziała w sensie narodowości, związków kulturowych? Czy był, jak się to mawia, Europejczykiem, obywatelem świata? Czy też raczej przeważały w nim cechy przypisywane Polakom? Jak by go pani określiła w kategoriach przynależności?*

M.McC.: — Dla mnie był Polakiem, chociaż praktycznie tam się nie wychował. Myślę, że to było w jego naturze — rodzaj elegancji, odwagi. Sposób bycia, mieszanina smutku i wesołości. Powiedziałabym, że Polacy mają pewne wspólne cechy z Irlandczykami. Oczywiście, Kot był bardzo europejski, ale w głębi — tak jak to widzę — był Polakiem.

R.G.: — *Czy poznała pani przez Jeleńskiego Jerzego Giedroycia i inne osoby związane z Kulturą?*

M.McC.: — Nigdy nie spotkałam Giedroycia. Natomiast Kot poznał mnie z Józefem Czapskim; myślę, że obaj mieli dla siebie wielkie uwielbienie. Wspaniały wysoki stary ptak! Kupiliśmy z Jimem jeden z jego obrazów. Kot bardzo wysoko cenił malarstwo Czapskiego i wiele nam o tym mówił. Zastanawiam się, czy pisał coś o tym.

R.G.: — *Tak, poświęcił mu kilka pięknych esejów po polsku. Czy pani podzielała sądy estetyczne Jeleńskiego, jeśli idzie o malarstwo?*

M.McC.: — Raczej tak. Bardzo lubię prace Lebensteina. I teraz przypominam sobie wspaniałe historie, które Kot opowiadał o nim. Była taka historia o pewnym wieczorze, na którym był Miłosz, Lebenstein i on. Prawdziwy polski wieczór pijacki. I pod koniec tego wieczoru Miłosz miał powiedzieć: — Nazywasz siebie malarzem! To namaluj krowę! [*śmiech*]. I następnego dnia — opowiadał dalej Kot — Janek obudził się z okropnym kacem, wstał, podszedł do sztalug i zaczął malować krowę. Tak podobno zaczął się nowy figuratywny okres w twórczości Lebensteina. Miał wtedy namalować coś w rodzaju krowy jaskiniowej, prehistorycznej. No, nie wiem, czy to prawda, ale uwielbiam tę historię.

R.G.: — *Mogłaby pani opowiedzieć o ostatnim spotkaniu z Kottem?*

M.McC.: — To musiało być pod koniec marca [1987] lub na początku kwietnia. Myślę, że przyszedł na lunch z Cecylią Wojewodą, moją tłumaczką polską. Nie mam przy sobie kalendarzy, zostały w Paryżu, więc nie mogę sprawdzić dokładnej daty. Kot zachowywał się niesłuchanie taktownie, z czułością. Było to miłe z jego strony i bardzo mu byłam wdzięczna za to spotkanie. Potem pojechaliśmy z Jimem do Rzymu. Tuż przed naszym planowanym powrotem do Paryża dowiedzieliśmy się od Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, że z Kottem nie jest dobrze. Ogronomie się tym zmartwiłam i zaraz po powrocie do Paryża telefonowałam wiele razy pod numer, który mi Gustaw zostawił — nie domowy Kota, żeby nie nękać zbytnio Leonor. Nikt jednak nigdy tam nie odpowiadał, więc pomyślałam, że pewnie stan jego zdrowia się poprawił i że oboje udali się w podróż, którą planowali — do Włoch. I wreszcie coś mnie zmusiło — przypuszczalnie instynkt — żeby jednak zatelefonować do Leonor. Jeden z jej amerykańskich młodych przyjaciół podniósł słuchawkę i kiedy usłyszała moje nazwisko, powiedział wreszcie, że Kot jest w szpitalu. Gdybym wcześniej zdołała się dodzwonić, może mogłabym jeszcze zamienić z nim słowo. Zdaje się, że po przewiezieniu do szpitala był jeszcze przytomny przez jeden dzień. Mogę się mylić. Kiedy dotarliśmy z Jimem do szpitala — już był nieprzytomny. Wyglądał pięknie.

R.G.: — *Nie było widać cierpienia na jego twarzy?*

M.McC.: — Żadnego. Wyglądał... rozmarzony. Bardzo młodo,



delikatnie. Lekko uśmiechnięty. Chciało się poznać jego świadomość... próbując odgadnąć, co się w nim dzieje.

R.G.: — *W pani słowach jest ulga. On nie umarł okrutną śmiercią.*

M.McC.: — Tak, to wielka ulga. Lekarze powiedzieli, że z jego świadomością już nic się nie dzieje, ponieważ mózg już nie funkcjonuje.

R.G.: — *Był więc sztucznie utrzymywany przy życiu przez jakiś czas...*

M.McC.: — Tak. Ale bez wątpienia były z jego strony jakieś reakcje. Podobno reagował zrazu na uścisk ręki, w pierwszych dniach. Potem już nie. Mimo to nie można się było powstrzymać od dotknięcia jego ręki, żeby choć w ten sposób cokolwiek mu przekazać, ale nie — już nie było żadnej reakcji. Wyglądał tak pięknie. I młodo. Miał obnażone ramiona, i może dlatego wyglądał jak młody człowiek na plaży.

R.G.: — *Wspomniała mi pani przedtem, w przerwie w nagraniach, że gdy Jeleński zapuścił brodę, tłumaczył ten akt filozoficznie. Czy mogłaby pani tę jego uwagę powtórzyć?*

M.McC.: — Powiedział mi, że był to sposób na spotkanie się ze starością. Wtedy myślałam, że to trochę kokieteria z jego strony, bo zapuścił brodę wiele lat temu. Ale teraz myślę, że była w tym świadoma decyzja: by to co jest wewnątrz i to co jest zewnątrz powłoką przypasować do siebie, żeby wewnętrzność i zewnętrzność korespondowały ze sobą. Powiedział coś, co może teraz mówię jako swoją własną interpretację: trzeba zmienić zewnątrzność po to, by zmieniło się wewnątrz. Ponieważ to, co jest na zewnątrz, jest odbieralne przez innych. Zapuścił więc brodę i zmienił się w karykaturę starego człowieka. Nie myślę, żeby ten zamiysł działał w jego przypadku. Broda okazała się kostiumem niedoskonałym. Prześwitywała przez nią wewnętrzność.

R.G.: — *Co mi przypomina, że Jan Kott opowiadał mi niedawno o swoim ostatnim spotkaniu z Jeleńskim, bodaj sprzed trzech lat, w Paryżu. I wtedy Kot mu powiedział: Nam, co mieliśmy tak długą młodość, byliśmy tak uprzywilejowani, bardzo trudno zaakceptować starość, bardzo trudno zaakceptować wizerunek siebie jako starego człowieka.*

M.McC.: — Tak, to ten sam temat: jak przekroczyć ten most.

Podczas jednej z naszych ostatnich rozmów telefonicznych Jeleński mówił mi, że rozkoszuje się emeryturą, że nie wstaje rano, że wiele czyta. Ale to była bardzo krótka emerytura. Nie myślałam, nie spodziewałam się, że rzeczywiście cieszyła go sytuacja emeryta. No, ale tak mi powiedział.

*Powyższą rozmowę, z niewielkimi skrótami, przeprowadziłam z Mary McCarthy 19 października 1987 w miejscowości Redhook w stanie New York, w tymczasowym domu pisarki. W semestrze jesiennym prowadziła ona zajęcia z literatury dla studentów miejscowego Bard College. Pragnę mojej rozmówczyni wyrazić wdzięczność za wielogodzinną gościnę, otwartość i gotowość kontynuowania wspomnień o Konstantym Jeleńskim oraz obietnicę udostępnienia zdjęć i innych dokumentów związanych z jego osobą i historią ich przyjaźni.*

Renata GORCZYŃSKA

## Bez łez i bez złudzeń

(JESZCZE RAZ O ZLP)

„... w konfrontacji z tym przeciwnikiem nie ma posunięć neutralnych”.

(J. J. Szczepański, „Kadencja”)

1

Temat ten jest już właściwie trochę oklepany i pewno nie warto by do niego wracać, gdyby nie mocno kontrowersyjny tekst Teresy Kuczyńskiej pt. „Czy warto opłakiwać związki twórcze?”, zamieszczony w podwójnym numerze *Kultury* (styczeń-luty br.). Nie idzie przy tym o kolejne wyważanie drzwi i stwierdzenie, że do pisania książek niepotrzebne są żadne związki, stowarzyszenia, czy inne zbiorowe ciała. O tym wiadomo każdemu. Problem tkwi w czymś całkiem innym i chyba właśnie dlatego nie wolno go bagatelizować.

Przypomnijmy raz jeszcze: Związek Literatów Polskich nie tylko został rozwiązany; jego nazwa została przechwycona, a pod tym ukradzionym szyldem rozpoczęła działalność posłuszna, naznaczona przez władze grupa dyspozycyjnych pisarzy. Zastosowano więc w tym wypadku wariant jeszcze bardziej perfidny niż



przy likwidowaniu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, gdzie tworząc nową organizację, dodano jednak do skrótu SDP owe trzy literki: PRL.

Powie ktoś, że to bez znaczenia. Że to zabieg czysto zewnętrzny. Tak jednak nie jest. Owa zmyśloność miała swój dobrze przemyślany sens. Rzecz jasna, adresowana była nie do inteligentnej elity, ale do zwykłego, umęczonego codziennością zjadacza chleba, którego — nie łudźmy się — systematycznie odmierzana porcja informacji płynąca z telewizji i gazet w jakimś stopniu jednak indoktrynuje. W „masowych środkach przekazu” aż się roi od nominowanych przez władze mocarzy pióra. Nikt prawie nie zna ich dzieł, ale nie o to przecież idzie, lecz o sam fakt publicznego zaistnienia.

Ten raj dla miernot i oportunistów musiał siłą rzeczy dodatkowo podzielić środowisko, co było zresztą celem pomysłodawców. Ludzie o bardziej miękkich karkach łamali się, kusili ich miraż stypendiów, łatwiejszego dostępu do wydawnictw i rozmaitych czasopism, gwałtownie poszukujących dobrze widzianych autorów. Łamała się też część ludzi sędziwych, a takich w środowisku literackim wielu. Bano się na zapas — jak to w realnym socjalizmie — o garść dostępnych świadczeń: pomoc lekarską, kartkowe przydziały żywności, emerytury, a nawet, o zgrozo, godny pochówek. To właśnie miał im na pewno zabezpieczyć „neozlep”, do którego z obrzydzeniem, bo z obrzydzeniem, ale niektórzy się zapisywali. Większość jednak — co chyba zrozumiałe — fakt likwidacji ZLP odczuła jako osobistą zniewagę. Nowi związkowi promieniści robili zresztą wszystko, aby to uczucie jeszcze pogłębić; tu publiczny donos o dolarowych profitach, płynących rzekomo dla wszystkich, którzy odmówili wstąpienia do nowego Związku, tu inne kalumnie i pomówienia, nie mówiąc już o szykanach i utrudnieniach pomniejszego kalibru.

W Warszawie i Krakowie można było zapewne wrzeszczać ramionami i nie zwracać na to uwagi. W tych silnych ośrodkach ludzie w warunkach każdego zagrożenia nie czuli się jednak aż tak samotni. Inaczej na prowincji; poza osamotnieniem coraz trudniejsza stawała się zwykła egzystencja tych, co chcieli zachować twarz i pozostać w zgodzie z własnym sumieniem. Należało — co było jasne — odciąć się od oficjalnych czasopism, radia, telewizji, autorskich spotkań, pogodzić się z brakiem jakichkolwiek form socjalnego zabezpieczenia. Z kościelnym parasolem bywało i bywa różnie. Zresztą parasol to nie taki znów pojemny — nie każdy potrafi się pod nim zmieścić, nie każdego też podeń się dopuszcza, a ostatnio i ta osłona jakby wyraźnie się skurczyła. Podobnie z drugim obiegiem, którego „moce przerobowe” są zresztą poza stolicą nader ograniczone, a nadto, wbrew pozorom, nie zawsze łatwo o dotarcie pod właściwy adres. Poza tym taka decyzja niesie za sobą określone konsekwencje, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, gdzie policyjne ucho i oko jest bardziej wyostrzone. Doświadczenie mówi także, że i zwykłe towarzyskie spotkanie w szerszym literackim gronie może być potraktowane

jako próba zamachu stanu i spowodować nieoczekiwaną wizytę esbeków. No i przesłuchania, rewizje i wiele innych szykan za grzech środowiskowych kontaktów.

Czyż w tych warunkach można się dziwić, że tęsknota za własnym, jawnym i wiarygodnym kręgiem organizacyjnym jest wciąż żywa? I czy w zaistniałych warunkach należy istotnie zapomnieć i pogodzić się definitywnie z likwidatorską decyzją władzy, która przecież na to tylko czeka?

We wspomnieniach wielu członków dawnego ZLP istnieją nie tylko karty ciemne, jak to stara się przypominać Kuczyńska. Nawet i w najgorszych czasach nie działa się tam nikomu godna mściwej pamięci krzywda, a ZLP działał przecież w PRL, a nie na księżycu. Chcę zresztą mówić nie o Związku sprzed lat, lecz o tym z trudem wywalczonym, który w grudniu 1980 roku wybrał swój nowy, wiarygodny zarząd.

Warto też chyba w tym miejscu wspomnieć, że radośnie przywoływana argumentacja, jak było w ZLP straszno, nie powinna raczej podierać się pismem *Poezja*, redagowanym lata całe przez pieśczocho partyjnego betonu Bohdana Drozdowskiego. Skróty protokołów z zebrań sekcji poezji w latach 1950-1954, to kąsek rzeczywiście smaczny, ale pomieszczony przez ten właśnie organ stanąć może kością w gardle każdemu, kto choć trochę orientuje się w prawdziwych intencjach i podtekstach tej proponowanej przez *Poezję* „polityki jawności”. Umyślnie tylko sygnalizuję, a nie rozwijam tego tematu — zaprowadziłyby nas na pewno na znacznie szersze polityczne wody.

## 2

Czas, który i w tej sprawie miał być nadzieją władzy, okazał się jednak zawodny. Nowy Związek nie powiększa się, nie przybywa żadnych bardziej znaczących nazwisk. Także i profity dla członków okazały się znacznie skromniejsze niż obiecywano. Tu i ówdzie zaczęły się nawet pojawiać płaczliwe listy do redakcji, w których zrzeszeni w „neozlep” autorzy skarżą się, że „pisarze opozycyjni mają lepiej, bo im się wznawia i wydaje, a ci uczciwi i prawowierni napotykaają na same kłopoty”. Szczególnie boleściwą tonacją odznaczał się zamieszczony w *Polityce* list Moniki Warneńskiej, zasłużonej kombatantki pióra z okresu wojny w Wietnamie. Została ona jednak wkrótce skarcona przez samego Witolda Nawrockiego, który w swoim organie (*Kultural!*) pouczył ją o niewłaściwości takiego stanowiska. Miał ku temu podstawy: robiący bokami wydawcy, którym narzucono horrendalne podatki, zaczynają coraz częściej objawiać swoje niezadowolone. Trudno się dziwić: książkowe buble zaśmiecają stosami księgarskie lady i magazyny. Zdarzyło się też coś zupełnie wyjątkowego: Wydawnictwo Literackie podjęło decyzję o spaleniu zalegających i przez nikogo niechcianych książkowych zapasów. Jak reforma, to reforma. To magiczne, a jakże już wytarte słowo wdarło się przecież i do tej branży. Daleko jeszcze do wolnej



gry sił na oficjalnym wydawniczym rynku, ale że coś odrobine drgnęło, to fakt. Do tego ten „wolnościowy” wiatr od wschodu, który akurat w literaturze wydaje się być najbardziej widoczny.

W tej sytuacji w ośrodkach władzy włączone zostały najwyraźniej ostrzegawcze dzwonki. Sygnalizowały one, że trzeba dokonać kolejnego przesterowania. Na początek zelały obręcze cenzury, rozpoczęło się także coraz bardziej widoczne kokietowanie pisarzy, którzy wprawdzie przynależnością do nowego Związku kompromitować się nie chcieli, ale ich mało zaangażowana postawa dawała pewne nadzieje na możliwość jakichś pojednawczych pertraktacji. Tych „ludzi środka” — jak ich umownie nazwano — poproszono na świąteczne salony do ministra Krawczuka, które zaszczylił także sam generał. Niektórzy z nich wystąpili także w telewizji, gdzie obok szerokiego przedstawienia własnych planów twórczych, znaleźli też czas, aby wspomnieć o podziałach i nieprawidłowościach w funkcjonowaniu współczesnego życia literackiego w kraju. Taki dodatek uznali widać za konieczny, aby wilk był syty i owca cała. Ostatecznie do każdej postawy można dorobić ideologię. Słowem: zachowali twarz, nie tracąc pupy, jak to wcale trafnie określił pewien nieprzejednany dowcipniś.

3

Nie trzeba wcale być zbyt bystrym obserwatorem, aby zauważyć, że prezes Wojciech Zukrowski nie czuje się już zbyt pewnie w swojej funkcji na aktualnym zakręcie historii. Przecież ma wieloletnie doświadczenie i widzi, jak władza gorączkowo węszy, kogo by tu zaproponować na jego miejsce. Czemuż innemu służyć umięgi wobec — dla przykładu — Władysława Terleckiego czy Wiesława Myślińskiego, że wymienię choćby te dwa nazwiska pisarzy poważnych, z uznanym dorobkiem, a których na pewno towarzyszył Wasilewski *et consortes* widzieliby chętnie na fotelu prezesa.

Wiąże się to prawdopodobnie z planami bliżej nieokreślonej integracji, integracji — rzecz jasna — sterowanej i na dyktownych odgórnie warunkach. Nie ulega jednak wątpliwości, że kokietowani pisarze — przyjmując chętnie dowody uznania — nie mają najmniejszego zamiaru dać się uwikłać w tę przejrzytą grę.

Nieco światła na te plany rzucić może kuriozalny wywiad, którego na łamach *Polityki* (6 lutego br.) udzielił prezes Zukrowski i to nie komu innemu, jak Kazimierzowi Koźniewskiemu, jednemu z głównych trupicieli prawowitego ZLP. Już sam tytuł zmusza do przetarcia ze zdumienia oczu: „Zróbcie ten gest...”

W tym właśnie duchu pan Kazimierz toczy z panem Wojciechem wdzięczną pogawerkę. Trudno się powstrzymać aby nie zacytować choć kilku najbardziej pikantnych zdań. Powiada Koźniewski:

„Zdobądźcie się na jeszcze jeden gest! Na najbliższym Zjeździe

Walnym, nie zważając na litery statutu, zebrani delegaci powinni oświadczyć, że Związek, ten sam Związek istnieje siedemdziesiąt lat i wszyscy, którzy byli jego członkami w lecie 1983 roku, są nimi nadal. I że byli nimi bez przerwy”.

Komentarze wydają się zbyteczne. A więc cały ten pasztet — jak się okazuje — był nikomu niepotrzebny. Może zresztą w ogóle wszystkim się to śniło, a na jawie pozostały jedynie niezapłacone składki w starych legitymacjach ZLP?

4

Sternicy polityki kulturalnej zdają się jakby nie mieć w ogóle wyobraźni. Aż dziwne, bo przecież dawny kolega związkowy, a obecnie sekretarz KC Andrzej Wasilewski winien znać środowiskowe nastroje. Są przecież jednoznaczne: ktoś z ludzi w ten sposób potraktowanych będzie chciał podać rękę na zgodę Zukrowskiemu, Koźniewskiemu, Auderskiej czy Nawrockiemu? Ta przepaść jest już nie do zasypania, to oczywiste. Ale czy oznacza to, że w jakiejś przyszłości należy zrezygnować ze starań o reaktywowanie Związku? Tak sądzić mogą tylko ci, którym jakakolwiek środowiskowa wspólnota do niczego nie jest potrzebna. Owszem, są i tacy i nikt nie może im mieć tego za złe. Ale są i inni i to w przygniatającej większości. Literatura, to przecież nie tylko tych kilku wielkich i uznanych. Młodzi, wchodzący dopiero na literacką arenę, potrzebują, jak nigdy, pomocy, rady i ograniczonego choćby poczucia, że nie są sami. Dotyczy to także wielu utalentowanych autorów, żyjących z dala od opiniodawczych salonów.

Pora na wnioski. Nie są zbyt rewelacyjne, bo rewelacyjne być nie mogą. Jedno jest pewne: na pewno nie należy zakładać rąk i zadowalać się sytuacją, jaka jest. Na pewno też nie wolno w żadnym wypadku ulegać jakimkolwiek mirażom pojednania, bo będzie to kolejna fikcja. Władza ma teraz usta pełne pluralizmu. Może warto sprawdzić raz jeszcze, jak to wygląda w praktyce. Powrót do dawnych form organizacyjnych jest oczywiście niemożliwy. Trzeba więc uparcie próbować form odmiennych.

J. J. Szczepański („Pluralizm bez dialogu” — dyskusja o sytuacji książki i pisarzy. *Tygodnik Powszechny*, 6 marca br.) proponuje podjęcie starań o powołanie innej lub innych organizacji. Ma na myśli kluby, które dawałyby uprawnienia przysługujące członkom ZLP. Może właśnie tu tkwi szansa? Może także w innych jeszcze działaniach regionalnych, które z czasem ulec by mogły scaleniu. Trzeba próbować. Możliwości będą się zapewne rysować w zależności od rozwoju ogólnej sytuacji. Należy w każdym razie być baczny obserwatorem wszystkich posunięć władzy i wyciągać z nich konkretne wnioski. I na pewno nie dawać wiary, że wszystko co minęło było takie złe i niepotrzebne.



## LENINGRADZKI „CZARNOBYL KULTURALNY”

Tak właśnie — „Czarnobyl kulturalny” — określił akademik Dymitr Lichaczow skutki pożaru, którego pastwą padły zbiory Biblioteki sowieckiej Akademii Nauk w Leningradzie. 15 lutego po 19 godzinach walki z płomieniami zdołano ugasić pożar — stało się to jednak kosztem zalania wodą aplikowaną przez 25 staroswieckich sikawek. Według oficjalnych informacji spalono ponad pół miliona książek, a reszta czteromilionowego księgozbioru wymaga zabiegów konserwatorskich na olbrzymią skalę.

Bibliotekę Akademii Nauk powołał do życia Piotr Wielki w roku 1724, jest więc znacznie starsza od uważanej za bibliotekę narodową Biblioteki im. Sałtykowa-Szczedrina, powstałej w łatwym do zapamiętania roku 1795 na fundamencie wywiezionej z Warszawy Biblioteki Załuskich, z której „trafiło” w pierwszych dwu transportach 382.640 książek i 24.574 rycin. Na mocy traktatu ryzykując część tych zbiorów, powiększonych dalszymi konfiskatami, wróciła do Polski. Członkowie Komisji Rewindykacyjnej uważali, że w Leningradzie pozostało ok. 300.000 książek i trudna do bliższego określenia liczba rękopisów i archiwów. Część ich pozostała w zniszczonej obecnie przez pożar Bibliotece Akademii Nauk.

Z informacji zawartych w „Zbiorach polskich” Edwarda Chwalewika, wydanych w roku 1926-1927 (tj. przed ukończeniem prac Komisji Rewindykacyjnej) wynika, że Biblioteka Akademii Nauk „obfitowała w liczne stare druki i rękopisy oraz różne zabytki polskie, lub Polski dotyczące”. Wchodziły one m.in. w skład złupionej w roku 1714 Biblioteki Mitawskiej z pałacu książąt kurlandzkich w Mitawie (przechrzczonej w roku 1918 na Jelgawę). W latach 1561-1737, do śmierci ostatniego z Kettlerów, Kurlandię łączyły bliskie związki z Rzeczpospolitą, której była lennem. Tym tłumaczą się polonica w Bibliotece Mitawskiej.

W Bibliotece Akademii Nauk znajdowała się także część zbiorów nieświeższych Radziwiłłów, wywiezionych w roku 1770 i 1790; nie wykluczam, że część ich mogła wrócić do Polski w ramach rewindykacji. Łupem polskim były także dublety numizmatów z Gabinetu Numizmatycznego Uniwersytetu Warszawskiego, przekazane z Ermitażu oraz biblioteka Gimnazjum Płockiego, której część zdołano odzyskać.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

LEKARSTWA

**BONY DOLAROWE**

dewizowe konta bankowe A

**HASKOBA Ltd**

81 Cromwell Road, London SW7 5BP

Tel. 01-373 7888. Telex London 23919



## Ci, co odeszli

### Roman Karst (1911-1988)

Roman Karst, wybitny polski germanista, pisarz, eseista i tłumacz, zmarł na atak serca 15 lutego bieżącego roku w Stony Brook na Long Island w stanie Nowy Jork. Autor prac o Kafce i Mannie, które weszły do czołowych lektur polskiej i światowej germanistyki, Roman Karst należał do tej grupy polskich uczonych i pisarzy pochodzenia żydowskiego, którzy zmuszeni byli opuścić kraj po wydarzeniach 1968 roku. Po przybyciu do Stanów Zjednoczonych w 1969 roku został profesorem germanistyki i literatury porównawczej na Uniwersytecie Stanowym w Stony Brook, gdzie wykładał do odejścia na emeryturę w 1981 roku. Wówczas w jednej ze swych kart świątecznych, które wymienialiśmy od lat, pisał: „Należę do gatunku, który zoologdy określają mianem *homo emeritus*. Ale nie składam broni, piszę, pracuję, czytam”. Nie tylko zresztą siedział i pisał; podróżował dość intensywnie, zapraszany na wykłady na uniwersytety niemieckie i uniwersytet wiedeński oraz na międzynarodowe seminaria. Do końca w pełni sił, w ostatnim liście świątecznym, pisany kilka tygodni przed śmiercią, zapewniał: „Ja mówiam się dobrze, pracuję co najmniej kilka godzin dziennie, a resztę dnia spędzam przy lekturze...”.

Emigracja pomarcowa i konieczność stworzenia sobie nowej egzystencji w dojrzałym wieku na obcym gruncie nie były jedyne doświadczeniem, które Karst dzielił ze swym pokoleniem. Urodzony 17 marca 1911 roku w Tyczynie, w Rzeszowskim, ukończył w 1929 gimnazjum w Rzeszowie, a w 1936 Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Był więc jednym z tych licznych polskich intelektualistów, których droga do literatury wiodła przez studia prawnicze. W roku 1939 uciekając na wschód przed Niemcami zaarrestowany został przez Sowieców i wraz z milionami innych wywieziony na Syberię, gdzie spędził 2 lata w niezmiernie ciężkich warunkach przy wyrębie lasu. Do Polski powrócił z armią generała Berlinga.

Po wojnie debiutował artykułami w *Nowinach Literackich*,



w latach 1947-1952 był członkiem zespołu redakcyjnego tego pisma, a później *Nowej Kultury*. W 1955 roku już jako autor książkowej monografii o Tołstoju oraz tomu szkiców o literaturze rosyjskiej i niemieckiej Karst zostaje jednym z kuratorów Archiwum Tomasza Manna przy Niemieckiej Akademii Nauk w Berlinie. Od tego też roku datuje się jego praca w redakcji *Twórczości*, gdzie z czasem zostaje zastępcą redaktora naczelnego. W zespole tego miesięcznika pozostawał aż do opuszczenia Polski w 1969 roku. Z działalnością naukową i redaktorską łączył pracę dydaktyczną, wykładając w latach 1947-1960 literaturę niemiecką na Wydziale Dziennikarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Trzecia książka Romana Karsta, „Henryk Heine. Zarys życia i twórczości”, wyszła w 1956 roku, a wydany wówczas dwutomowy wybór dzieł Heinego opatrzony był wstępem i posłowiem Romana Karsta. Już na emigracji, w latach siedemdziesiątych, wydał w Wiedniu i w Barcelonie książkę o Tomaszu Mannie.

Ale fascynacją jego życia było pisarstwo Franza Kafki. „Drogi samotności. Rzecz o Kafce”, wydane w Warszawie w 1960 roku, przyniosły mu międzynarodowe uznanie. Od rządu austriackiego otrzymał Krzyż Honorowy I Klasy. Była to wówczas pierwsza książka o Kafce wydana po wojnie w krajach komunistycznych i zapewniła Karstowi prestiż w kołach kafkologów. Bardzo był dumny, kiedy w 1963 roku zaproszono go na sympozjum kafkowskie w Liblicach (w Czechosłowacji), gdzie między innymi poznał Lucacsa. Również w Stanach uczestniczył w międzynarodowych kafkowskich konferencjach, z których jedną, w Stony Brook, sam zorganizował.

Na emigracji współpracował z *Wiadomościami*, *Kulturą*, a ostatnio z *Tygodnikiem Nowojorskim*, gdzie ukazał się jego esej o micie Prometeusza. Opublikowany w londyńskich *Wiadomościach* esej o Kafce i Gogolu przyniósł mu doroczną nagrodę tego pisma. Śmierć zastała Romana Karsta przy pracy nad nową książką o Kafce. Miał to być zbiór esejów przygotowywany dla wydawnictwa niemieckiego. Ostatni z nich traktuje o Kafce i Kabale.

Romana Karsta poznałam kilkanaście lat temu w Stony Brook, gdzie przez rok uczyłam języka polskiego. Z czasem zawiązała się między nami przyjaźń. Podczas spotkań, w Nowym Jorku i w Stony Brook, rzadkich, ale zawsze serdecznych, Roman Karst dał się poznać jako człowiek o niezachwianym poczuciu emigranckiej godności. Zapytany, czy wybiera się do Polski, odpowiedział: „Ja chodzę z wizytą tam, gdzie mnie zapraszają, a nie tam, skąd mnie wypędzają”. Jedną z jego ulubionych historii było wspomnienie o tym, jak wysiadłszy z córką z oślawionego pociągu na trasie Warszawa-Wiedeń powitany został przez dwie delegacje; jedną izraelską, zajmującą się uchodźcami, drugą — rządu austriackiego, która przyszła powitać znawcę austriackiej literatury. Jedni oferowali mu skromny pensjonat i emigranckie kieszonkowe, drudzy — wspinały hotel i honory.

Anna FRAJLICH

## Ułás Samczuk i Jurij Ławrynenko

### I

Zmarł w roku ubiegłym w Kanadzie wybitny pisarz ukraiński, Ułás Samczuk. Nie znałem go przed wojną osobiście, chociaż znałem jego ówczesną twórczość literacką. O opowiadaniu „Morozowyj chutor” wybitny współczesny krytyk napisał, co następuje: „To zapewne jedyny jego utwór, który śmiało można postawić na równi z powieściami Balzaka, Hamsuna czy Lwa Tołstoja. Z tym ostatnim łączy Samczuka uparte pragnienie i częstokroć pełne osiągnięcie samodzielności myśli, od nikogo nie przejętej, od opinii dzisiejszych czytelników, czy prasy całkowicie niezależnej, a opartej na monumentalnym, pewnym siebie i głębokim patosie etycznym”.

Już po ukazaniu się pierwszego tomu „Wołynia” stało się niewątpliwe, że Samczuk wszedł w szeregi klasyków ukraińskich. Ta kilkutomowa epopeja, dobrze przełożona na polski przed drugą wojną światową przez Tadeusza Hollendra, odznaczała się szerokim oddechem i zdolnością do ukazywania rozległych panoram, nieczęstych w literaturze nie tylko ukraińskiej, lecz i światowej. Dlatego też udało się Samczukowi pokazać współczesne mu czasy, niemal całe stulecie przekłętej doli swego narodu nie w oderwanych fragmentach, lecz w panoramicznym całokształcie, związanym z historią Ukrainy. Stworzył on najwyższej klasy syntezę, obejmującą wszystko, co dotyczy przeszłości, teraźniejszości i przyszłości — pełne psychologiczne oblicze narodu.

Dlatego też wydaje się słuszne, że w swym słowie od autora do powieści „Młodość Wasyla Czeremiety” pisze: „Chcę być kronikarzem szerokiej współczesności ukraińskiej, którą sam widzę, czuję i przeżywam”. Myśl tę powtórzy później krytyk, Jurij Szeweljow: „Waga pisarstwa Ułasa Samczuka polega nie tylko na jego balzakowskiej przestrzenności, ale i na absolutnej prawdzie ani trochę nie lukrowanego życia”. Nawet ujemna charakterystyka emigracji ukraińskiej w Kanadzie, podana w powieści „Na twardej ziemi”, gdzie padły twarde słowa o ludziach „nieuformowanych, szaro-nijkach, zabobonnych” — pisze Szeweljow — „może się nam nie podobać, ale taka jest, niestety, prawda”.

Samczuka przed wojną, jak już podałem na wstępie, nie znałem, zetknęliśmy się dopiero na emigracji, gdy przed dziesięciu prawie laty pojechałem na krótko do Kanady. Samczuk wyemigrował znacznie wcześniej ode mnie. Powołany do wojska polskiego, a wrogo nastawiony do Rzeczypospolitej za jej dyskryminacyjną politykę w stosunku do Ukraińców, Samczuk przeszedł granicę niemiecką, wybierając polityczną emigrację. Po roku 1941 wrócił na rodzinny Wołyn i w Równem redagował przez pewien



czas ukraińskie czasopismo. Ulegał ówczesnie powszechnemu wśród Ukraińców złudzeniu, że Trzecia Rzesza zastosuje na okupowanej Ukrainie rozsądną politykę. Obłądny rasizm Hitlera bardzo szybko położył kres tym nieuzasadnionym złudzeniom.

Byli Niemcy, którzy zdawali sobie sprawę z nonsensownej polityki Trzeciej Rzeszy na okupowanych terenach, ale można ich było policzyć na palcach jednej ręki. Starali się w miarę możliwości pomagać Samczukowi, gdy ten usiłował prowadzić akcję narodową, choć sami nie mieli zbyt wielkich wpływów. A więc szef DNB w Równem, Karl Arie, dwaj znajomi jeszcze sprzed wojny, gdy pisarz przebywał w Niemczech, Fritz Weiss i Hermann Blume, syn Hermaniny von Linhelshem, która opiekowała się Samczukiem w Bytomiu. Ale, jako się rzekło, byli to ludzie wyjątkowi. Znamienne! Wejście do wojny Japonii i katastrofa floty amerykańskiej w Pearl Harbour wywołała w Niemczech hitlerowskich wybuch powszechnego entuzjazmu. Samczuk zanotował reakcję swego przyjaciela, wspomnianego powyżej Fritza Weissa, który przyjął tę wiadomość, jako zapowiedź nieuchronnej klęski niemieckiej. Rozumiał, że możliwości przemysłowe Stanów Zjednoczonych przeważać muszą szalę wojny na rzecz demokracji zachodnich. Jakoż w niecałe trzy lata później nastąpiło lądowanie anglosaskie w Normandii, a w następnym roku kapitulacja Niemiec i samobójstwo Hitlera, a nieco później Hiroshima, Nagasaki i koniec wojny. Fritz Weiss nie pomylił się w swojej ocenie wydarzeń, choć walki miały jeszcze dłuższy czas i spowodować zgubę milionów ludzi. Ale przeciętny Niemiec, odurzony rasistowskim snem o wielkości, nie był zdolny do logicznego myślenia.

W swoich znakomitych wspomnieniach z lat drugiej wojny światowej, pod tytułem „Na ognistym koniu”, Samczuk wypowiedział się sceptycznie co do ruchu zbrojnego na Wołyniu przeciw Niemcom i bolszewikom, gdy ci powracali, i odpowiadał odmownie na wszelkie zaprosiny, by zechciał dołączyć do ruchu partyzanckiego, niejednokrotnie do niego kierowane. Zwłaszcza zabiegał o to energicznie ataman poleskiej UPA, kryjący się pod pseudonimem Tarasa Bulby. Również i jego spotkała odmowa. W lecie roku 1943 Ułas Samczuk postanowił wyjechać z Wołynia na Zachód, by nie dostać się w ręce już zwyciężonych bolszewików.

Ponowna emigracja miała już trwać aż do samej śmierci. Z wybitnych pisarzy ukraińskich niewiele już pozostało przy życiu. Działają te same prawa biologiczne, co w emigracyjnej literaturze polskiej. Od wyroków tego prawa nie ma żadnej apelacji — jest wszechwładne. Odejście Samczuka, choć z uwagi na jego wiek od dawna spodziewane, jest dla literatury ukraińskiej na emigracji bardzo ciężkim ciosem.

## II

Jurij Ławrynenko zmarł 14 grudnia ubiegłego roku w Nowym Jorku. Urodził się 3 maja 1902 roku we wsi Chyżyńce na Kijow-

szczyźnie, był chłopskim synem. Po skończeniu w roku 1925 Technikum Sadownictwa Ławrynenko przeniósł się do ówczesnej stolicy Ukrainy, Charkowa, gdzie wstąpił na wydział literacko-filologiczny tamtejszego uniwersytetu. Pracował w redakcjach różnych czasopism, wydawał książki o tematyce literackiej. W grudniu 1933 roku został aresztowany po raz pierwszy, następny areszt, w lutym 1935, skończył się pięcioletnim wyrokiem. Aż do roku 1939 siedział w łagrze koło Norylska. Zwolniony po odsiedzeniu wyroku pracował jako agronom w doświadczalnym centrum rolnictwa koło Nalczyka. Podczas niemieckiej okupacji udało mu się wyostać na Zachód, początkowo do Niemiec Zachodnich, następnie do Stanów Zjednoczonych. Był czynnym członkiem MUR-u (Ukraińskiego Ruchu Artystycznego), wydał na emigracji szereg książek, z których najważniejszą jest „Rozstrzelane Odrodzenie”, wydane w roku 1959 przez Instytut Literacki w Paryżu.

Jest to obszerna, licząca prawie tysiąc stron antologia literatury ukraińskiej, obejmująca utwory poetów i prozaików do roku 1933, gdy wraz z przymusową kolektywizacją i zarządzonym przez Stalina głodem, który zniszczył wieś ukraińską, zadano również śmiertelny cios literaturze tego męczeńskiego narodu. Śmiertelny? Nie! „Rozstrzelane Odrodzenie” dotarło na sowiecką Ukrainę i wywołało tam wielkie poruszenie. W latach sześćdziesiątych nastąpiło odrodzenie literatury ukraińskiej, spowodowane w znacznej mierze przez tę książkę. To była wielka historyczna zasługa Ławrynenki. Nowy ruch literacki został ponownie rozbity, niepokorni poeci i pisarze poszli na powolną śmierć do łagrów, ale przeszłości zataić rosyjskim oprawcom nie udało się i walka będzie trwała w dalszym ciągu. Nikita Chruszczow w swoim słynnym przemówieniu w roku 1956 ujawnił, że jeśli Stalin nie wysiedlił wszystkich Ukraińców na Syberię, to tylko dlatego, że ich było za dużo i nie można było postąpić z nimi identycznie, jak z krymskimi Tatarami i Czezeńcami.

Swego czasu otrzymałem od Ławrynenki jego opowiadanie „Czarne purga”, z prośbą o ocenę. Liczył na to, że może mu się uda zrobić z tego opowiadania film. *Purga* znaczy w języku rosyjskim śnieżną burzę na dalekiej podpolarnej północy. „Czarna”, bo gdy przyjdzie, mrok jest zupełny, niczego nie widać na parę kroków. W taką to noc dwóch więźniów uciekło z sowieckiego obozu koncentracyjnego. Ich przygody stanowią treść opowiadania. Temat na film jest znakomity, cóż, skoro tematyka, godząca w dobre imię Związku Sowieckiego, jest na głupim Zachodzie zakazana. W roku 1966 Ławrynenko musiał się poddać poważnej operacji serca, żył jeszcze ponad dwadzieścia lat, ale coraz to podupadał na zdrowiu i nie mógł już pracować równie wydajnie, jak uprzednio. Jego „Iabędzim śpiewem” jest wydana w roku 1985 książka „Czarna purga i inne opowiadania”. „Czarna purga” ukaże się w polskim przekładzie w ramach „Biblioteki Kultury”.

Józef ŁOBODOWSKI



polskich pisarzy w Sowietach (okres lwowski, potem *Nowe Widnokreği* itp.). Warto też podkreślić, że komunistyczny flirt polskich pisarzy nie był wówczas ani zjawiskiem w Europie odosobnionym, ani też zjawiskiem wyłącznie powojennym — dość przeczytać „Mój wiek” Wata. Dalej: pisząc o „zasadniczych elementach” socrealizmu nie bierze autorka pod uwagę postulatu niezwykle ważnego, mianowicie „partyjności literatury”. Przy czym chyba nie jest prawdą twierdzenie, że „założenia te spularyzowane zostały w społeczeństwie głównie przez artykuł W. Sokorskiego 'O sztukę realizmu socjalistycznego'”. Jeszcze przed tym referatem (1949) zasady te głoszone były dość intensywnie przez *Kuźnicę*, m.in. w publikacjach Ważyka i Kotta. Wreszcie w ostatnim podrozdziale tej części, pisząc o haśle „Pisarze sumieniem narodu”, czyni je autorka własnością ideologii komunistycznej — jest to uproszczenie zbyt daleko idące: ta postawa obecna jest w polskiej literaturze co najmniej od czasów konfederacji barskiej, umocniona zaś została w dobie rozbiorów, ma zatem długą i bogatą tradycję. Oczywiście — obecność tej postawy stała się jedną z przyczyn stosunkowo łatwej „transmisji” ideologii komunistycznej do literatury, ale to już problem osobny. Kończąc rozdział pisze Szulc Paackalén o NOW-iej: „Ukazały się w niej również (...) przedruki kolejnych numerów miesięczników i kwartalników literackich drukowanych za granicą, takich jak na przykład *Zapis*, *Aneks* czy *Krytyka*”. *Zapis* i *Krytyka* ukazywały się poza cenzurą w kraju (raz tylko, ze względu na wpadki, NOW-a dokonała przedruku 9 numeru *Zapisu* z reedycji zachodniej), nie mogły być więc w podziemiu „przedrukowywane”. Trudno z kolei *Aneks* nazywać pismem nieoficjalnym — jest pismem oficjalnym (ISSN 0345-0295) wydawanym na Zachodzie, choć pozbawionym w Polsce debitu. Trzeba też sporo dobrej woli, by *Aneks* i *Krytykę* zaliczyć do pism literackich — są to kwartalniki polityczne. Nadto warto by szerzej udokumentować rewelacyjne dla mnie twierdzenie, że „wydawnictwa nielegalne istniały oczywiście w Polsce wcześniej”, poparte w dodatku powołaniem się na B. Fijałkowską, datującą te wydarzenia na „szyłek lat pięćdziesiątych”. Owszem — w latach 1944-1951 ukazywały się nielegalne biuletyny podziemne, na ogół nawet nie powielane, lecz przepisywane na maszynie, pierwsze jednak zasługujące na tytuł wydawnictwa nielegalnego publikacje to tomy poezji Krzysztofa Mrozowskiego („Text”, 1969), Juliana Kornhausera („Zabójstwo”, 1972 — tom pominięty przez autorkę, choć poeta jest jednym z głównych bohaterów jej pracy) i Wita Jaworskiego („Zła wiara”, 1972). W 1962 roku, po rozwiązaniu Klubu Krzywego Koła, prof. Stanisław Ossowski rzucił co prawda myśl redagowania z odrzuconych przez cenzurę tekstów jakiegoś almanachu, rzecz nie wyszła jednak poza stadium pomysłu.

Warto też zwrócić uwagę na kilka przynajmniej rażących pomylek w rozdziale „Pokolenie literackie”. Prezentując skład osobowy „pokolenia 68”, autorka zalicza doń Tomasza Burka, który, o ile mi wiadomo, nie popełnił w życiu żadnego wiersza, choć na pewno jako krytyk odegrał bardzo poważną rolę w kształtowaniu

## Książki

## Pokolenie 68

Praca Małgorzaty Szulc Paackalén\* na pewno nie jest jedną z licznych polonistycznych prac przyczynkarskich i będzie musiała być brana pod uwagę przy wszystkich dalszych pracach badawczych, dotyczących poezji Nowej Fali. Jest próbą zsyntetyzowania doświadczeń poetyckich „pokolenia 68” w okresie zamkniętym rokiem 1980. Ambitna i znakomicie udokumentowana książka jest pracą doktorską napisaną w Instytucie Języków Słowiańskich przy Uniwersytecie w Uppsali pod kierunkiem prof. dr. Svena Gustavssona. Jest też jedną z pierwszych pozycji całego cyklu prac, poświęconych wydarzeniom życia literackiego lat 70-tych, które powstają ostatnio w różnych ośrodkach na Zachodzie — wiem o przynajmniej dwóch doktoratach na temat *Zapisu* i o licznych opracowaniach dotyczących niezależnej prasy literackiej. Zapewne — jest to dziś jedno z bardziej interesujących zjawisk wschodnioeuropejskiego życia kulturalnego. Świadoma tego autorka „Pokolenia 68” zmierza do osadzenia omawianego w książce ruchu młodopoetyckiego w kontekście wydarzeń społeczno-politycznych. Robi to w pierwszej części pracy, zatytułowanej „Warunki rozwoju polskiej literatury powojennej lat 1945-1980”.

Już tutaj odnaleźć można pierwsze sporne stwierdzenia. Czytamy np., że „początek tego okresu, rok 1945 i następne...”. Trudno uznać rok 1945 za początek powojennego procesu rozwojowego polskiej literatury. Jeśli już ustalać daty graniczne, to za rok początkowy trzeba uznać 1944 — wtedy powstały w Lublinie pierwsze pisma (*Odrodzenie*) i wydawnictwa. Tam też zresztą ukazały się pierwsze tomy poetyckie. Należałoby przy tym zauważyć, że inicjatywy te miały swą prehistorię w życiu literackim

\* Małgorzata Szulc Paackalén, „Pokolenie 68. Studium o poezji polskiej lat siedemdziesiątych”. Acta Universitatis Upsalensis. Studia Slavica Upsalensia 23. Almqvist & Wiksell International Stockholm, Uppsala 1987, str. 356.



świadomości mych rówieśników. Pomija autorka w tej prezentacji Ewę Lipską, poetkę, która — choć żyje „z boku” — na pewno jest z tą formacją silnie związana (także przez udział w cieszyńskich dniach poezji i w warszawskim „Mityngu poetyckim” z 1976 — dwóch najważniejszych grupowych spotkaniach; ostatnie z nich zresztą zrelacjonowane zostało na łamach *Kultury*). Nadto Zdzisław Jaskuła przemianowany został na Henryka. W tym samym podrozdziale pisze Szulc Packalén o braku wspólnego forum. To też nie bardzo zgodne jest ze stanem faktycznym: forum takie przez było nie było parę lat znalazła formacja w krakowskim *Studencie* — przede wszystkim zaś w dodatku do niego, zatytułowanym *Młoda Kultura* (choć nie powiodły się próby przekształcenia go w pismo niezależne, ukazały się jednak cztery jego numery, w tym jeden „nieoficjalny” — bez winiety). W tymże dodatku ukazały się informacje o niezależnie wydanych tomikach Kornhausera i Jaworskiego. Słowa nie ma o roli, jaką w kształtowaniu tej formacji odegrało przejęte przez nią pismo warszawskie *Orientacja* (jako suplementy ukazują się tu: pierwszy „nowofalowy” tomik — Jarosława Markiewicza „Przyszedłem zapytać o imię czasu, który wnoszę”, a także nieuwzględniony przez autorkę tom Krynickiego „Pęd ucieczki, pęd pogoni”, nadto „Godzina jastrzębi” Karaska, „Jednym tchem” Barańczaka oraz almanach krakowskiej grupy „Teraz” z wierszami Kornhausera i Zagajewskiego). Przy okazji warto zwrócić uwagę na brak wzmianki o ważnym piśmie wrocławskim *Agora*, redagowanym przez Lothara Herbsta, które tuż przed zamknięciem w 1969 roku stało się jednym ze skupisk nowego ruchu (choćby poprzez drukowanie tekstów Barańczaka czy Biezin). Pisząc o głównych ośrodkach poetyckich, wymienia autorka Poznań, Kraków i Łódź — nie wspomina o Warszawie (Karasek, Markiewicz, Burek, Mrozowski — ten ostatni należy do poetów, którzy zamilkli, jego teksty publikowała m.in. *Kultura*, był też prezentowany w ważnej antologii-suplemencie wydanej nakładem *Orientacji*, a prezentującej młodą poezję tamtego okresu, „Wnętrze świata”). Łódź ma znaczenie podrzędne — mimo, że pracowali tam Biezin, Sułkowski, Jaskuła (pierwsi to także pierwsi autorzy tej generacji, którzy zdecydowali się na publikację emigracyjną — w Instytucie Literackim) i że tu narodził się pomysł *Pulsu*, drugiego po *Zapisie* niezależnego pisma literackiego. Szkoda także, że autorka nie zwróciła uwagi na ważny (12/71) numer *Poezji*, który stanowił jedną z pierwszych poważnych publicznych manifestacji pokolenia, zawierający programowe wystąpienia Krynickiego, Zagajewskiego czy Karaska, a także, co wydaje się godne zauważenia, plon ankiety przeprowadzonej wśród poetów tej formacji, a dotyczącej aktualnej hierarchii poetyckiej (najwyżej oceniony został Różewicz, ale cały układ wydaje się istotny).

Warto też zwrócić uwagę na charakterystyczną osobliwość pracy Szulc Packalén: nie tylko wyizolowuje ona poezję analizowanej przez siebie formacji pokoleniowej z tradycji i kontekstu życia literackiego, ale także z kręgu poszukiwań jej rówieśników.

Szczególnie wyraźne jest to w podrozdziale „Stosunek do języka i jego eksplikacja w wierszach”. Zdumiewający jest brak choćby wzmianki o Tadeuszu Peiperze i roli jego twórczości w kształtowaniu języka poetyckiego Krynickiego (koncepcja „zdania rozkwitającego”). W momencie, w którym mowa o odwołaniach lingwistycznych w poezji Barańczaka, pojawia się nagle nazwisko Zbigniewa Bieńkowskiego, wzmocnione to zostaje odwołaniami do Przybosia — obu tych autorów, skądinąd świetnych, Barańczak wyraźnie określa jako dalekich od własnych koncepcji, pisząc wprost o tym w „Nieufnych i zadufanych”. Natomiast nie pojawia się w tym kontekście nazwisko Balcerzana, choć zafascynowanie jego poezją jest w pierwszym okresie twórczości autora „Dziennika porannego” dość wyraźne. Poeci „pokolenia 68” funkcjonują w całej pracy w kompletnej próżni literackiej — jest to niestety jeden z efektów bardzo płytko odczytywanych założeń strukturalizmu.

I jeszcze jedna uwaga, dotycząca spraw językowych. Pisząc o stosunku do „zafałszowanego języka”, zauważa autorka, że „chodzi o język propagandy czyli tzw. nowo-mowę”, po czym prowadzi uczony dyskurs na temat tego orwellowskiego terminu, który, jak słusznie zauważa, „gości w języku polskim stosunkowo od niedawna”. To prawda — ale nim się ten termin przyjął w polszczyźnie, wynaleziony został w niej inny, żywy zwłaszcza po Październiku 1956. Chodzi o „mowę-trawę”, termin żywy i popularny, o znaczeniu może nie tożsamym z orwellowskim, ale bardzo do niego zbliżonym. Oczywiście — termin Orwella odegrał rolę doniosłą, ale dyskusje podejmowane z tym typem języka nie są nowością w polskiej literaturze i nie są one wyłącznym wynalazkiem „pokolenia 68”.

Trzymając się dość niewolniczo dotychczasowych ustaleń historyczno- i teoretycznoliterackich, zmierza Szulc Packalén do odnalezienia odpowiedniego dla ruchu literackiego, o którym pisze, terminu pozwalającego określić jego pokoleniowo-grupowy status. Przyjmuje termin „pokolenie” z wszystkimi jego niedogodnościami. Cóż wobec tego zrobić z liczną grupą rówieśników, która pozostawała poza kręgiem „pokolenia 68” — od Konfederacji Nowego Romantyzmu poczynając, zaś na klasycystach kończąc (Baranowska, Matywiecki, Zajaczek), zważywszy w dodatku, że Konfederacja dość ostro Nową Falę wówczas atakowała, a miało to w dodatku wymiar nie tylko literacki. Rozumiem, że „grupa literacka” w żadnym wypadku nie pasuje do Nowej Fali. Bez wątpienia jednak kategoria „pokolenia” jest tu zbyt pojemna. Ze swej strony proponuję stosowanie kategorii „formacja pokoleniowa” (w znaczeniu: wewnątrzgeneracyjna), która wydaje mi się najbardziej funkcjonalna. Przy tym jest o tyle wygodna, że można ją odnieść do całości zjawiska, które prócz ruchu poetyckiego obejmuje także część ówczesnego teatru studenckiego (często o teksty poetyckie rówieśników opartego, jak choćby Teatr Ósmego Dnia z jego przedstawieniem „Jednym tchem”), tendencje młodego kina (wyartykułowane — ze względu na trudności techniczne i cenzuralne — później w ruchu nazwanym „kinem moral-



nego niepokoju”), plastyki (Sawka, grupa „Wprost” — paralelizmowi poezji i plastyki poświęcił książkę Tadeusz Nyczek — recenzja w *Zapisie*) i młodej publicystyki. Pisali zresztą o tym Nyczek i Maciej Szybist w *Studencie* i *Młodej Kulturze*. Autorka wspomina co prawda o dystansowaniu się Kornhausera od takich uogólniających ujęć, nie jestem jednak przekonany o słuszności tego stanowiska. Ruch Młodej Kultury był wówczas — jak i później — dość zróżnicowany, ale poezja „pokolenia 68” też monolitem nie jest: to, co łączyło, a często i dalej łączy uczestników tego ruchu, to nie tylko wspólne „doświadczenie pokoleniowe” (Marzec 68), ale przede wszystkim wspólnota postawy etycznej, co można spróbować przełożyć na kategorie estetyczne, ale jest to swoista ekwilibrystyka. Zabawne przy tym, że autorka wiąże proces rozpadu wspólnoty z „Listem 59”, a więc z wydarzeniem polityczno-społecznym, zamiast — co byłoby bardziej konsekwentne i pozostawiało sprawę na płaszczyźnie czysto (?) literackiej — z dyskusją wokół artykułu Barańczaka „Zmieniony głos Settembriniego”.

Książka Szulc Packalén wyrasta z wiary w możliwość skonstruowania „poetyki grupowej” Nowej Fali. Głównymi bohaterami swej pracy uczyniła autorka czterech poetów — Barańczaka, Krynickiego, Kornhausera i Zagajewskiego. Czy jest to wybór uzasadniony? Nie wiem. Autorka nigdzie takiego uzasadnienia nie prezentuje. Wybrała tych, bo wybrała. Dlaczego nie Karaska czy Markiewicza? Dlaczego nie Lipską? W istocie sam ten ruch poetycki zbyt wielki nie był — można było zająć się większą grupą. Być może ci właśnie poeci po prostu się badaczce najbardziej podobają — ale o tym też nie ma ani słowa, choć jest to przecież zasadne i chyba dopuszczalne (choć może nie do końca naukowe) kryterium wyboru. Byłoby to zresztą niezwykle pouczające — dość już bowiem mam prac polonistycznych poświęconych czyjejś twórczości, z których ni w ząb nie mogę się dowiedzieć, czy wedle badacza mam do czynienia z pisarzem dobrym, czy złym i dlaczego. Pytania moje zaś są o tyle ważne, że być może przy innych kryteriach wyboru cała analiza hipotetycznej „poetyki pokolenia” wypadłaby odmiennie: inaczej wyglądałyby zapewne zamieszczone w pracy „schematy rozpiętości sylabicznej wersów” czy „częstotliwości występowania poszczególnych części mowy”. O tym *a priori* wiedzieć przecież nie można. Stąd też nie wydaje mi się, by wolno było bezkrytycznie przyjąć twierdzenia na temat wybranej czwórki autorów jako odnoszące się do twórczości całej formacji generacyjnej. Nie jestem przekonany o tym, że „poetykę Pokolenia 68” charakteryzują „powtórzenia na poziomie fonicznym”, które „stanowią, obok powtórzeń w warstwie leksykalnej i syntaktycznej, jeden z ważniejszych czynników organizacyjnych” wiersza. O tym, że jest to prawda w odniesieniu do wybranej czwórki poetów, autorka przekonuje w niemal wirtuozerskiej i budzącej podziw zarówno pracowitością jak pomysłowością analizie. To samo dotyczy wykrytej przez nią prawidłowości mówiącej, że „nagromadzenie różnych typów paralelizmów w utworach Pokolenia 68 stanowi

nieodzowny element struktury wierszowej”. Czy całej formacji? Czy może jest to w ogóle cecha poezji polskiej tego czasu? A może całej poezji powojennej? Nie wiem — takich badań nie podejmowałem. Ale na wiarę nie przyjmę, że są to wyróżniki „poetyki Pokolenia 68”.

Poezja jest sztuką bardzo indywidualną, co zresztą nietrudno udowodnić w analizie utworów poszczególnych autorów. Budowanie jakichś poetyk zbiorowych jest więc moim zajęciem pożytecznym, ale w większości wypadków zwodniczym, stanowi bowiem redukcję tekstu zamiast jego interpretacji. Ta redukcjonistyczna postawa badawcza nie pozwoliła autorce zwrócić uwagi na takie zjawiska, jak różnice poetyk poszczególnych autorów przed i po Marcu 1968 (zwłaszcza w wypadku Barańczaka, Bierzina, Krynickiego i Markiewicza). Analiza porównawcza mogłaby tu przynieść sporo interesujących spostrzeżeń. W wypadku Barańczaka aż się prosi o analizę cyklu „Sonetów łamanych” z tomu „Korekta twarzy” — zarówno ze względu na jego osobliwość formalną, jak ze względu na wyrażony w nim stosunek do tradycji. I w końcu szkoda, że nie bierze autorka pod uwagę doświadczeń translatorskich swych bohaterów: zarówno u Barańczaka, jak u Krynickiego (tu zwłaszcza przekłady Brechta), w mniejszym stopniu u Kornhausera, ma to olbrzymi wpływ na formowanie ich poetyk: przydałaby się zwłaszcza taka analiza w podrozdziale „Wiersze zawierające rymy”.

Praca Małgorzaty Szulc Packalén, świadectwo pracowitości i niewątpliwych zdolności analitycznych, jest zarazem przestrożą dla tych wszystkich, którzy podejmują się próby opisu zjawisk literackich z krótkiego dystansu czasowego. Książka, będąca niewątpliwie interesującym i w wielu momentach oryginalnym studium o poezji czterech autorów, jest w swych dążeniach do syntezy porażką. Nie jest, gdyż przy swych założeniach badawczych być nie może opisem poetyki „pokolenia 68” (zakładając w ogóle realność takiego bytu, ale czegoż to poloniści nie potrafią powołać do życia!). Tym bardziej nie jest ona „studium o poezji polskiej lat siedemdziesiątych”, jak sugeruje autorka w wyrażnie zbyt obszernym podtytule. Jest natomiast pracą poświęconą roli, jaką odegrała twórczość czterech pisarzy w polskim życiu literackim tamtego okresu. I jako taką na pewno warto ją czytać.

Leszek SZARUGA

## Obecność religii

NA MARGINESIE JUBILEUSZU LESZKA KOŁAKOWSKIEGO

Grono przyjaciół i wielbicieli Leszka Kołakowskiego postanowiło uczcić 60-lecie jego urodzin i wynikiem tej inicjatywy jest



okazały tom wydany przez *Aneks* pod tytułem „Obecność”. Zdumiewająco wczesny jubileusz, jeśli zważyć, że dziś lada młokos ma 60 lat (jak mawiała zmarła niedawno wielka dama Wojska Polskiego na Zachodzie, Maria Leśniakowa), natomiast Mozart w tym wieku leżał już od ćwierćwiecza w grobie. Tom na cześć wielkiego Leszka jak najślusniej kończy się uroczym apelem Andrzeja Drowicza „Postaraj się żyć jak najdłużej”. Ale też ten Leszek zabłysnął niezwykle wcześniej — doktorem filozofii został w wieku lat 25, a profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, gdy miał lat 29 — i od tego czasu dokonał olbrzymiej roboty, świecąc nieustanną obecnością na firmamencie polskiej nauki i polskiego życia społecznego. Ten tom zatem nie jest tylko przyjacielskim gestem ani podsumowaniem niezakończonych jeszcze pracy, ale nade wszystko próbą rozliczenia się z niezwykłym, poniekąd zagadkowym zjawiskiem, jakim jest Leszek Kołakowski. Jak w każdej „księdze ku czci” jest w niej szereg prac niezwiązanych wprost z osobą i dziełem Kołakowskiego, zwłaszcza w części II, zatytułowanej „Rozmowy o dziedzictwie” (choć dobrze zobaczyć raz Bronisława Geremka przy jego naukowym warsztacie pracy), albo luźno z nim związanych, jak prace części III pod tytułem „Rozmowy o terażniejszości”. Wszystkie jednak stanowią bardzo istotne tło i prawie każda z nich jest sama w sobie cenna. Najbardziej związane z osobą jubilata są prace części IV, „Rozmowy o życiu i życiorysach”. Skondensowaną rozprawą z myślą Kołakowskiego są prace części I — „Rozmowy o filozofii”.

Są to, nieco dokładniej rzecz określając, rozmowy o filozofii i religii, bo obie te dziedziny myśli są u Kołakowskiego ściśle ze sobą związane. Rozprawy tej części koncentrują się, rzecz jasna, na ostatniej jego książce, która ukazała się najpierw w języku angielskim pt. „Religion” (w serii *Masterguides*, Fontana Paperbacks 1982), a dopiero w zeszłym roku po polsku pod pierwotnie przez autora zamierzonym tytułem „Jeśli Boga nie ma... O Bogu, diable, grzechu i innych zmartwieniach tak zwanej filozofii religii” (*Aneks*, Londyn 1987) — w wersji angielskiej ten tytuł został na żądanie wydawcy zredukowany do roli podtytułu. „Filozofia religii” znaczy, że książka stanowi intelektualną systematyzację zjawiska, ale zjawisko religii fascynowało Kołakowskiego od samego początku jego naukowej kariery i religia w tej czy innej formie jest w całej jego twórczości obecna. Bo Kołakowski jako filozof był zawsze poszukiwaczem Absolutu — można by powiedzieć, że w tym sensie jest filozofem *par excellence*. Jeśli zrazu szukał go na terenie i metodą materializmu dialektycznego i religię piętnował jako przesąd, to teraz go znalazł właśnie w Bogu. Stąd tytuł książki. Jeśli Boga nie ma, to (filozoficznie, a więc dogłębnie rzecz biorąc) pozostaje tylko alternatywa poznawczego i moralnego nihilizmu. Z tą radykalną tezą polemizuje w jubileuszowym tomie (i jest z tym słusznie na pierwszym miejscu) kolega po fachu z Uniwersytetu Warszawskiego, Stefan Amsterdamski, w rozprawie pt. *Tertium non datur?* Oczywiście, że *tertium datur* i Kołakowski, nawet jako filozof, doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Absolut nigdy nie jest praktycznie osiągal-

ny (gdyby był osiągalny, gdyby mogło go dotknąć cokolwiek z zewnątrz, choćby poznanie, to nie byłby Absolutem) i dlatego Jan Andrzej Kłoczowski OP może pisać o Kołakowskim jako równocześnie mistyku i sceptyku, a Stefan Morawski o jego „utopijnym antyutopizmie”. Kołakowski jest za mądry na to, by się zamknąć w filozoficznej więzi z kości słońowej; jest przecież (jak przypomina Amsterdamski) również autorem rozprawy pt. „Pochwała niekonsekwencji”. Kołakowski jest, jak pisze inny autor „konsekwentnie niekonsekwentny”. Krytyka Amsterdamskiego zatem koncentruje się nie tyle na zasadniczej dysjunkcji „albo Bóg albo nihilizm”, ile na raczej praktycznym spostrzeżeniu, jakie Kołakowski w związku z nim głosi, a mianowicie, czy istotnie tradycja chrześcijańska była w kulturze europejskiej „czynnikiem balansującym ekstrema myślowego i politycznego radykalizmu opcji konsekwentnych i przeciwstawnych, każdej na swój sposób nieprzyjemnej i niedowodliwej”. Innymi słowy, czy chrześcijaństwo, jak twierdzi Kołakowski, było tym, co ratowało kulturę europejską przed nadmierną pewnością siebie, prowadzącą do teokratycznego totalizmu z jednej strony i przed nihilistycznym sceptycyzmem z drugiej strony. Amsterdamski wykazuje bez trudu, że i w ocenie tej roli chrześcijaństwa Kołakowski bywał uroczo niekonsekwentny. Wyjaśnieniem tej niekonsekwencji może być, że koncept tradycji chrześcijańskiej, którym posługuje się autor, jest konceptem normatywnym, a nie historycznym.

Właśnie tradycja chrześcijańska. Faktem jest, że filozofia religii Kołakowskiego, choć nie ignoruje innych religii, jest oparta prawie wyłącznie na doświadczeniu chrześcijańskim. Ale to nie jest ostatecznie ważne; sytuacja kulturalna filozofa dostatecznie to tłumaczy. Ważne — i uderzające — jest, że dawny radykalny krytyk wszelkiej religii i autor zgoła bluźnierczych „Opowieści biblijnych” stał się teraz gorącym rzecznikiem chrześcijaństwa i to chrześcijaństwa właśnie w jego rzymsko-katolickiej formie. Tego nie tłumaczy sytuacja autora jako dziecka tradycyjnie katolickiego narodu. Autor „Świadomości religijnej i więzi kościelnej” jest znakomicie obznajomiony z myślą chrześcijańską w całej jej różnorodności aż po jej najbardziej sekciarskie odmiany i jego opcja na rzecz jej głównego historycznego nurtu, ale też najbardziej instytucjonalnego nurtu, rzymskiego katolicyzmu, jest świadomą opcją. Ale o tym potem. Autorzy jubileuszowego tomu tej szczególnej opcji jubilatą poświęcają niewiele uwagi, ale kilku z nich jest wyraźnie zafascynowanych ogólną ewolucją myśli Kołakowskiego w kierunku chrześcijaństwa, śledzą jej kolejne etapy, badają jej racje — i oczekują dalszego ciągu. I tak Jacek Salij OP rysuje mu docelowy paradygmat „Jak być katolikiem prawowiernym, ekumenicznym i angażującym się na rzecz wyzwolenia społecznego” (aluzja do eseju Kołakowskiego „Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą”), ks. Józef Tischner zestawia Kołakowskiego z Kartezjuszem, ale najbardziej systematyczny przegląd ewolucji daje Tadeusz Mazowiecki w eseju pod charakterystycznym tytułem „Niezakończenie”. Mniejsza w tej chwili o etapy przeszłe, takie jak słynny esej „Jezus Chrystus, prorok i refor-



mator" (napisany odważnie dla bojowo ateistycznych *Argumentów*), a zwłaszcza przełomowa dla Kołakowskiego jako filozofa „Obecność mitu”; warto się skoncentrować za Mazowieckim na etapie obecnym, który charakteryzuje „bliskość wobec chrześcijaństwa, bliskość — powiedziałbym — osiągnięta i uciekająca”. Wspominając lekturę niedawnego stosunkowo zbioru esejów „Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań”, Mazowiecki pisze:

„Czytając niektóre teksty, nie mógłbym już powiedzieć, czy pisze je znawca, czy wyznawca. Równocześnie za każdym razem przekonywałem się, że gdy tylko czytelnik wyciągnie rękę, by tę bliskość uchwycić, określić, nazwać — staje się to niemożliwe. Którekolwiek słowo byłoby tu właściwe: dystans, granica, próg — dość, że istnienie czegoś takiego równie jest niewątpliwe, jak istnienie owej bliskości” (str. 75).

Mazowiecki krępuje się Kołakowskemu za głęboko do duszy zaglądać (wiem skądinąd, że Kołakowski istotnie takich osobistych pytań nie lubi), ale niby dlaczego? Kościół składa się z wyznawców. Bo oto Adam Michnik widzi stanowisko Kołakowskiego inaczej. Cytuje jego własny tekst (str. 218; szkoda, że Michnik nie podaje, skąd ten cytat wziął):

„Coś jest... niepokojąco beznadziejnego u intelektualistów, którzy sami nie mają żadnych lojalności religijnych czy wiary, a podkreślają niezastąpioną moralną i wychowawczą rolę religii w świecie oraz oplakują jej kruchość, której sami wybitnie dają świadectwo. Nie ganię ich za to, że są niereligijni, ani za to, że mówią o kluczowych wartościach doświadczeń religijnych, nie mogą tylko przekonać się, że ich praca może sprzyjać zmianom, które uważają za pożądane, żeby bowiem wiarę krzewić, potrzebna jest wiara, nie zaś intelektualne zapewnienie o użyteczności wiary”.

I Michnik wyczytuje w tym wprost wezwanie do konwersji. Więc jak to właściwie jest? Jest Kołakowski wyznawcą wiary chrześcijańskiej czy nie jest? W jego biografii brak wiadomości, że był ateista przyjął chrzest; jeżeli chrzest się odbył, to bardzo niepublicznie. (A inna sławna konwertytka, Simone Weil, nie przyjęła chrztu, gdyż domagała się, by był to akt jak najbardziej publiczny, znamionujący, że Kościół przyjmuje ją do swego grona wraz z jej kontestacyjną postawą wobec niego jako instytucji, która była nieodłącznym elementem jej miłości do Kościoła). O życiu sakramentalnym Leszka Kołakowskiego nic nie wiadomo, nie znalazłem też żadnej wzmianki na ten temat w omawianej książce. Czyżby więc przypisywane mu przez Michnika gorzkie słowa o wielbiących religię intelektualistach, którzy sami są niereligijni, i do niego się odnosiły? Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. W każdym razie tego rodzaju niekonsekwencję zdaje się mieć na myśli Mazowiecki, gdy zarzuca Kołakowskiemu „niezakończenie”. Michnik, który dobrze zna Kołakowskiego, jest innego zdania, lecz wyczytane w tym tekście wezwanie do konwersji delikatnie odrzuca, obstając przy swym cennym „niezakorzenieniu” bezdomnego polskiego inteligenta. „Bądź szczęśliwy — odpowiada Kołakowskiemu — gdy odnajdziesz Boga. Bądź też szczęśliwy z samej łaski szukania”. Przy tym Michnik ma swą

własną formę religijności, która jest „uwagą skierowaną na wewnętrzną przemianę świata... i postuszeństwem, które nie zwleka z dopasowaniem życia i rzeczywistości do tej przemiany... aby zadość uczynić duchowi”. Michnik przy tym także w jakimś sensie „przychodzi do Kościoła”. Przychodzi, jak to już tłumaczył w swej książce „Kościół, lewica, dialog”, by być po stronie prawdy, by dawać świadectwo prawdzie, „także wobec Kościoła”. Wydaje mi się, że religijność Kołakowskiego mimo wszystko nadal jest bliższa „niezakorzenionej” religijności Michnika niż „zakreślonej” religijności Mazowieckiego. Ale znaczy to również, że ocena stanowiska Kołakowskiego przez Mazowieckiego bliższa jest prawdy niż ocena Michnika.

Bo rozwoju myśli filozoficznej i religijnej Kołakowskiego nie da się oddzielić od myśli społecznej i politycznej, od jego zaangażowania w polską rzeczywistość i jego walki z komunistycznym totalizmem, najpierw jeszcze w szeregach partii, a potem poza partią i w rezultacie także poza krajem. Z jego wczesnego marksizmu pozostało tyle, że istotnie był kształtował świadomość. Ale z drugiej strony wyostrzona świadomość myśliciela kształtowała jego walkę. I ona też od początku gwarantowała mu wiarygodność, tak że w bujnych dniach Października profesor-marksyści i członek partii stał się bez mała z dnia na dzień bożyszczem zbuntowanej młodzieży akademickiej i duchowym przywódcą intelektualnej elity kraju. I ten aspekt osobowości Kołakowskiego figuruje dobitnie w jubileuszowym tomie, najdobitniej może w niezwykle ciepłych, a równocześnie pełnych informacji wspomnieniach Jana Józefa Lipskiego.

Autentyczności i autonomii tego nurtu myśli Kołakowskiego w niczym nie podważa fakt, że niezwykle ważnym elementem polskiej rzeczywistości, w której się rozwijała, był Kościół rzymsko-katolicki i jego opozycja przeciw marksistowskiemu totalizmowi. Interesujące jest, jak długo Kołakowski odmawiał widzenia w Kościele choćby taktycznego sprzymierzeńca, nie mówiąc już o uznaniu dla jego religijnego i moralnego postępowania. Jeszcze w roku 1961 widział w nim raczej groźbę konkurencyjnej klerykalno-teokratycznej dyktatury (pisze o tym Michnik), a wydaną w tym roku encyklikę Jana XXIII „Mater et magistra” skwitował bez mała kpinami. Jeszcze w „Obecności mitu” (1972) przeczytać można, że „chrześcijaństwo stworzyło pierwsze w Europie modele państwa totalitarnego”. Zbliżenie do Kościoła jest zatem ewenementem stosunkowo świeżej daty. Ale nie zbliżenie do chrześcijaństwa, które datuje się chyba od uznania kulturotwórczej roli Jezusa Chrystusa w sławnym esejie z roku 1965. „Obecność mitu” stanowiła na tej drodze ważny etap w tym sensie, że była krokiem wychodzącym poza sferę ściśle racjonalistycznego myślenia i ustanawiała obszar prawomocnego myślenia „mitycznego”, który stanowi legitymację myślenia religijnego. Ale uznanie prawomocności tego obszaru samo w sobie nie zawiera żadnych argumentów na rzecz prawomocności chrześcijaństwa jako określonej religii i w rzeczy samej w „Religion” („Jeśli Boga nie ma”), jakkolwiek materiału do rozważań dostarcza głównie



doświadczenie chrześcijańskie, rozważania te nie wychodzą poza kwestie prawomocności myślenia religijnego w ogóle, religijnego poznania i religijnych kodów moralnych. Z chrześcijańskiego punktu widzenia są w „Religion” uderzające luki. Na przykład autor przez cały czas zakłada możliwość, nawet konieczność, religijnego objawienia, ale jeśli pominąć doświadczenie mistyczne (temat zresztą Kołakowskiemu sympatyczny i bliski) nie mówi nic o tym, na czym objawienie miałyby polegać. Teologia krzyża, samo jądro chrześcijaństwa, jest w książce nieobecna — nawet w partii poświęconej teodycei, która (zdawałoby się) aż prosi się o to („Bóg pokonanych przez życie”). I ostatecznie nic dziwnego. Jest to dzieło z zakresu filozofii religii, nie dzieło teologii chrześcijańskiej. Olbrzymia erudycja teologiczna daje Kołakowskiemu znakomite kwalifikacje do napisania takiego dzieła, ale wydaje się, że nie bardzo go to interesuje.

Nie, zbliżenie Kołakowskiego do chrześcijaństwa, czy konwersja, jeśli o niej może być mowa, dokonała się chyba na innym gruncie. Większą rolę niż epistemologiczne, aksjologiczne czy tym bardziej teologiczne rozważania odegrał polski Kościół, ten biskupi, księzowski i świecki, inteligencki i ludowy, chłopski i, o dziwo, również robotniczy, Kościół jako przeciwwaga dla marksistowskiej opresji, obrońca godności ludzkiej i oaza wolnej myśli. Nie chcę przez to powiedzieć, że o zbliżeniu zdecydowały parafialskie względy polityczne. Kołakowski widział Kościół polski jako część Kościoła powszechnego, jako rzecznika historycznego chrześcijaństwa, a chrześcijaństwo nade wszystko jako czynnik cywilizacyjny. Interesowała go nie tyle jego wewnętrzna treść co raczej efekt tych treści (w liczbie mnogiej, gdyż widział je jako mnogie, różnorodne, często między sobą przeciwstawne) w postaci uformowania się europejskiej cywilizacji. To podejście jest już widoczne w pionierskim eseju o Chrystusie-reformatorze i od tego czasu, wydaje mi się, nie uległo zasadniczej zmianie. Uległo tylko dalszej artykulacji i rozbudowie. Patrząc na efekty cywilizacyjne chrześcijaństwa Kołakowski Polak i Europejczyk czuł się zmuszony powiedzieć Kościołowi „dobrze, że jesteś” i chyba to dopiero skłoniło Kołakowskiego-filozofa do szukania i ustanowienia przestrzni, w której przedziwne treści chrześcijaństwa mogą być uznane za epistemologicznie i aksjologicznie prawomocne.

Wynikiem jest zaangażowanie chrześcijańskie dość szczególnego rodzaju, o motywacji zewnętrznej raczej niż wewnętrznej. Motywacja wewnętrzna, spieszę wyjaśnić, to właśnie wiara, owo specyficznie chrześcijańskie zaufanie Bogu w osobie Chrystusa, który równocześnie jako człowiek jest tego zaufania najwyższym wzorem. Motywacja zewnętrzna zaś to ... „przekonanie o użyteczności wiary” (muszę się tu uciec do sformułowania użytego przez samego Kołakowskiego w zacytowanej przez Michnika wypowiedzi), użyteczności wiary dla cywilizacji. Charakter tego zaangażowania tłumaczy mi pewne elementy postawy Kołakowskiego wobec Kościoła, które bez tego wydają mi się trudno zrozumiałe. Mam na myśli jego (względny co prawda) „integryzm” i niechęć

do „progresizmu”, interpretowanego wyłącznie jako niemądra tendencja teologów do przystosowania chrześcijaństwa do wymogów świeckiego świata, przesadne *aggiornamento*. Ciekawe jest, że konserwatywno-autorytarny Jan Paweł II zdaje się być Kołakowskiemu bliższy niż otwierający okna Watykanu Jan XXIII. Teologia wyzolenia to w jego oczach niewiele więcej niż uleganie złym podszeptom marksizmu, a Hans Küng i inni niezależnie myślący teologowie są ludźmi nieodpowiedzialnie podważającymi Piotrową opokę. Jest zapewne prawdą, jak pisał Kołakowski nazajutrz po wyborze polskiego papieża (*Kultura* nr 12 z 1978 r.), że „totalitarna strona tradycji chrześcijańskiej nie jest w tej chwili żadnym niebezpieczeństwem”, w każdym razie w skali państwowej czy ogólnospołecznej, ale prawdą jest również, że integryzm (inna nazwa tej samej rzeczy) w skali wewnętrzno-kościelnej czy poszczególnych katolickich społeczności jest niebezpieczeństwem, którego nie należy lekceważyć. W sumie Kołakowski pragnie mocnego Kościoła o nierozmytej wewnętrznej identyczności, odpornego na pokusy diabła, który w jego pismach przyjmuje coraz bardziej realne, osobowe kształty.

Nie chcę absolutyzować rozróżnienia między wewnętrzną a zewnętrzną motywacją chrześcijańskiego zaangażowania i odmawiać Kołakowskiemu autentycznej wiary. Wiem przecież, że wiara ostatecznie „nie rodzi się z argumentów, lecz jest darem z wysoka” (J.A. Kłoczowski, O.P. w jubileuszowym tomie). Tym rozróżnieniem próbuję sobie tylko wytłumaczyć rzeczy, których inaczej nie mogę zrozumieć. Co więcej, szczególny rodzaj chrześcijańskiego zaangażowania Leszka Kołakowskiego uważam też za bardzo szczególny dar z wysoka, Kościołowi bardzo potrzebny. Duch św. wiola drogami sływa i wielu językami przemawia i poprzez ten rodzaj zaangażowania, jak wierzę, ma również Kościołowi coś bardzo ważnego do powiedzenia. Tak samo jak przez zaangażowanie innych, „niewierzącego” Adama Michnika, Jana Józefa Lipskiego czy „chrześcijanina bez Boga” Jacka Kuronia. Wszyscy oni są solą ziemi polskiej i wraz z wielu podobnymi do nich wśród ludzi innych nacji solą ziemi w ogóle. A „sól ziemi” jest określeniem ewangelicznym. Wierzę, że motywacja ich wszystkich z wysoka pochodzi. Papież Paweł VI w jednej ze swoich encyklik widział siebie jako głowę ziemskiego Kościoła w środku całego szeregu koncentrycznych kręgów. W wielu pozornie odległych kręgach religia jest obecna w świecie, czasem bardziej obecna niż w kręgach bliskich. I nie wiemy, jak daleko w ich promieniu obecność Kościoła sięga.

Antoni POSPIESZALSKI



## Nadesłane nowości wydawnicze

- ZEROMSKI (Stefan). *Pisma polityczne*. Wybór, opracowanie, wstęp i posłowie Anna Bojarska. Str. 142 i 2 nłb. (Wyd. Polonia, Londyn 1988).
- DRAWICZ (Andrzej). *Spór o Rosję i inne szkice z lat 1976-1986*. Str. 234 i 6 nłb. (Wyd. Polonia, Londyn 1988).
- ŁAPIŃSKI (Zdzisław). *Jak współżyć z socrealizmem*. Szkice nie na temat. Str. 107 i 5 nłb. (Wyd. Polonia, Londyn 1988).
- Ewangelia i kultura. Doświadczenie środkowo-europejskie. Śladem Trzeciej Pielgrzymki Jana Pawła II*. Red. Marian Radwan, SCJ i Tadeusz Styczeń, SDS Str. 368. (Wyd. Fundacja Jana Pawła II, Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej, Rzym 1988).
- ŻEBROWSKI (Marian Włodzimierz). *Konie 7 Pułku Ułanów Lubelskich im. gen. K. Sosnkowskiego*. Str. 95 i 1 nłb. (Wyd. Poets' and Painters' Press, Londyn 1987).
- SIEMASZKO (Z. S.). *Sprawy religijne wśród Polaków w Sowietach (1939-1942)*. (Nadbitka z kwartalnika „Duszpasterz polski za granicą” nr 1/1988, Rzym).
- MAJCHERCZYK (Julian). *Za waszą i naszą wolność*. Str. 280 i 8 nłb. (Wyd. Polski Ośrodek Wydawniczy, Paryż 1988).
- ŁUGOLEŃSKI (Marian). *Ostatni raport. Wspomnienia b. oficera polskiego wywiadu we Wrocławiu. Przebieg ważniejszych wydarzeń od 1 lipca do 1 września 1939*. Str. 173 i 5 nłb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- RESZCZYŃSKA - STYPIŃSKA (Marta). *Śmierć Euterpe*. Wiersze. Str. 54 i 2 nłb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- BRZOZOWSKI-BIRCH (T. J.). *Polskie przysłowia i powiedzenia oraz ich odpowiedniki angielskie*. Str. 436 i 2 nłb. (Wyd. Harold Press, Melbourne 1988).
- TERLECKI (Tymon). *Szukanie równowagi. Szkice literackie i publicystyczne*. Str. 417 i 3 nłb. Wyd. II. (Wyd. PFK, Londyn 1988).
- MALEWSKA (Hanna). *O odpowiedzialności i inne szkice. Wybór publicystyki (1945-1976)*. Str. 489 i 7 nłb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 500).
- JAN PAWEŁ II. *Trzecia pielgrzymka do Polski. Przemówienia, homilie 9. VI. 1987 - 14. VI. 1987*. Str. 230 i 2 nłb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 400).
- Poezja i nostalgia. Studia o sztuce o literaturze polskiej na obczyźnie*. Red. Włodzimierz Wójcik. Str. 157 i 3 nłb. (Wyd. Uniwersytet Śląski, Katowice 1987, cena zł 400).
- KOWALCZYK (Andrzej Stanisław). *Wobec kryzysu Europy. Powojenna eseistyka Jerzego Stempowskiego*. (Nadbitka z „Pamiętnika Literackiego” LXXVIII 1987, zes. 2).
- JAN PAWEŁ II. *Nauczanie papieskie, III, 2 1980 (lipiec-grudzień)*. Do druku przygotowali ks. E. Weron, SAC, ks. A. Jaroch, SAC. Str. 923 i 3 nłb. (Wyd. Pallotinum, Poznań-Warszawa 1986).
- SADYKIEWICZ (Michael). *Soviet-Warsaw Pact Western Theater of Military Operations: Organization and Missions*. Str. 174. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica, USA 1987).
- KOTYŃIEWICZ-PAWŁOWSKA (Estella). *Half Century of Living*. Str. 335 i 3 nłb. (Wyd. White Eagle Polish Publ. Co., Brooklyn, USA, 1987).
- POVOLNY (Mojmir). *Czechoslovak-Polish Relations: A Czechoslovak View*. (Nadbitka z *Kosmas: Journal of Czechoslovak and Central European Studies*, VI, I, Summer 1987).

- WANDYCZ (Piotr S.). *Czechoslovak-Polish Relations: A Polish View*. (Nadbitka z *Kosmas: Journal of Czechoslovak and Central European Studies*, VI, I, Summer 1987).
- Polin. A Journal of Polish-Jewish Studies*. Vol. 2. Str. 484 i 16 nłb. (Wyd. Basil Blackwell, Oxford and New York, for the Institute for Polish-Jewish Studies, Oxford. Warunki prenumeraty: £ 33,50 (Wielka Brytania), £ 39,00 (Europa), \$ US 49,50 — USA. Zamówienia należy kierować do Basil Blackwell, Subscriptions Department, 108 Cowley Road, Oxford OX4 1JF, England).
- WOJTYŁA (Karol). *The Collected Plays and Writings on Theater*. Translated and with an introduction by Bolesław Taborski. Str. 395 i 5 nłb. (Wyd. University of California Press, Berkeley - Los Angeles - London 1987).
- BAKUNIAK (Grzegorz), NOWAK (Krzysztof). *The creation of a collective identity in a social movement. The case of „Solidarność” in Poland*. (Nadbitka z *Theory and Society* nr 16/1987, str. 401-429, USA).
- CZERNIAWSKI (Adam). *The Burning Forest. Modern Polish Poetry*. Str. 184 i 8 nłb. (Wyd. Bloodaxe Books, Newcastle upon Tyne 1988, cena £ 7,95). Str. 146 i 4 nłb. (Wyd. Józef Piłsudski Institute of Research, London 1987).
- Ostdeutsche Gedenktage 1988. Persönlichkeiten und historische Ereignisse*. Str. 261 i 7 nłb. (Wyd. Kulturstiftung der deutschen Vertriebenen, Bonn 1988).
- KÜHNE (Walter). *Polnische Romantik. Eine anthroposophische Betrachtung*. Str. 43 i 1 nłb. (Wyd. Lohengrin-Verlag, Rendsburg RFA, 1987, cena DM 12,50).
- Polnische Bibliothek herausgegeben von Karl Dedecius. Deutsches Polen-Institut Darmstadt. Katalog*. Str. 46. (Wyd. Suhrkamp Vlg, Frankfurt/M 1987).
- Ehrenpromotion von Karl Dedecius, 14. Mai 1987, Katholische Univer-*
- sität Lublin. Z polskiego przeł. Winfried Lipscher. Str. 40. (Wyd. KUL, Lublin 1987).
- TUROWICZ (Jerzy). *Diskriminierung der katholischen Presse in Polen*. W: *Osteuropa, Zeitschrift für Gegenwartsfragen des Ostens (Sonderdruck)*. (Wyd. Deutsche Gesellschaft für Osteuropakunde, 1987).
- HARTMANN (Karl, opr.). *Die dritte Papstreise nach Polen*. W: *Osteuropa, Zeitschrift für Gegenwartsfragen des Ostens (Sonderdruck)*. (Wyd. Deutsche Gesellschaft für Osteuropakunde, 1987).
- Nieustyszannyje golosa. Dokumenty Smolenskowo Archiwa. Kniha pierwaja 1929. Kulaki i partiejow*. Opracował Siergiej MAKSDOW. Str. 285 i 3 nłb. (Wyd. ARDIS, Ann Arbor, USA 1987).
- PODOLANKO (Bohdan, opr.). *Fantastyczna uteczka Myroslawa Siczynskoho*. Str. 48. (Wyd. W-wo „Knyha”, Sydney-Adelajda 1987).
- HOLUWENKO (Petro). *Ukraina i Rosja u switli kulturnych wzajemyn*. Str. 551 i 3 nłb. (Wyd. Naukowo-Doslidnyj Instytut im. O. Olżycza w Toronto i Doslidna Fundacja im. O. Olżycza w USA, New York - Paris - Toronto 1987).
- Ukrajinske mystectwo na kulturno-istorycznomu tli Ukrainy u zwiazku z jiji heopolitycznym roztaszuwannjam*. Str. 24 i 16. (Wyd. Ukrajinskyj Wilnyj Uniwersytet, Monachium 1987).
- Miż rozpaczem i nadzieju*. Str. 24 i 32. (Wyd. Ukrajinskyj Wilnyj Uniwersytet, Monachium 1987).
- DEM K O W Y C Z - D O B R I A N S K Y J (Mychałto). *Potočkyj i Bobrzynskyj, cisarski namistryny Halyczyny 1903-1913*. Str. 132. (Wyd. Ukrajinskyj Katolyčijj Uniwersytet św. Klymentija Papy, tom LIX, Rym 1987).
- CHOMA (Iwan). *Apostolskij Prestiž i Ukraina 1919-1922. Relations diplomaticeae inter S. Sedem et Rempublicam Popularem Ucrainae annis 1919-1922*. Str. 133 i 3 nłb. (Wyd. Ukrajinskyj Katolyčijj Uniwersytet św. Klymentija Papy, tom LX, Rym 1987).



## KRAJ — BLOK WSCHODNI

5-3-88

Wybitny pisarz Teodor Parnicki obchodził 80-tą rocznicę urodzin oraz 60-lecie pracy twórczej. W „Bibliotece Kultury” ukazała się w swoim czasie jego książka pt. *Koniec „Zgody Narodów”* (1955 r.).

20-3-88

Zmarł w Warszawie w wieku 93 lat Antoni Pajdak, legionista Pierwszej Brygady, czołowy działacz PPS, wiceprezydent Krakowa, członek Krajowej Rady Ministrów z ramienia WRN pod okupacją niemiecką, aresztowany przez władze sowieckie w grupie 16-tu przywódców Polski Podziemnej, więzień Lubianki, skazany na 10 lat ciężkich robót na Syberii, a po powrocie do Polski jeden z założycieli i działaczy KOR-u. ■ W związku z rocznicą wydarzeń marcowych *Nowe Drogi* (organ teoretyczny KC PZPR) w nr. 2 z lutego br. podają: „Od drugiej połowy 1967 do drugiej połowy 1969 zwolniono z wojska 341 oficerów pochodzenia żydowskiego. Usunięto ich również z partii... odwołano z kierowniczych stanowisk w Warszawie 483 osoby, w tym 365 w ministerstwach i instytucjach centralnych, 49 w placówkach naukowych, 24 w prasie i kulturze... Wydalono z partii 6 ministrów i wice-ministrów, 35 dyrektorów generalnych i departamentów...”. Usunięto około 70 profesorów i docentów, „około 1.600 studentów przejściowo utraciło prawa akademickie”; „do połowy 1969 roku łącznie wyemigrowało 20 tys. osób”.

14-4-88

Po wieloletnich staraniach sprowadzono do Polski prochy Stanisława Ignacego Witkiewicza i złożono je na zakopiańskim cmentarzu. Stanisław Ignacy Witkiewicz popełnił samobójstwo 18 września 1939 roku w poleskiej wsi Jeziory na wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich w granice Polski.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

7-3-88

W Londynie nastąpiło połączenie Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego ze Studium Polski Podziemnej.

19-3-88

W Nowym Jorku odbyło się doroczne zebranie Rady Instytutu Józefa Piłsudskiego, na którym wybrany został nowy zarząd: prezesem został Stanisław Jordanowski, wiceprezesami Tadeusz Pawłowicz i Tadeusz Świętochowski, skarbnikiem — Władysław Jędrzych, sekretarzem — Janina Kulikowska, dyrektorem — Czesław Karkowski, a jego zastępcą — Jerzy Prus.

25-3-88

Podczas dorocznej konferencji slawistycznej (Midwest Slavic Conference) na Indiana University odnotowano 100-lecie wydania trylogii Henryka Sienkiewicza. Sesji naukowej na ten temat przewodniczył prof. Jerzy R. Krzyżanowski, a udział w niej wzięli m.in. prof. Piotr Drozdowski, Michał Mikos, dr Wojciech Wierzewski oraz znany pisarz W. S. Kuniecak, który pracuje nad nowym przekładem angielskim trylogii.

30-3-88

Zmarł w Londynie ppłk Zygmunt Jarski, jeden z wybitniejszych oficerów polskiego sztabu w okresie międzywojennym i w kampanii wrześniowej, długoletni redaktor *Bellony* i przewodniczący komitetu wydawnictwa „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej”.

3-4-88

Zmarł w Paryżu w wieku 91 lat Piotr Kalinowski, wybitny działacz społeczny na terenie Francji.

4-4-88

*Der Spiegel* ogłosił listę *bestsellerów* wydanych w RFN. Znajduje się wśród nich książka A. Szczypiorskiego „Die schöne Frau Seidenmann”, która ukazała się w 1986 roku w „Bibliotece Kultury” pt. „Początek”.

5-4-88

Komitet stypendialny Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu przyznał subwencje i stypendia na 1988 rok z Funduszu im. Stanisława Lama i z Funduszu im. Jana Brzękowskiego, które otrzymali: Andrzej Paluchowski z KUL-u dla opracowania listy książek wymiennych między Biblioteką Polską w Paryżu i Biblioteką KUL; Władysław Bolecki na studia nad „Dziennikiem pobytu za granicą” Jana Ursyna Niemcewicza; Anna Nasiłowska na pracę o literaturze polskiej i jej związkach z Francją w XVIII i XIX wieku; Elżbieta Kisłak na studia nad literaturą polską we Francji; Joanna Siedlecka na opracowanie książki o życiu i twórczości Konstantego A. Jeleńskiego; Agata Tuszyńska na studia nad stosunkami polsko-rosyjskimi w pierwszej połowie XIX wieku. ■ Miesięcznik katolicki *Przeгляд Powszechny* wydawany w Londynie przestał się ukazywać z powodu trudności materialnych. Ukazał się ostatni numer 3/4 (487/488) za miesiąc marzec/kwiecień. 1988 roku.

18-4-88

Zmarł nagle w Madrycie w wieku 79 lat Józef Łobodowski, wybitny poeta i publicysta, bliski współpracownik *Kultury*. Wspomnienie o nim zamieścimy w numerze czerwcowym, gdyż wiadomość o jego śmierci przysłała w chwili, gdy numer majowy był już w druku.

22-4-88

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się 8 kwietnia br. odczyt ks. Janusza Pasierba pt. „Od medytacji do filmu”, a 22 kwietnia br. Ludwik Flaszen wygłosił odczyt „Obrachunki gombrowiczowskie”. Jednocześnie 12 kwietnia br. w Foyer Jean Paul II w Paryżu André Mossman, b. dyrektor sekcji Europy Wschodniej we francuskim radio, mówił o swojej działalności i najciekawszych Polakach, których poznał w okresie swojej pracy w Radio.

## KRONIKA AUSTRIACKA

W styczniu i lutym br. 582 Polaków poprosiło o azyl w Austrii, podczas gdy przez cały 1987 rok tylko 570-ciu. O tym, że zjawisko to ma charakter eksplozji, świadczy też fakt, że w lutym polskich uchodźców było dwa razy więcej niż w styczniu. W porównaniu z rokiem ubiegłym podwoiła się również ilość Węgrów proszących o azyl w Austrii. Władze austriackie wyrażają obawy, że budżet w wysokości 580 mln szylingów, przewidziany na pomoc uchodźcom w br., okaże się niewystarczający i że wydatki na ten cel mogą osiągnąć miliard szylingów. Minister Spraw Zagranicznych Austrii,



Alois Mock, zapowiedział, że w tej sytuacji Austria wystąpi do pozostałych krajów zachodnioeuropejskich o liberalizację ich polityki w stosunku do uchodźców i o pomoc w rozwiązywaniu tego problemu. ■ Kardynał Macharski w rozmowie z wicekanclerzem Austrii, Aloisem Mockiem, wyraził chęć przybycia do Wiednia w czasie zbliżającej się wizyty Papieża w Austrii. Jan Paweł II przybędzie do Wiednia 23 czerwca br. po południu i spędzi w Austrii 4 dni. W drugim dniu swego pobytu odprawi mszę św. w Trausdorfie, koło granicy węgierskiej, w której ma wziąć udział co najmniej 100 tys. pielgrzymów z Węgier. Kolejnymi etapami pielgrzymki mają być m.in. Linz, teren dawnego obozu koncentracyjnego w Mauthausen, Salzburg, Klagenfurt, Innsbruck i Feldkirch. ■ Również Jugosłowianie przyjadą do Austrii, aby zobaczyć Papieża. Z tej okazji chorwacka gazeta partyjna *Danas* („Dzisiaj”) opowiedziała się za zaproszeniem Jana Pawła II do Jugosławii, co do tej pory było odrzucane przez koła oficjalne, bez podawania przyczyn. Przyczyną — zdaniem cytowanej gazety — była i jest obawa, że wizyta Papieża mogłaby doprowadzić do wybuchu, podobnie jak w Polsce w latach 1980-1981. ■ Innsbruck ma podarować Janowi Pawłowi II w czasie Jego pobytu w tym mieście 180-kilogramowy dzwon, który „ma wzywać wiernych na mszę św. w jednej z gmin w ojczyźnie Papieża”. ■ Gośćmi wiedeńskiego Instytutu Nauk o Człowieku, który prowadzi prof. Krzysztof Michalski, byli ostatnio dwaj polscy filozofowie: prof. Leszek Kołakowski i ks. prof. Józef Tischner. Prof. Kołakowski wygłosił wykład na temat „Iluzje odmitologizowania”, w ramach zapoczątkowanego przed rokiem cyklu poświęconego wybitnemu czeskiemu filozofowi Janowi Patoceka. Tematem spotkania z ks. prof. Tischnerem była filozofia zła. ■ Po raz 25-ty zostały przyznane nagrody im. Gottfrieda von Herdera. W gronie laureatów znalazł się i w tym roku Polak — prof. Mieczysław Porębski, historyk sztuki z Krakowa. Z nagrodą w wysokości 25 tys. DM związane jest ponadto stypendium dla kandydata, pochodzącego z kraju laureata, które umożliwi roczne studia na jednej z uczelni wiedeńskich. ■ Na wiedeńskim festiwalu filmowym „Viennale '88” zostały wyświetlone dwa polskie filmy: „Przypadek” Krzysztofa Kieślowskiego z 1982 roku i „Pociąg do Hollywood” Radosława Piwowarskiego z 1987 roku oraz zrealizowany w USA przez Yurka Bigayewicza film „Anna”, według scenariusza Agnieszki Holland.

Wiedeń, 27 marca 1968 r.

## KRONIKA KANADYJSKA

W Kanadzie bawili na gościnnych występach ze sztuką Sławomir Mrożka „Emigranci” polscy aktorzy Andrzej Łapicki i Mieczysław Czechowicz. Występowali kolejno w Toronto, Montrealu, Calgary, Edmontonie i Vancouverze (między 13 a 19 marca br.). ■ W Vancouverze zmarł nagle w wieku 62 lat dr Wojciech Jerzy Nowaczyński, wybitny naukowiec z zakresu medycyny, wykładowca na University of British Columbia, a poprzednio obu uniwersytetów w Montrealu. ■ Sąd Apelacyjny prowincji Ontario odrzucił skargę pięciu polskich lekarzy na postanowienia przyznające przywilej pierwszeństwa lekarzom, którzy ukończyli studia na uczelniach kanadyjskich i północnoamerykańskich, w uzyskiwaniu miejsc w szpitalach kanadyjskich celem odbycia obowiązującej praktyki szpitalnej. Adwokat skarżących wywozcił, że postanowienie to stanowi pogwałcenie zasady równości praw zagwarantowanej w Karcie Praw i Wolności. Sąd jednomyślnie orzekł, że zaskarżone postanowienie w niczym nie narusza Karty i jest zgodne z konstytucją. W uzasadnieniu orzeczenia zaznaczono, że postanowienia władz prowincji Ontario mają na celu „regulację studiów medycznych i praktyki lekarskiej w Onta-

rio”. Obowiązujące postanowienia przewidują 600 absolwentów studiów medycznych do odbycia obowiązkowej praktyki szpitalnej. Absolwenci innych uczelni jak kanadyjskie i północnoamerykańskie muszą najpierw ukończyć rok studiów przygotowawczych na wydziale medycznym jednego z uniwersytetów kanadyjskich, a dopiero potem starać się o praktykę w szpitalu. W ostatnich latach w ramach emigracji tzw. „solidarnościowej” przybyło do Kanady sporo lekarzy, którzy zdali w Ontario egzamin językowy, odbyli kurs przygotowawczo-informacyjny, ale — wbrew oczekiwaniom — nie uzyskali ani miejsca w szpitalu, ani prawa praktyki. Kiedy wszystkie akcje interwencyjne zawiodły — odwołano się do sądu, ale rezultat jest negatywny.

B. H.

## LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.  
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE  
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •  
PRZEKŁADY Z JEZYKA POLSKIEGO NA  
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE  
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ  
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili  
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej  
Wyspie Świętego Ludwika.

## Pogląd

Dwutygodnik społeczno-  
polityczny „Towarzystwa  
Solidarność” e.V.

Ukazuje się  
w Berlinie Zachodnim  
od 17 stycznia 1982 r.

PUBLICYSTYKA ■ WYWIADY ■ RECENZJE  
■ KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W  
KRAJU I NA ŚWIECIE ■ PRZEDRUKI Z POD-  
ZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ

Cena pojedynczego egzemplarza w RFN DM 6,-. Ceny prenumeraty  
w poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu”.  
Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji — „Pogląd”,  
Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62. Telefon 030/782 93 84.



## Listy do Redakcji

Kolonia, 14 kwietnia 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Kronice niemieckiej” (*Kultura* nr 1-2/1988) zamieściłem notatkę następującej treści: „Andrzej Micewski poparł na łamach hamburskiego *Die Zeit* referendum: „Jeśli zostanie odrzucone, to Polsce grozi chaos, a jeśli w naszym kraju zostanie naruszony”. W liście do *Kultury* (nr 3/1988) zarzuca mi, że notatka była kłamliwa. Składała się ona z dwóch zaledwie zdań, na więcej zresztą artykuł Micewskiego nie zasługiwał, więc nie trudno jest poddać go próbie prawdy. Zdanie pierwsze: „Andrzej Micewski poparł na łamach *Die Zeit* referendum”. Zdanie to spełnia wszelkie kryteria prawdy obiektywnej. Pan Micewski poparł referendum, choć uznał, że nie rozwiąże ono wszystkich polskich problemów. Ale referendum jako uniwersalnego lekarstwa na wszystko nie prezentował nawet gen. Jaruzelski. Poparcie referendum potraktowane zostało przez Micewskiego jako wsparcie jednych sił w partii przeciw innym siłom w partii, jednego skrzydła przeciw innemu, co dla mnie, „dziennikarza płytkiego i powierzchownego” w przeciwieństwie do Micewskiego swobodnie grającego czarnymi i białymi pionkami na partyjnej szachownicy — zbyt było oczywiście skomplikowane. Zdanie drugie: „Jeśli zostanie odrzucone, to Polsce grozi chaos, a jeśli w naszym kraju i w Europie zostanie naruszony”. Tu muszę przeprowadzić dowód prawdy. Micewski w zakończeniu swego artykułu napisał dosłownie: „*Sollte jedoch all dies nicht gelingen, dann droht Polen ein Chaos, das den Frieden in Polen und Europa bedrohen würde*”. W dosłownym tłumaczeniu: Jeśli to wszystko się nie powiedzie, Polsce grozi chaos, zagrażający pokojowi w samej Polsce i w Europie. *All dies* — to wszystko — mnóstwo czynników wymienionych przez Micewskiego, łącznie z przetrucaniem na wschodnich i zachodnich sąsiadów konsekwencji obchodzenia się z ekonomią przez władzę PRL — czego domaga się Micewski — a także zrozumienie przez Polaków, że żaden pluralizm nie jest w Polsce możliwy. Tę ostatnią kwestię pominałem powodowany nadmiernym, jak się okazało, współczuciem. Ale *to wszystko* — to przede wszystkim referendum, któremu przecież poświęcony był cały tekst. Gdzie tu moje kłamstwo, wie tylko Andrzej Micewski, który od czasów *PAX-u* zna się zapewne na kłamstwie z dokładnością co do minuty.

Andrzej J. CHILECKI

Panie Redaktorze,

Do niedawna sądziłam, że spraw rozdziału funduszy, jakie ma opozycja, nie należy omawiać publicznie. Wydawało mi się, że lepiej porozumieć się w tej sprawie nawet później, ale pośród swoich, niż omawiać je głośno, co sprawę oczyszcza i przyspiesza, ale zawsze daje też okazję do wytknięcia opozycji jeszcze jednego błędu. Ale czas mija, a z rozdziałem funduszy, jakie ma opozycja w Polsce, naprawdę nie wszystko jest w porządku.

Od listopada 1986 roku, kiedy powstała Tymczasowa Krajowa Rada Rol-

ników „Solidarność”, ruch chłopski zaczął się poważnie odbudowywać. A działalność, ponadto że sama kosztuje, rodzi represje i trzeba jakoś przesładowanym pomagać. Zaczęto się więc na wsi dowiadywać, czy możliwe jest wsparcie chłopów z funduszy opozycji. Przesłano też pytania do przyjaciół na emigracji, czy fundacje kulturalne na Zachodzie, bądź fundacja krzewienia demokracji, nie wsparłyby rolników. Na takie pytania z reguły nadchodziła odpowiedź: pomagamy Polsce. Przesyłamy fundusze do kraju. Czy rolnicy z nich nie korzystają? A jeżeli nie korzystają, to dlaczego?

W jakiejś, choć niezwykle skromnej, formie korzystają z pomocy czasopisma chłopskie. Wychodzi mniej lub bardziej regularnie sześć tytułów. Nie mają własnych maszyn drukarskich, drukowane są w mieście. Mimo braku pieniędzy przeważnie za druk płać normalne stawki. To jednak, że w ogóle mogą wychodzić, świadczy, że przedstawiciele kultury niezależnej nie są dla wsi całkiem zamknięci. W miarę jak rosną grzywny, potrzebna jest pomoc represjonowanym rolnikom. Jakim? Dla przykładu: zakłady chemiczne Police wytruły chłopom bydło na łąkach. Na gminnych dożynkach jeden z nich wywiesił transparent „Police fabryka śmierci”. Ukarano go grzywną, a że przedtem wytruto mu bydło, stracił podwójnie. Nie ma z czego udzielić mu wsparcia.

Inny przykład. Ustawa emerytalna każe rolnikom płacić wysokie składki, oddawać za darmo gospodarstwo następcy albo państwu, sprzedawać produkty do uspołecznionego skupu, i dopiero po spełnieniu tych wszystkich warunków gwarantuje emeryturę, ale wliczoną tylko według wartości tych produktów, które rolnik sprzedał państwu. Z reguły jest to emerytura o wiele niższa niż pracownicza i opieszale rewaloryzowana. Rolnicy buntują się przeciw ustawie emerytalnej od wielu lat, ale konkretnych sprzeciwów jest niewiele. Próbowali przez dwa lata nie płacić na znak protestu obowiązkowych składek emerytalnych wieś Osinki na Lubelszczyźnie. Początkowo zgodnie, prawie wszyscy. Potem jednemu komornik zajął bydło, innemu wstrzymano wypłatę renty pracowniczej, innym komornicy zajęli wyposażenie domów. Dziś opiera się jeszcze kilkunastu najbardziej zdesperowanych rolników. Reszta ugięła się, bo przecież nie można dopuścić, żeby rodzina popadła w nędzę. A pomocy Osinki nie dostały żadnej.

Związkowcy chłopscy zastukali do kasy solidarnościowej komisji interwencyjnej i uzyskali obietnicę 200 tysięcy złotych do końca roku. Przy średniej grzywnie 50 tys. zł wystarczy to na zwrócenie kosztów czterem osobom.

Od roku członkowie prezydium Tymczasowej Rady Krajowej Rolników „Solidarność” starają się o spotkanie z Wałęsą aby porozmawiać o pieniądzach. Czy Wałęsa jest o tym poinformowany, nie wiadomo, ale otoczenie Wałęsy („dwór” — jak mówią chłopci) traktuje ich jak natrętów.

Przeptywania w warszawskich salonach przyniosły odpowiedź „ci chłopci sami nie wiedzą, czego chcą. Kręcą się stale przy Wałęsie, chętnie uwiesiliby się jego klamki”.

Możliwe, że rolnicy nie wiedzą, do kogo pójść, żeby doprowadzić do spotkania z dysponentami funduszy. Mają swoje gospodarstwa, swoje zwierzęta do obrządzenia, do miast wyjeżdżają na krótko. Ich wyborcy rozliczą ich z tego, że podjęli się rozmów, a nie umieli znaleźć dojścia do swoich rozmówców.

Gorszy jednak będzie zarzut, jaki wypadnie postawić dysponentom pomocy dla odbudowy demokracji w Polsce. Skoro sympatia świata dla społeczeństw walczących o demokrację w swoich krajach wyraża się konkretną pomocą, i skoro taka pomoc przesyłana jest również do Polski, to niedobrze się dzieje, jeżeli organizacje reprezentujące 40 % społeczeństwa pozostają poza jej zasięgiem.

Jest to wina nie tych organizacji, ale osób czy grup osób, w których ręce tę pomoc złożono.



Chciałabym być dobrze zrozumiana. Nie piszę tego listu po to, żeby kogokolwiek obrazić, ale po to, aby dysponenci funduszy nie popadali w błogostan. Sytuacja w Polsce się zmienia. Jeszcze dwa lata temu prawdziwe było obiegowe powiedzenie, że żadnych organizacji niezależnych na wsi nie ma, są jedynie grupki działaczy. Dziś już to nie jest prawdą, i także rozdział środków powinien być zmodyfikowany. Powinien uwzględniać fakt, że chłopskie organizacje istnieją.

Z wyrazami szacunku

Halina KUCZYŃSKA

Londyn, 31 marca 1988.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do „Listu z Londynu” Józefa Garlińskiego w *Kulturze* z marca 1988 (str. 72), warto by wspomnieć o szeregu wykładów dotyczących spraw polskich, organizowanych ostatnio (lata 1986/1987 i 1987/1988) przez School of Slavonic and East European Studies (SSEES) należącej do Uniwersytetu Londyńskiego i dostępnych dla osób spoza tej uczelni. Jest to działalność niewątpliwie godna pochwały.

Jednak w szeregu wykładów kłopoty narodowościowe zostały potraktowane jako najważniejsze problemy niepodległej Polski. A przecie takie zagadnienia jak sposób rządzenia państwem, obronność czy też sprawy ekonomiczne miały z pewnością większe znaczenie w owym czasie. Poza tym większość wykładowców naświetlała te narodowościowe sprawy jednostronnie, mówiąc w pierwszym rzędzie o konfliktach, a pomijając bez mała całkowicie istniejącą wówczas, daleko posuniętą, współpracę pomiędzy Polakami i Żydami, Polakami i Białorusinami, czy też nawet między Polakami i Ukraińcami. Skrajnym przykładem tego rodzaju podejścia był wygłoszony ostatnio wykład na temat Białorusinów w Polsce międzywojennej, poświęcony prawie wyłącznie konfliktom pomiędzy podejściem polskich nacjonalistów (których na Kresach północno-wschodnich nie było tak wielu) i podejściem białoruskich nacjonalistów, czy też komunistów (których było jeszcze mniej). Natomiast nastawienie kilku milionów ludzi częściowo o zapleczu polskim, a częściowo o zapleczu białoruskim (zarówno katolicy, jak i prawosławni), żyjących zgodnie obok siebie na terenach polsko-białoruskich po obu stronach granicy ryskiej, zostało całkowicie w tym wykładzie pominięte. Dziwne, iż normalnie spotykana, brytyjska obiektywność spojrzenia w tych wypadkach zawodzi.

Innym problemem tych seminariów na SSEES są wykładowcy z PRL, którzy na przykład udowadniają słuchaczom (a większość wśród nich stanowi młodzież studencka), iż w latach 30-tych istniała oś Berlin - Warszawa i że Polska w tym czasie wspierała politykę hitlerowską. Jasne, że SSEES, jako instytucja brytyjska, nie może uniknąć zapraszania wykładowców z krajowych uniwersytetów, ale byłoby niezmiernie pożądane, gdyby dało się ograniczyć propagowanie wśród londyńskich studentów sowieckiego spojrzenia na polską i europejską historię przez krajowych profesorów.

Pozostaję z szacunkiem

Z. S. SIEMASZKO

## WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚCI”

Redakcja *Listów do Polaków*, New Britain, CT (USA) sumy nadesłane przez Zygmunta Czerwińskiego, Ozone Park, NY — \$ 100,00, Ryszarda Figurniaka, Itasca, IL — \$ 20,00 przekazuje dla „Solidarności podziemnej” w Polsce — razem: \$ 120,00 ..... F. 672,00

Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity), Winnipeg, MB (Kanada) — \$ c. 383,00 ..... F.1.710,00

Suma ta została zgłoszona przez p. A. Howiecką jeszcze w grudniu 1987 roku, ale nie została od razu podana z powodu nieporozumienia z czekiem. Kiedy sprawa wyjaśniła się, to zapomnieliśmy ogłosić wpłatę w *Kulturze*, ponieważ była zapisana za ubiegły rok. Bardzo za to p. Howiecką przepraszamy. Redakcja.

Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity), Winnipeg, MB (Kanada) — na „Solidarność Walczącą” — \$ c. 300,00 ..... F.1.340,00

Bezimiennie, Paryż — zamiast kwiatów na grób zmarłej 11 kwietnia br. w Paryżu Marie Hirszowicz (Lasota) — na Fundusz Drukarski im. Władysława Głowackiego .... F. 100,00

## “ANEKS” 48

kwartalnik polityczny

**POLSKA U PROGU LAT DZIEWIECIEDZIESIĄTYCH** — J. KU-ROŃ: *Krajobraz po bitwie*; J. STANISZKIS: *Polskie dylematy*; I. KRZEMIŃSKI: *Religia i „Solidarność”*; K. JASIEWICZ: *Kultura polityczna Polaków: między jednością a podziałem*. ■ E. BIEN-KOWSKA: *Leszek Kołakowski — wielkość i niedza rozumu wyemancypowanego*. ■ WYWIAD ANEKSU — R. GORCZYŃSKA, J. KOTT, C. MIŁOŻ rozmawiają z Wacławem Solskim. — *Etiudy rewolucyjne*. ■ E. WEIL: *Moralność jednostki i polityka*. ■ H. SCHMIDT: *Rozmowy z Mitterrandem o Polsce*.

Prenumerata roczna (cztery numery) — £ 12,00; \$ 24,00.

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

A N E K S

61 Dorset Road, London W5 4HX, England



## KSIEGARNIA POLSKA

A. i E. NEUSTEIN

TEL-AVIV, P.O.BOX 29443 — IZRAEL

Tel.: 621-311

### Książki:

NOWE, WYCZERPANE, ANTYKWARYCZNE

### Ostatnie katalogi:

50. Historia, Polityka. 51. Historia i Teoria literatury. 52. Różne — Bibliografia, Cracoviana, Językoznawstwo, Wspomnienia. 53. Teatr. 54. Różne. 55. Historia, Polityka. 56. Judaica.

Katalogi wysyłamy (bezpłatnie) na życzenie.  
Prosimy o określenie zainteresowania.

## FILMY VIDEO-KONTAKTU

**I** JÓZEF PIŁSUDSKI  
**L** Portret Marszałka wydobyty z archiwów filmowych  
**M** KULTURA  
**Y** Spotkanie w Maisons-Laffitte  
**V** KOR  
**I** Dzieje Komitetu Obrony Robotników  
**D** PIWNICA POD BARANAMI  
**E** Wieczór w krakowskim kabarecie  
**K** oraz  
**O** 17 innych tytułów  
**N** o rozmaitej tematyce:  
**T** historycznej, politycznej, społecznej, kulturalnej  
**A** do nabycia na zamówienie telefoniczne, listowne  
**K** lub przez minitel 3615 POLK  
**T**

**video** 42, rue Raymond Marcheron  
**kontakt** 92170 VANVES, FRANCE  
tel. (1) 46.45.87.16

(dla zainteresowanych bezpłatny katalog)

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLIN-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 2<sup>e</sup> trimestre 1988.

Imprimé en France.  
N° d'imprimeur 9000.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

## PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1988</b>			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248 .....	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel.: 0222/93 87 222.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury » .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury » .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D. M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604)338-80-40; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 ..	\$ can. 10,00 DM 14,00	\$ can. 50,00 DM 80,00	\$ can. 98,00 DM 150,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51 20 55 .....	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.480; półroczna — F.250.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F.6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).



## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 436 — JANUSZ ANDERMAN

### KRAJ ŚWIATA

Opowiadania: Jakos̄ pusto. — Płonie teatr narodowy. — Jeszcze Polska? — Zwycięs̄... — Trzej królowie. — Łańcuch czystych serc. — Poczucie. — Świat światów.

Str. 80.

Cena F. 50,00.



TOM 438 — MICHAŁ HELLER

### MASZYNA I ŚRUBKI

Michał Heller, dobrze znany czytelnikom z artykułów i przeglądów prasy sowieckiej w *Kulturze*, współautor (z Aleksandrem Niekriczem) historii ZSSR *Utopia u władzy*, jednej z najpoczytniejszych książek w drugim obiegu wydawniczym w Kraju, przeprowadził w swojej nowej książce drobiazgową i bogato udokumentowaną analizę systemu sowieckiego. W siedemdziesiątą rocznicę Rewolucji Październikowej, u progu „nowej ery” Gorbaczowa, czytelnik znajdzie w *Maszynie i śrubkach* odpowiedź na wiele nurtujących go pytań. Czy istnieje szansa „przebudowy” systemu sowieckiego? Czy wolno mówić o definitywnym ukształtowaniu „człowieka sowieckiego”? Lektura nieodzowna dla lepszego poznania naszego wschodniego sąsiada.

Str. 288.

Cena F. 120,00.



TOM 439 — JERZY KRZYŻANOWSKI

### BANFF

Polak zamieszkały po wojnie w Kanadzie, dziennikarz sportowy telewizji kanadyjskiej, niegdyś żołnierz AK. Bohater powieści Krzyżanowskiego odcina się całkowicie od Polski rządzonej przez komunistów, z Krajem łączą go jedynie wspomnienia wojenne. Gwałtowny romans z młodą Polką z Warszawy staje się na krótko mostem przerzuconym między biografią emigranta i jego doświadczeniami z lat młodości. Temat nietknięty prawie w prozie polskiej, Krzyżanowski podejmuje go z sugestywną brawurą narracyjną.

Str. 160.

Cena F. 75,00.